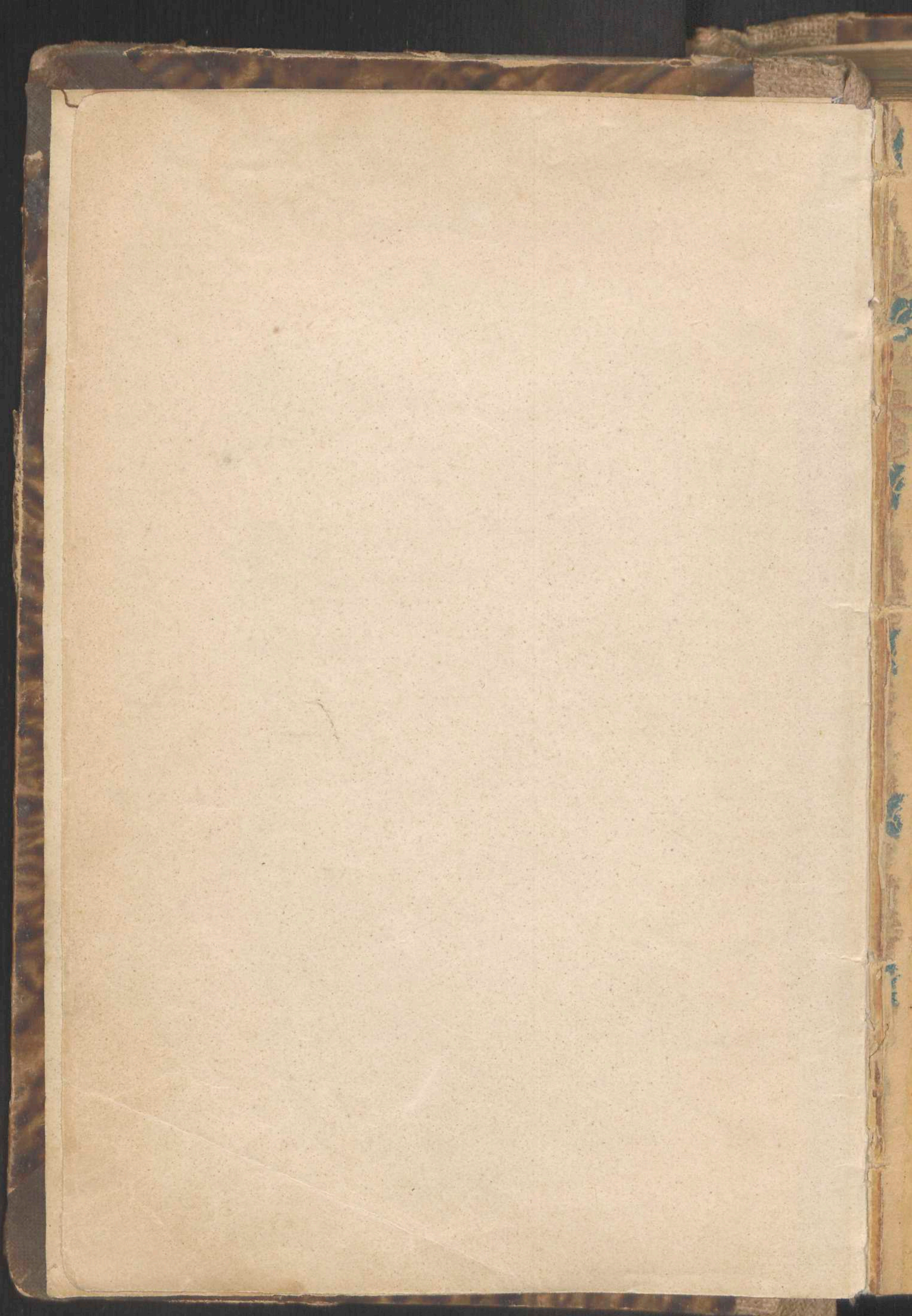
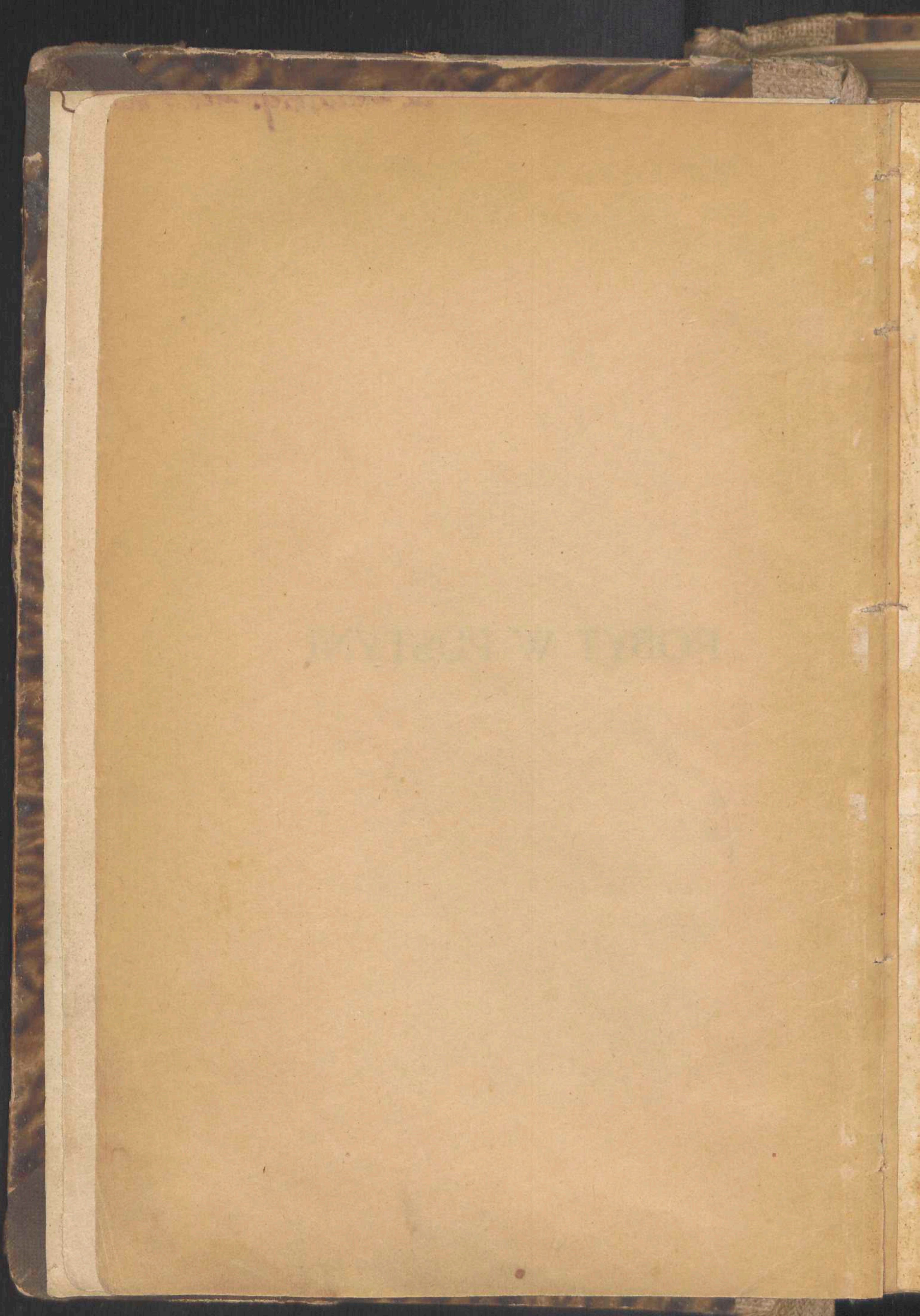


P. 462, 569



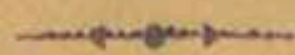




A jak dziwne rzeki przebiegają te okolice!...

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

MAYNE-REID, KAPITAN

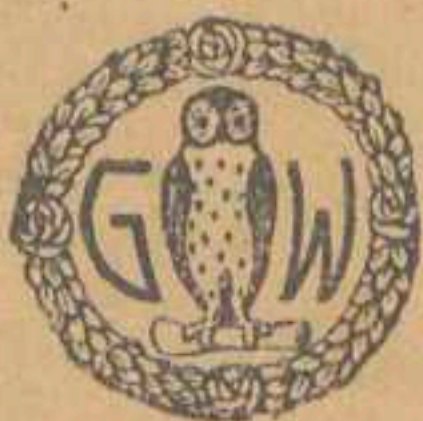


POBYT W PUSTYNI

PRZEŁOŻYŁ

ST. M. RZĘTKOWSKI

== WYDANIE NOWE ==
Z 24-MA RYCINAMI G. DORÉ'EGO



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA == LUBLIN == ŁÓDŹ == POZNAŃ
KRAKÓW ===== G. GEBETHNER I SPÓŁKA



I 1.462.569



WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.
□□ DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE. □□
1920

1984 k 25/46

I.

Wielka pustynia amerykańska.

Pośród Północnej Ameryki znajduje się pustynia wielka i prawie tak dzika, jak sławna afrykańska Sahara. Mówią, że ma dwa tysiące kilometrów długości i tysiąc sześćset szerokości; obliczenia te jednakże nie są pewne i wnosić można, że jej powierzchnia nie przenosi dwóch milionów kilometrówkwadratowych, i że jest cztery razy większa, niż powierzchnia Francyi. Bądź co bądź, pustynia ta zasługuje w zupełności na miano *wielkiej*, jakie jej powszechnie nadają.

Wyraz *pustyuia* oznacza przestrzeń ziemi dziką, piaszczystą, pozbawioną roślinności i smętną, bo nie ubarwioną zielonym liściem drzew i krzewów. Wicher wznosi jej piaski w olbrzymich ruchomych słupach, a woda nie chłodzi jej łona, spalonego i suchego. Ta suchość i piaszczystość odznacza wszystkie pustynie, ale oprócz tej właściwości, natura ich może być całkiem odmienna. Chociaż wewnątrz Sahary nie jest jeszcze

zupełnie zbadane, znamy ją dosyć, ażeby sobie wyobrazić szeregi jej gór, skał, dolin, jezior i strumieni. Znajdują się tam także miejsca żyzne, w wielkiej od siebie odległości położone, pokryte roślinnością. Jedne są mniej rozległe i puste, inne, dzikie i obszerniejsze, zamieszkałe przez plemiona niepodległe, stanowiące rodzaj państweczek. Miejsca te nazywają się *oazami*, a jeśli spojrzycie na kartę geograficzną, ujrzycie i przekonicie się, że tych *oaz* wielka liczba znajduje się na Saharze.

Wielka pustynia Ameryki przedstawia charakter podobny, ale różni się wielce od afrykańskiej pod względem geograficznym. Tutaj, płaszczyzny niektóre, rozległe na kilkaset mil, pokryte są białym piaskiem, który, jak i w Saharze, wichur podrzuca w słupach w powietrze i zasypuje nim na kilka stóp grubości przestrzenie, wyglądające, jakby śniegiem pokryte; tu i owdzie leżą płaszczyzny równie dzikie, nagie, pozbawione nawet piasku, twarde i suche, bez drzew i roślinności. Dalej rosną krzaki skarłowaciałe, o liściu wątlym, białawym; w tych krzakach koń z człowiekiem z łatwością zaplątać się może, bo ich gałęzie i konary wzajemnie się chwytają i plączą, pogmatwane, nieprzedarte a gęste. Te krzaki, to *artemisia*, rodzaj dzikiej szalwii, od której też porośle nią równiny nazwane są przez strzelców i podróżnych *łakami szalwii*. Gdzieinziej płaszczyzny są pokryte przez lawę, pocho-

dzącą z wybuchów wulkanicznych, która zaległa w drobnych kawałkach, niby rozsypane kamienie na świeżo urządzonej drodze. Gdzieindziej znowu zdaje się, że śnieg przyprószył grubo równinę, ale to tylko złudzenie, bo tym udanym śniegiem jest sól, sól bielutka, pokrywająca ziemię na sześć stóp grubości, na przestrzeni piętnastu mil dookoła. Dalej jeszcze złudzony pozorem soli, po bliższym przypatrzeniu się widzisz, że to soda, utworzona przez działanie słońca, a rozsypana tak szeroko, że jej krańców okiem nie dojrzysz.

Część tej pustyni jest niezmiernie górzysta. Wielki łańcuch gór skalistych przerzyna ją prawie na dwie równe części, idąc w kierunku z północy na południe. Są tam jeszcze i inne góry niezmiernej wysokości, z których niektóre, pod względem kształtu i barwy, przedstawiają się bardzo szczególnie. Niekiedy szczyty ich wznoszą się zupełnie prostopadle, niby ściany domu i są tak wąskie, że się zdaje, iż można na nich siedzieć, jak na koniu. Często też występują one niespodzianie z łona płaszczyzny, jak ostrokęgi, co je czyni podobnemi do filiżanki herbaty, stojącej na stole. Inne mają szczyty ostro zakończone, niby iglice, inne zaś szeroko i szczerbato, niby dom w kolumny i gzemsy strojny. Te góry, w pewnej odległości, przedstawiają czarną, ciemno-zieloną lub niebieską barwę. Ostatnia pochodzi od sosen i cedrów, rosnących na bokach gór; są jednak góry, na których nie znalazłbyś

ani jednego drzewa, ani śladu roślinności. Skaliste, granitowe ich boki kończą się głębokimi i straszliwymi przepaściami. Są inne, których szczyty pokrywa śnieg, niby białym, świetnym płaszczem. Widać je z ogromnej odległości. Śnieg ten nigdy nie taje, bo jego wzniesienie się nad poziom morza jest olbrzymie. Inne szczyty przedstawiają się białe z przyczyny skarłowaciałych cedrów, pokrywających je, lub też z powodu wapiennej formacji, która się na nie złożyła. Inne jeszcze, na których nie widać ani drzew, ani liści, lśnią się najżywszemi barwami, czerwoną i zieloną, żółtą i białą. Pochodzi to także z formacji gór, przeświecającej przez rozpadliny i szczyby. Nakoniec znajdują się i takie, które błyszczą blaskiem miki i selenitu. Gdy słońce obrzuci je promieniem, zdaje się, że się oblały płonącym złotem i srebrem.

A jak dziwne rzeki przebiegają te okolice!... Jedne z nich toczą swe fale w łożysku szerokim i głębokim, wysłanem świecącymi piaskami. Następnie, gdy się idzie za biegiem ich wód, spostrzega się, że szerokość łożyska maleje i przychodzi do miary zwykłej w innych krajach... potem — woda zanika coraz bardziej, toczy się wolniej i ginie, niewidzialna, w piaskach pustyni. Idziesz jeszcze dalej, a oto znowu woda się ukazuje, rośnie, olbrzymieje, płynie korytem tak szerokim i głębokim, że wygodnie pomieścić ono może wielkie statki i nieść je do morza o całe

setki kilometrów odległości. Do takich rzek należą Arkanzas i Laplata.

Inne znowu, ściśnięte spadzistymi brzegami, utworzonymi ze skał wysokich na wiele tysięcy stóp, toczą swe zimne wody pośród granitów, niby wąwozem uwieszone, zamknięte i niedostępne. Czasami w ten sposób płyną takie rzeki na kilkaset mil, a brzegi ich są tak spadziste i nieprzystępne, że niepodobna dostać się do łożyska. Niejeden z podróżników, chcących zbadać położenie i bieg tych wód, życiem przepłacił swoją ciekawość. Do takich rzek liczą się Colorado i Snake.

Inne znowu przepływają dzikie, puste płaszczyny, ryją sobie głębokie koryta, mimo to jednakże zmieniają je corocznie, niekiedy oddalając się od poprzedniego łożyska o sto kilkadziesiąt kilometrów. Widzisz naprzykład ów strumień, sunący szybko po ziemi, z mrukiem i szmerem?... Płynie on tak kilka mil i wpada na rozległe kępy krzewów, ginąc pośród ich splątanych korzeni. Ale gdy je minie, ni stąd ni zowąd wylewa się w kilka rozległych, większych strumieni, które się wiją, płaczą wzajemnie, niby sploty walczących węzów; takimi są rzeki Brazos i Czerwona.

Jeziora pustyni amerykańskiej niemniej są szczególne. Niektóre z nich leżą pośród gór niedostępnych, nagich, skalistych, a poszarpanych na tysiące szczelin i przepaści. Żywej duszy nie

spotkasz między tymi olbrzymami, dumającymi nad zwierciadłem milczących, smętnych wód. Nawet ptak nie przylata ożywić tych samotnych, martwych miejsc. Inne jeziora znajdują się na dzikich bezpłodnych płaszczynach, ale w kilka lat później napróznobyś ich szukał. Wyschły lub znikły bez śladu, tylko na ich miejscu zalegają przestrzenie solnych kryształków, lub też błotniste kałuże, słońsze niż sam nawet ocean.

Źródła pustyni amerykańskiej przesiąkłe są albo sodą, albo siarką, lub wreszcie solanką; niektóre z nich są tak gorące, że zostają w stanie ciągłego wrzenia i nie włożyłby nikt ręki w ich wodę, ktoby nie zechciał sobie jej oparzyć.

W górach napotyka się głębokie rozpadliny, wydrążenia i pieczary; niektóre z nich sięgają w głąb płaszczyn, inne zaś przebijają nawskróś góry. Nazywają je *barranca*. Znajdują się wydrążenia na płaszczynach, o ścianach prawie prostopadłych, na kilka tysięcy stóp głębokie. Przez niektóre pieczary przepływają duże rzeki, niosąc fale swoje do środka gór i wydostając się jakby tunelem na wolną przestrzeń. Nazywają je *kanion*. Wszystko to do najwyższego stopnia charakteryzuje dziką, wielką pustynię amerykańską.

Ma ona także mieszkańców. Znajdują się oni w oazach, z których pewne rozleglejsze zajmują ludzie cywilizowani. Jedna z nich leży w okolicy Nowego-Meksyku i zawiera nawet wielką liczbę miast i blisko sto tysięcy mieszkańców hiszpań-

skiego pochodzenia w połączeniu z Indyanami. Inna oaza otacza wielkie jezioro Słone i jezioro Utah, i w r. 1846 przyłączoną została do Stanów Zjednoczonych, jako ich kolonia.

Oprócz tych dwóch wielkich oaz, są tysiące innych mniejszych, oblanych wodą rzek i pełnych roślinności. Większa ich część jest niezamieszkała, w innych zaś, przeciwnie, mieszkają plemiona indyjskie, często liczne i silne, posiadające konie i broń, a najczęściej dzielące się na pojedyncze rody; żyją one w nędzy, mając za pokarm zwierzynę, owady i rośliny. Oprócz Indyan, którzy zamieszkują oazy pustyni amerykańskiej, są jeszcze i inni ludzie, których nazwalibyśmy klasą szczególną mieszkańców, zmienną i niestałą. Są to myśliwi, trapery, czyli łowcy; żyją z polowania na byki i z łowu bobrów i innych zwierząt. Ich życie jest nieprzerwanym ciągiem niebezpieczeństw i trwogi; walczą z dzikimi zwierzętami, które napotykają często w swoich samotnych wycieczkach, i z Indyanami, z którymi zawsze są w otwartej wojnie. Szukają oni zdobyczy w bobrach, wydrach, piżmowcach, kunach, gronostajach, ostrowidzach i lisach, i w wielu innych zwierzętach. Jest to ich jedyne zajęcie i jedyny sposób utrzymania. *Forty*, albo stacye handlowe, pozakładane przez awanturniczych kupców, znajdują się w niewielkiej odległości jedne od drugich. Owóz ci myśliwi zamieniają

w nich swoją zdobycz na przedmioty żywności, odzież i inne rzeczy, niezbędne w ich stanie.

Inny jeszcze, ostatni rodzaj ludzi, przebiega pustynię amerykańską. Są to kupcy, którzy przebywają ogromne przestrzenie w celach handlowych. Wędrowki ich wzięły początek od czasu, gdy się zawiązał handel między dwiema olbrzymimi oazami Nowego-Meksyku i Stanów Zjednoczonych. Ci ludzie są po większej części rodowitymi Amerykanami. Gromada ich w podróży stanowi *karawanę*, która ze względu na cel, czyni pustynię amerykańską podobną do Sahary. Jeżdżą oni także na wozach, tak zwanych wagonach, ciągnionych przez muły lub woły. Przeciągają przez olbrzymie przestrzenie, nie napotykając nikogo więcej prócz gromad dzikich Indyan; są jeszcze miejsca tak jałowe i niewdzięczne, że nawet biedni dzicy utrzymać się w nich nie mogą.

Te karawany zazwyczaj obierają drogę przez okolice, w których w pewnych porach roku znaleźć mogą roślinność i wodę. Dróg tych jest kilka, a idą one na granicach Stanów Zjednoczonych i Nowego-Meksyku. Mimo przecież ostrożności i przezorności, zapuszczają się często mimo wiedzy w okolice dzikie, nieznanne, których ziemi nie dotknęła jeszcze nigdy stopa ludzka.

II.

Biały cypel.

Kilkanaście lat temu jechałem z karawaną kupców, która z Saint-Louis udawała się do Santa-Fe w Nowym-Meksyku. Postępowaliśmy drogą zwykłą; po przybyciu do Nowego-Meksyku, skręciliśmy cokolwiek dalej na południe, by wstąpić do miasta Chihaha, gdzie mieliśmy zbyć wszystkie nasze towary. Ukończywszy interesy, pozbywszy się tym sposobem ciężaru i mając tylko pieniądze, które nas bynajmniej nie obciążały, postanowiliśmy wracać inną drogą, krótszą i wiodącą wprost przez pustynię. Drogi tej wprawdzie nie znaleźliśmy, ale każdy z nas miał nadzieję, że ją znajdziemy i tym sposobem wskażemy drugim.

W El-Paso kupiliśmy konie i wozy, a nade wszystko muły, wynajmując do ich prowadzenia mulników, których z hiszpańska nazywają *arrieros*. Nasze konie należały do rasy bardzo cenniejszej i rozpowszechnionej w Nowym-Meksyku: były małe, ale rączne, żwawe i jedyne do podróży w pustyni. Zaopatrzyliśmy się także we wszelkie przedmioty odzieży i żywności, które zdawały się nam konieczne i niezbędne. Dobrze zaopatrzeni, siedząc na wozach i dzielnych koniach, uzbrojeni, jak małe wojsko i uprowidowani w zapasy żywności i amunicji, wyruszyliśmy z El-Paso, postępując w kierunku wschodnim.

Należało nam przebyć łańcuch gór Skalistych,

ciągnących się z północy na południe. Część jego najbliższa El-Paso, więc najdalej na zachód wysunięta, nosi nazwę gór Organowych, po hiszpańsku zaś Sierra des Organos. Nazwa ta pochodzi od kształtu gór, a raczej ich wierzchołków, przedstawiających wielkie podobieństwo do organowych piszczałek. Skały tych gór poszarpane, pokrajane przez rozpadliny, zadziwiają różnorodnością kształtów i szczególnem uwarstwowaniem. Ale najdziwniejszym zjawiskiem jest wśród nich jezioro, wzniesione do niepospolitej wysokości i mające, jak ocean, swój przyływ i odpływ. Dotąd nie zdołano wyjaśnić tej zaciekawiającej zagadki, oczekującej wytłumaczenia geologów. To jezioro jest ulubionem miejscem dzikich zwierząt, które się nad niem gromadzą; daniele i łosie znajdują się tu w wielkiej liczbie, a liczba ta rośnie tembardziej, że meksykańscy strzelcy, w zabobonnej trwodze omijają te miejsca, unikając stromych wzgórz i przepaści gór Organowych.

Przechodząc łańcuch, znaleźliśmy drogę, która nas wyprowadziła na otwartą okolicę, leżącą po wschodniej stronie gór. Szliśmy następnie po wschodnim stoku gór Skalistych i po kilkunastu dniach pochodu, w odnodze gór, noszącej nazwę Sacramento, napotkaliśmy płynący strumień, podług biegu którego postanowiliśmy postępować dalej. Tym sposobem idąc, natrafiliśmy na ogromną rzekę, toczącą swe fale z północy na południe; była to wspaniała rzeka *Pecos*, albo, jak ją

niekiedy nazywają, *Puerco*. Wszystkie nazwy tu-tejszych miejscowości są hiszpańskie; okolice te, któreśmy przebiegali, zaledwie komuś znane, należały do terytorium Hiszpanów meksykańskich.

Przeszedłszy rzekę Pecos, postępowaliśmy dalej nad jej lewym brzegiem, w nadziei napotkania innego koryta wody, płynącego w kierunku wschodnim, w którym to kierunku wypadało nam podążać. Przebyliśmy już wiele mil, nie napotykając tego, czegośmy szukali. Znużeni, stanęliśmy wreszcie w miejscu, w którym rzeka, siłą pędu i pracą wieków, utorowała sobie drogę przez sam środek wzgórz, sterczących przed nami, jak prostopadłe prawie ściany, niepodobne do przebycia.

Zaszedłszy dalej na północ, niżejśmy potrzebowali i zamierzyli, postanowiliśmy skręcić w kierunku wschodnim i przeciąć tym sposobem pochodem własnym szeroką i rozległą płaszczyznę, rozciągającą się tak daleko, jak daleko sięgały nasze oczy... Było to niebezpieczne przedsięwzięcie rzucać wodę, nie wiedząc czy ją przed sobą spotkamy. Podróżni w podobnych okolicznościach postępują zawsze za biegiem rzeki do chwili, w której znajdą inną rzekę lub strumień, płynący w kierunku, w którym udać się powinni. My jednak, zniecierpliwieni, że nie spotkaliśmy żadnego wschodniego przytoku rzeki Pecos, wbrew wskazówkom cudzego doświadczenia, zaopatrzywszy się w wodę, ruszyliśmy odważnie przez pustynię.

Po kilku godzinach marszu znaleźliśmy się

pośród straszliwie dzikich obszarów pustyni, pozbawionej wzgórz i wszelkich ziemnych wyniosłości; na tej olbrzymiej płaszczyźnie spostrześliśmy ślady najnędniejszej roślinności: karłowate krzaki dzikiej szafwii i kolczasty kaktus, ale nigdzie najmniejszych śladów trawy, którąby się pożywić mogły nasze biedne zwierzęta. Spalone łono pustyni wskazywało, że deszcz od niepamiętnych czasów tu nie padał; nigdzie ani kropelki wody; ziemia była sucha jak popiół, a kurz, wznoszący się z pod kopyt naszych koni i mułów, otaczał nas duszącymi swymi tumanami. Wyobraźcie sobie przytem straszliwy upał, zmęczenie podróżą i pragnienie, rosnące w miarę wyczerpywania zapasów wody, której nam przed nocą najzupełniej zabrakło. Cierpieliśmy od piekielnego pragnienia, nasze zaś zwierzęta cierpiały jeszcze bardziej, bo były głodne, a nie miały co jeść. Myśmy przynajmniej mieli zapasy żywności.

Niepodobna nam się było wracać, chociażby dlatego, że spodziewaliśmy się już teraz prędzej napotkać jakąś rzekę lub strumień, niż wracając dojść do tej, którąśmy pozostawili za sobą. Około południa wzrok nasz uderzyło rozkoszne zjawisko, a widząc je, nie mogliśmy powstrzymać okrzyku radości. Nie była to jednakże woda... nie, był to przedmiot biały, zarysowany niewyraźnie na ponurym błękitnie nieba w ogromnej odległości; miał on kształt trójkąta, zwróconego podstawą do góry, co mu nadawało podobieństwo do dzie-

cinnego latawca. Po chwili dojrzeliliśmy, że to jest wierzchołek góry, którego sam szczyt przedstawiał się niewyraźnie. Tak jest!... był to wierzchołek góry, okrytej wiecznym śniegiem!

Przypomnieliśmy sobie, na widok jego, że są w tych stronach góry, na których śnieg nigdy nie topnieje, i że te góry znane są w całym Meksyku pod nazwą gór Śnieżystych, a po hiszpańsku *Nevadas*. Przypomnieliśmy sobie także, że na stokach tych gór, w każdej porze roku, a tembardziej w lecie, gdy śniegi topnieją, płyną liczne strumienie. Otóż to nas przejęło największą radością, a chociaż góry były jeszcze ogromnie przed nami daleko, nabraliśmy nowej siły i energii; nawet nasze biedne zwierzęta, jakby rozumiały, że idzie o wspólne ocalenie, wydając radosne rzenie, przyspieszały kroku.

O ileśmy się zbliżali do niego, o tyle biały trójkąt przybierał większe i wyraźniejsze kształty. Przy zachodzie słońca mogliśmy już rozpoznawać czarne zręby spodniej części góry i złote barwy załamków jej wierzchołka, które go stroiły niby w przepyszną a bogatą koronę. Co za ponętny widok dla oczu zbłąkanych podróżników!

Słońce zaszło, a jego miejsce zastąpił na niebiosach księżyc. Przy jego bladym świetle szliśmy noc całą. A dlaczego nie zatrzymaliśmy się ani na chwilę?... oto dla bardzo prostej przyczyny: zatrzymać się, było to umrzeć.

Ranek zadziwił nas smutnie... Byliśmy już naj-

mniej o sto mil od rzeki Pecos, a przecież góry leżały daleko jeszcze przed nami. Zaledwie przy schyłku drugiego dnia mogliśmy rozpoznać góry i ich układ zewnętrzny. Od strony wschodu nie było ani śladu strumieni, a powierzchnię góry stanowiła ściana stroma, sięgająca do głębokiej przepaści. Domyśliśmy się jednak, że prawdopodobnie woda się znajduje w stronie południowej, bo w tamtej stronie topnienie śniegów jest najszybsze. Domysł nasz nie był płonny. Okrążyliśmy górę i po paru godzinach ostatnich wysiłków ujrzeliśmy równinę, pokrytą zielonością. Było to najdoskonalszym znakiem, że woda niedaleko znajdować się musi. Pęki drzew wierzbowych i bawełników dostatecznie nas o tem przekonywały. Ta pewność dodała nam sił; ruszyliśmy i po jakimś czasie z piersi naszych wydarł się słaby okrzyk radości. Po chwili ludzie, muły i konie spoczywali nad brzegami strumienia, którego kryształowe wody gasiły ich pragnienie.

III.

Oaza w dolinie.

Po pochodzie tak długim i tak nużącym potrzebowaliśmy wszyscy odpocząć i tym sposobem nabrać sił do nowych trudów. Pragnęliśmy się zatrzymać całą noc nad brzegiem strumienia, a następnie jeszcze pozostać tam dzień lub dwa. Wierzby rosły tu na przestrzeni kilkudziesięciu

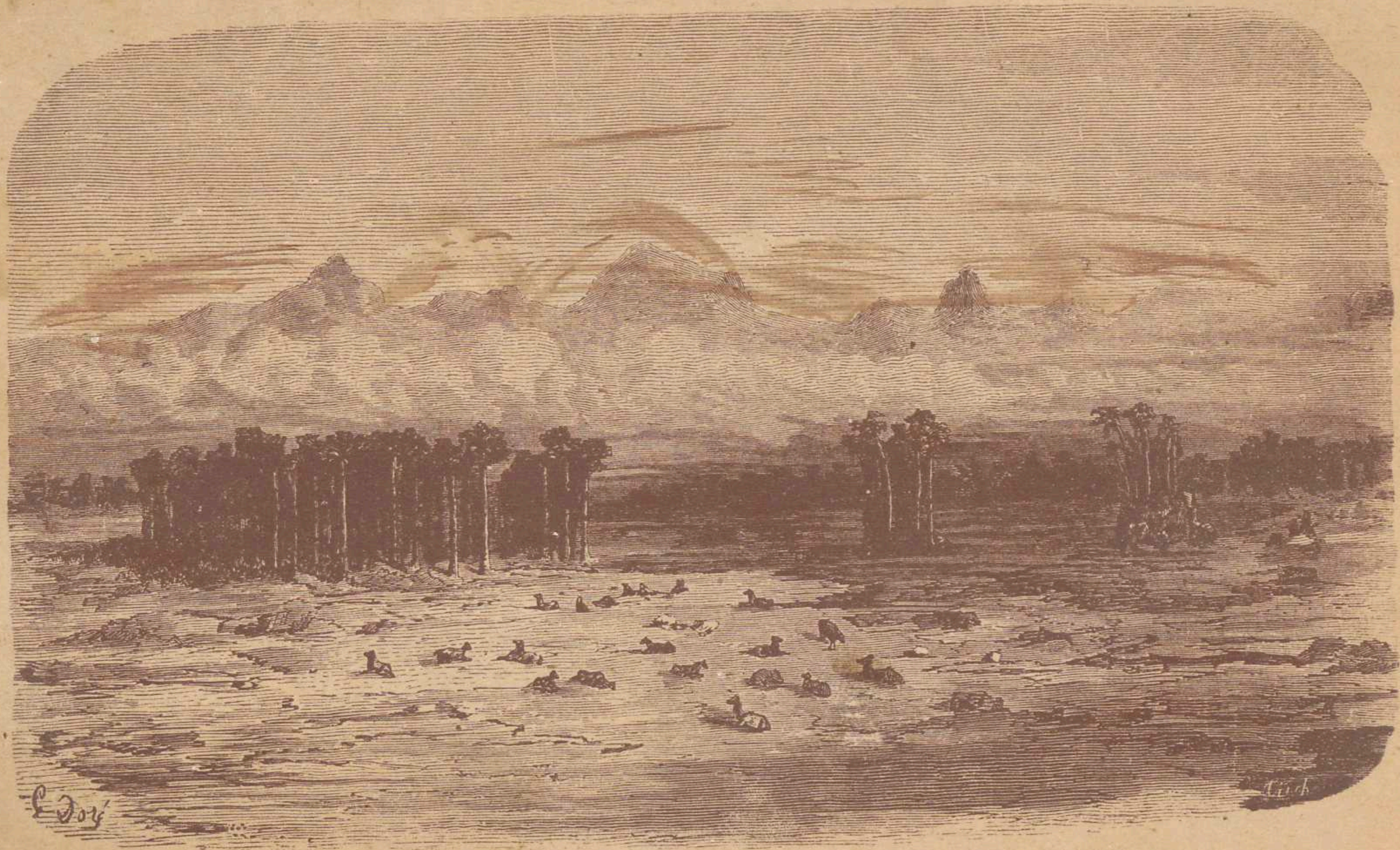
kilometrów, a pod ich cieniem rósł szczególny gatunek trawy, znanej w Meksyku pod nazwą *grammitu*. Jest to roślina pożywna i bujna, którą zarówno konie i muły, jak barany i inne zwierzęta spożywają z upodobaniem. Nasze zwierzęta rozjuczone rzuciły się na nią chciwie; oczy im się świeciły z radości, że ugasiły pragnienie i mogą zaspokoić obficie dokuczliwy głód. Pozostawiliśmy im w tem całą swobodę, pilnując tylko, by się od nas zbyt daleko nie oddalały.

Teraz zabraliśmy się do sporządzenia posiłku dla siebie. Nie było to trudnem, bo całe nasze zapasy żywności, wyczerpane bardzo w ciągu długiej błąkaniny, ograniczały się do niewielkiej ilości suszonego mięsiwa, które Meksykanie nazywają po swojemu *tasajo*. Otóż *tasajo* jest nędznem i niesmacznem pożywieniem; ani go równać ze świeżem mięsem, a tembardziej tylko co upieczonem. W początkach podróży mieliśmy świeże mięso, bo szliśmy przez okolice obfitujące w zwierzynę, a szczególnie w antylopy, których ubiliśmy z jakie pół tuzina. Dalej jednak pozostało nam już tylko obrzydłe *tasajo*.

Gdyśmy przygotowywali obiad, składający się z kawy i *tasajo*, Lincoln, jeden z towarzyszących nam myśliwych, dał ognia w stronę wyłomu. Patrząc w kierunku, który wskazywał nieopuszczony jeszcze karabin, ujrzeliśmy stado dzikich baranów, skaczących ze skały na skałę; są to zwierzęta, obficie zamieszkujące góry Skaliste. Lin-

coln pospieszył w stronę wylomu i po jakimś czasie wyniósł jedno z tych zwierząt na ramionach. Dziki baran, zabity wystrzałem wprawnego strzelca, był prawie tak wielki, jak daniel i miał rogi zakrzywione, niby sierp księżyca. Trzeba było długo pracować, zanim się udało obedrzeć go ze skóry i poćwiartować. Jednocześnie silne ręce naszych towarzyszków powaliły na ziemię pień drzewa, które runęło pod kilkunastoma uderzeniami siekier. Porąbane w kawałki, dało nam wyborny ogień, przy którym wkrótce upiekła się ćwiartka z dzikiego barana; obok soczystej pieczeni gotowała się kawa, wonna i wrząca, która miała zarazem rozpocząć i zakończyć nasz obiad. Gdyśmy się w taki sposób posilili, każdy z nas udał się na spoczynek, nim jednak zasnął, długo zapewne myślał o niebezpieczeństwach, które nas czekają.

Nazajutrz powstaliśmy jakby odmłodzeni; spoczynek dodał nam sił i pokrzepił umysły. Natychmiast złożyliśmy radę nad tem, co mamy przedsiębrać względem przyszłej naszej podróży. Niepodobna nam było postępować za biegiem strumienia, który płynął w stronę południową, a więc tam, gdzie nam iść nie należało. Kierunek nasz pokazywał wschód. Podczas gdyśmy się zastanawiali nad tem, okrzyk Lincolna zwrócił naszą uwagę. Stał on w dolinie, nisko się rozciągającej i spoglądał w stronę południa. Zwróciliśmy w tę samą stronę oczy i z ogromnem zdziwie-



E. Dory

Oaza w dolinie.

M. Zielwska

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

niem ujrzelismy słup dymu, który się wzbijał pod niebo, a zdawał się wychodzić z doliny.

— To Indyanie!... — zawołał jeden z naszych towarzyszków.

— Zeszłego wieczoru — mówił Lincoln — gdy się uganiał za dzikim baranem, spostrzegłem na dolinie wklęsłość, niby przepaść. Z tej przepaści właśnie wychodzi ów słup dymu. Łatwo się przecież domyśleć, że gdzie jest dym, tam musi być ogień, ogień zaś sam się rozniecić nie mógł... musieli to uczynić ludzie biali lub czerwoni...

— Indyanie, bezwątpienia Indyanie — zawołało kilku z nas. — Któżby inny mógł się znaleźć w miejscu tak oddalonem od wszelkich siedzib ludzkich? Tak, to muszą być Indyanie!

Naradziliśmy się natychmiast, co nam wypada czynić w obecnem położeniu. Zgasiliśmy ogień, zapędziliśmy nasze zwierzęta pod rozłożyste splecione konary wierzb. Jedni proponowali wysłanie małego oddziału na rozpoznanie długości strumienia, inni radzili, by się pięć na góry, skąd mogliśmy panować nad miejscem, z którego się wzbijał słup dymu i rozpoznać je, o ile się da. Tę ostatnią radę przyjęliśmy natychmiast, bo zdawała się najpraktyczniejsza i najbezpieczniejsza. Oddalając się w stronę przeciwną grożącemu punktowi, mogliśmy być spokojni; zresztą na każdą chwilę można było wrócić do zagrożonych pozostałych towarzyszków. Wybraliśmy się tedy

w sześciu i bezzwłocznie poczęliśmy się wdrapywać na strome i ostre ściany gór.

Wdrapując się na zrąb przepaści, zatrzymywaliśmy się co chwila, by spojrzeć w dolinę. Weszliśmy już na znaczną wysokość, gdy wtem niespodziana rzecz uderzyła nasz wzrok. Była to smuga światła, która zdawała się wydobywać z otworu góry, tak zwanego *barranca*, z którego wypływał strumień. Spojrzeliśmy w dolinę rozpościerającą się w dole: była to płaszczyna sucha i dzika; rozpatrywaliśmy się po niej, ale znaczna odległość nie dozwalała nam nic widzieć; wprawdzie zdawało nam się tylko, że od strony zachodu rozciąga się płaszczyna okryta zielenią, z drzewami rzadko rozsadzonymi, lub kępami krzaków dzikich. Przez środek tej równiny wiała się i plątała głęboka rozpadlina, niby brózda; było to zapewne łóżysko strumienia, wypływającego z *barranca*. Nie mogąc nic więcej rozpoznać i niczego więcej się dowiedzieć, powróciliśmy natychmiast na równinę, aby się złączyć z pozostałymi towarzyszami.

Postanowiono rozpoznać miejscowość, którąśmy tylko co widzieli i w tym celu, w sześciu, jak poprzednio, wzięwszy konie, udaliśmy się niebawem. Tym razem mieliśmy dotrzeć aż do krańców doliny, która przed godziną zadziwiła i zaciekała nas zarazem. Postępowaliśmy w milczeniu, wśród wierzb nad brzegiem strumienia rosnących, wśród których na wszelki przypadek

doskonale można się było ukryć. Tak uszliśmy około dwóch kilometrów drogi, poczem domyśliliśmy się, że jesteśmy tuż przy *barranca*. Jeszcze wprawdzie wzrok tego nie rozpoznawał, bo skały, sterczące i poszarpane w różnych kierunkach nie dojrzeć nie pozwalały, co się poza niemi znajdowało; ale szum i łoskot, podobny do szumu spadającej wody, dostatecznie nas o tem przekonywał. Z początku sądziliśmy, że to łoskot skały, utworzonej przez strumień, rzucony ze skały na skałę, ale wkrótce ujrzeliśmy ogromny strumień wody, wydzierającej się z wnętrza rozdartego wierzchołka góry i spadający w przepaść na kilkaset stóp głęboką.

Przepyszny był to widok, owa fala wody, rzucona z ogromnej wysokości w sam środek jeziora które u stóp góry zaległo. Szybkość spadającej wody była ogromna, a rozbity na miliardy kropeł jej strumień, odbijał precudnie wszystkim kolorami tęczy.

Tak, był to piękny widok, lecz wkrótce wzrok nasz uderzony został przez inny, stokroć piękniejszy. U stóp naszych, u podstawy wyniosłości prawie prostopadłej, na którejśmy stali, rozciągała się przepyszna łąka, okryta najbogatszą roślinnością. Jej długość wynosiła około szesnastu kilometrów, szerokość zaś zdawała się o połowę mniejsza. Znajdowaliśmy się na znacznej wysokości, mogliśmy ją zatem widzieć we wszystkich jej kierunkach i rozmiarach. Od strony

wyniosłości drzewa wznosiły się prawie prostopadle, dotykając wierzchołkami górnej jej krawędzi. Te olbrzymie drzewa były to cedry i jodły. Spostrzegliśmy także rozłożyste i grube konary kaktusa, rosnącego w szczelinach góry. Trochę dalej widać było *mezcal* dziki i fantastyczny, którego szkarłatne liście precudnie odbijały na tle powszechnej zieloności. Niektóre z tych roślin znajdowały się w szczelinach przepaści, inne zaś na bokach wzgórzystych, co całemu krajobrazowi nadawało szczególny charakter. Po bokach tej precudnej doliny wszystko było ponure i dzikie, i tym sposobem tworzyło sprzeczność, która potęgowała malowniczość widoku. Obok siebie mieliśmy posepne, poszarpane i nagie ściany gór, ale jakże się zmieniał widok, gdyśmy spojrzeli w dół! Tam wszystko zdawało się rozkoszne, uśmiechające się i przyjemne. Ta dolina, u stóp naszych rozciągnięta, zdawała się nam kobiercem, rozłożonym przed nami i wabiącym do pożądanego spoczynku. Jej precudne kwiaty, bogate wzory i desenie nęciły nas, przyciągały; liście drzew, bo to były już początki jesieni, świeciły się rozmaitemi barwy: żółtą, pomarańczową, purpurową i wreszcie kasztanową, ze wszystkimi odcieniami zielonego i białego koloru, co w nieskończonej mieszaniu i różnaitości, wistocie czyniło krajobraz podobnym do bogatego kobierca.

W pośrodku doliny srebrzyła się wstęga stru-

mienia, którego wody były czyste jak kryształ i przejrzyste jak zwierciadło. Słońce było właśnie w połowie swej drogi, a jego promienie, padając na powierzchnię wody, czyniły ją podobną do arkusza złotego papieru. Niepodobna nam było spostrzedz brzegów jeziora, ponieważ drzewa, wyniosłe i rozłożyste, zasłaniały nam część widoku, ale łatwo było widzieć, że dym, który nas sprowadził w te strony, wychodził ze strony wschodniej.

Powróciliśmy na pole, na którem zostawiliśmy naszych towarzyszków. Postanowiono, że wrócimy zaraz, by dotrzeć aż do miejsca, które nabawiło nas strachu i ciekawości. Chodziło teraz o to, kto jest ten, co w dolinie rozpałił ogień, z którego wzbijał się słup dymu.

Wziąwszy ze sobą Meksykanina, jadącego na mule, sami puściliśmy się konno. Podążaliśmy w stronę wschodnią, sądząc, że tędy najłatwiej i najszybciej dotrzemy do doliny. Przybywszy do miejsca, z którego doskonale widać było kłęby dymu, stanęliśmy, a dwóch z pomiędzy nas zsiadło z koni, ażeby iść brzegiem przepaści, tuż poza krzakami, które nas dostatecznie ubezpieczały od strony doliny. Tak idąc, spostrzegliśmy nareszcie to, co było powodem naszej ciekawości i niepokoju. Ale zadziwienie nasze teraz wzrosło do najwyższego stopnia, gdy oczom naszym ukazał się szczególny widok, któregośmy się wcale nie spodziewali. Na przeciwnym brzegu jeziora, o którym tyle razy wspominałem, stała osada z dwóch

domków złożona i bardzo pięknie przedstawiająca się. Płot z bali drzewnych służył temu zamieszkałemu miejscu za ogrodzenie, a okoliczne pola, podzielone symetrycznie, w połowie uprawne, w połowie zaś przeznaczone na pastwiska, dopełniały widoku osadniczej *fermy*, której charakter wybitny nosiła cała piękna kolonia. Odległość, z którejśmy na nią spoglądali, była bardzo znaczna; niepodobna nam było nic rozpoznać szczegółowo; widzieliśmy tylko doskonale, że na pastwiskach pasie się bydło... Co to były za zwierzęta, tego odrazu rozróżnić nie można było, ale zdawały się należeć do rozmaitych gatunków, a między niemi jedne były białe, drugie kasztanowate, inne graniaste...

Spostrzeżliśmy dwóch mężczyzn i czworo dzieci, wchodzących w ogrodzenie; na progu domu siedziała kobieta. Niepodobna było rozpoznać, czy to byli ludzie biali, ale łatwo było się domyśleć, że to nie byli Indianie, bo Indianie nie mogli sobie zbudować takiego mieszkania. Obraz ten dał nam bardzo dużo do myślenia. Zdziwiliśmy się, znajdując zagospodarowaną osadę pośród pustyni dzikiej i samotnej i w miejscu tak oddalonym od ludzkich siedzib.

Postanowiliśmy iść jeszcze dalej, ażeby znaleźć drogę, wiodącą do tej niezwykłej oazy. Sądząc, że ta droga znajdować się musi pośród doliny, skierowaliśmy swoje kroki w jej stronę. Po kilku milach pochodu znaleźliśmy się w miejscu, w któ-

rem strumień skręcał na wschód. Oto był zapewne kierunek, w którym idąc, mogliśmy dojść do osady. Napotkaliśmy przejście, ciągnące się nad samym brzegiem strumienia i załamujące się co chwila, tak jak i on, w różnych kierunkach. Była to zapewne szukana droga, wąska i idąca częstokroć tuż nad przepaścią, ale wygodna. Znalazszy przeto to, czegośmy szukali, puściliśmy się naprzód z otuchą i bez bojaźni.

IV.

Szczególna osada.

Droga ta wiodła nas ciągle tuż nad brzegiem strumienia, aż do krańców doliny. Cokolwiek dalej stanęliśmy nad wodami jeziora, które okrążając, mogliśmy spostrzedz widzianą pierwiej osadę. Zadziwiła nas ogromna liczba drzew, rosnących na szerokiej przestrzeni, niby nieprzedarty las, wśród liści którego uwijało się najprzeróżniejsze i najpiękniejsze ptactwo.

Stanęliśmy wreszcie na miejscu, z którego widać było ustęp leśny; w tym ustępie wznosiła się zaciekawiająca osada. Roztropność nakazywała nam wstrzymać kroki i nie postępować naprzód, dopóki pierwiej nie rozpatrzymy troskliwie miejscowości. Zaprojektowałem, by zsiąść z koni i ukryć się poza krzakami, za którymi doskonale mogliśmy postępować, widząc wszystko, a zabezpieczając się jednocześnie od oczów cudzych.

Tym sposobem po jakimś czasie mogliśmy już najdokładniej rozpatrywać osadę.

Dom, dobrze zbudowany, zrobiony był z pni drzewnych, na wzór domów, wznoszonych we wschodnich okolicach Stanów Zjednoczonych. Po jednej stronie rozkładał się ogród, który otaczały uprawne pola. Staraliśmy się rozpoznać płody tych pól i zdawało nam się, że na jednym z nich rosła kukurudza, na drugim zaś pszenica. Co nas jednakże wprowadziło w największe zdumienie, to zwierzęta, któreśmy spostrzegli na pastwiskach. Na pierwsze spojrzenie zdawało się, że uwijały się tam stworzenia bardzo pospolite przy gospodarstwach wiejskich w Anglii lub w oświeconej Ameryce; były tam konie, bydło, barany, kozy, trzoda chlewna i drób. Po bliższem jednak rozpatrzeniu poznaliśmy jakieś zupełnie nam obce stworzenia, których nie umieliśmy nazwać, z wyjątkiem jednego konia, będącego rzeczywistym koniem, tylko o wiele mniejszym niż zwyczajny. Był to łaciasty *mustang*, koń pustyni. Poznaliśmy także po chwili, że bydło, które wzięliśmy narazie za poczciwe swojskie woły i krowy, było ni mniej, ni więcej, tylko bawołami!... bawołami, pasącymi się najspokojniej w świecie i nie zważającymi bynajmniej, że naokoło kręci się cała gromada innych stworzeń!... Co większa, cokolwiek dalej ujrzelśmy bawoły w jarzmie, pokornie ciągnące pług i pracujące ze spokojem i uległością roboczych wołów!

Inne zwierzęta, większego wzrostu niż bawoły, zwróciły naszą uwagę. Niektóre z nich, pochylone nad jeziorem, piły jego czystą wodę, w której odbijał się drżący wizerunek ich postaci, uzbrojonej w rozłożyste, silne rogi. Były to olbrzymie jelenie amerykańskie. Dalej pasły się daniele, antylopy, zwierzęta opatrzone krótkimi widłowatymi rogami i jakieś inne stworzenia, podobne do nich, których rogi były kręcone, jak rogi barana. Inne zwierzęta całą postacią przypominały barany, inne zaś były podobne do olbrzymich świń. Były tam także podobizny lisów i psów, a wśród tych wszystkich czworonogów uwijało się najróżnorodniejsze ptactwo, pomiędzy którem królował wielki i napuszony dziki indyk. Doprawdy, ten ożywiony obraz przypominał mi doskonale menażeryę i ogród zoologiczny!

Ujrzeliśmy też i ludzi. Jeden z nich był wysoki, okazałej tuszy, o twarzy białej; drugi był negrem, małego wzrostu i szczupły; prowadził on pług, zaprzężony w bawoły. Przy kobiecie, siedzącej na progu domostwa, ujrzeliśmy dwóch młodych chłopców i dwie młode dziewczeczki, które zdawały się być jej dziećmi.

Zdumienie nasze wzrosło jeszcze bardziej na dziwny widok, któryśmy mieli przed oczami. Tuż przed domem, prawie przy progu, na którym siedziała kobieta, igrały dwa ogromne, czarne niedźwiedzie. Nieopodal ujrzeliśmy inne zwierzęta, podobne z postaci do psów, których jednak ogony

gęste, cienka sierść i oczy małe, ale o spojrzeniu dzikiem i bystrem, dowodziły, że to są wilki. Należały one do gatunku bardzo pospolitego w zachodnich Indyach. Było ich tam najmniej z pół tuzina. Wilki jednak nie były jeszcze największą osobliwością. Przechadzały się tam i inne zwierzęta, lub leżały u stóp siedzącej kobiety. Ich okrągła głowa, ich oczy duże i bystre jak u kota, ich czarna i krótka mordka, białe podgardle a czerwone, niby podpalane piersi, dostatecznie wskazywały nam ich nazwę.

— Pantery — szepnął mój towarzysz, silnie wzruszony widokiem tych strasznych zwierząt.

Tak, były to rzeczywiście pantery, jak je nazywają myśliwi; były to lwy amerykańskie. Gatunek ten u naturalistów nazywa się *felis concolor*.

Pośród tych dzikich zwierząt proszę sobie wyobrazić dwie dziewczeczki, nie zwracające bynajmniej uwagi na ich obecność!... Widok ten przeniósł mnie mimo mej woli w owe czasy, o których Pismo święte mówiąc, powiada: »lew spoczywać będzie wśród jagniąt«.

Postanowiliśmy zakończyć naszą wycieczkę i powrócić do towarzyszków. To, cośmy widzieli, zadziwiło nas, ale i zadowoliło. Po upływie pewnego czasu cała nasza szczupła karawana wkraçała już na równinę, a okrzyki zadziwienia ze strony ludzi i radosne odgłosy zwierząt wkrótce zdradziły naszą obecność w pobliżu osady. Najniezawodniej wzięto nas w pierwszej chwili za

bandę Indyan, ale staraliśmy się jak najprędzej dać się poznać. Przyjęto nasze wyjaśnienia, a po chwili ów człowiek biały, któregośmy już widzieli, ofiarował nam w najdelikatniejszy sposób szczerą gościnność i prosił, byśmy weszli za próg jego osady. Jednocześnie wydał rozkaz przyrządzenia dla nas posiłku. Wzięto też nasze konie i zaprowadzono je na miejsce, na którym się znajdował olbrzymi drewniany żłób... Nasypano im tam ziarną, które wygłodzone, biedne zwierzęta chrupały z nieporównanym apetytem. Stało się to według rozkazów naszego gospodarza, które wypełnił widziany już przedtem negr i dwaj młodzi chłopcy, zapewne synowie białego osadnika.

Na każdym kroku spotykaliśmy coś, co nas wprawiało w zadziwienie. Wszystko tu było szczególne, wyjątkowe. Zwierzęta, któreśmy dotąd widywali tylko w stanie dzikości, napotykalismy tu najzupełniej przyswojone, niby dobytek spokojnego rolnika. Co chwila widzieliśmy coś nowego. Najszczególniejsze rośliny rosły na polach i w ogrodzie, szczep winny piał się po palikach i tyczkach — złote ziarna zboża leżały w żłobie; przyswojone jaskółki latały obok gołębi... wszystko było zadziwiające i czarujące zarazem. Chodziliśmy po osadzie, przypatrując się jej szczególnościom. Doprawdy, było na co patrzeć!

Po upływie godziny zawołano nas na obiad.

— Proszę panów — rzekł do nas uprzejmie gospodarz, wskazując nam drogę do swego domu.

Weszliśmy i po chwili siedzieliśmy na przygotowanych miejscach, naokoło stołu, którego kształty szczególne harmonizowały najzupełniej ze szczególną zastawą obiadu. Jedne potrawy były nam doskonale znane, inne zaś zupełnie dla nas obce i nowe. Były tam potężne zrazy dzicyzny, ozory i kotlety z bawołu, pieczone ptactwo i jaja z dzikiego indyka z przewybornym omletem; był tam chleb, masło, ser, a wszystko to podbudzało nasz apetyt, który i tak nie potrzebował najmniejszej podniety. Byliśmy nieledwie umierający z głodu, bo jeszcze od rana nie mieliśmy nic w ustach. Jakieś duże naczynie stało nad żywo płonącym ogniem. Co ono mogło zawierać? Najniezawodniej ani kawę, ani herbatę. Zaspokojono wkrótce naszą ciekawość; postawiono przed nami filiżanki i wiano w nie intrygujący nas płyn; miał on przewyborny zapach i smak. Był to wyciąg z korzenia *sassafrasu* z klonowym cukrem; kto chciał, mógł to pić ze śmietanką, która się znajdowała także na stole. Piliśmy ten napój z wielką przyjemnością i prawie wszyscy zgodziliśmy się na to, że jest tak dobry, jak najlepsza chińska herbata.

Podczas obiadu nie mogliśmy się dosyć naziwić szczególności przedmiotów, które nas otaczały. Wszystkie sprzęty były proste i roboty grubej, choć czystej; widocznie były one wykonane na miejscu. Naczynia zrobiono z najróżnorodniejszego materiału i rozmaitych kształtów. Były tam

półmiski, słoje i szklanki z łupiny dyni i tykwy, nie brakło nawet łyżek. Były talerze i misy wyrzynane z drzewa, i różnego rodzaju naczynia z czerwonej gliny, rozmaitej wielkości i formy. Były nawet wazy do zupy i karafki do wody.

Krzesła przedstawiały się bardzo ozdobnie, chociaż kształtem i rozmiarem dowodziły, że nie robił ich stolarz z rzemiosła. Prawie wszystkie pokryte były niewyprawną skórą, co im nadawało szczególny charakter. Niektóre z nich lżejsze i delikatniejsze, służące zapewne do umeblowania paradnych pokojów gospodarza, pokryto zgrabnie palmowymi liśćmi.

Zwróciły także naszą uwagę ściany, które przyozdobiono produktami, w jakie zaopatrzyła osadników dolina, służąca im za miejsce pobytu. Pozawieszano na nich wypchane ptaki, o pięknych i rzadkich piórach, rogi zwierząt, a nawet skorupy żółwie, doskonale utrzymane i oczyszczone. Nie mogliśmy tylko znaleźć szkła ani obrazów, a nawet książek, z wyjątkiem jednej. Był to średniej wielkości tom, umieszczony na stoliczku, zapewne umyślnie na ten cel zrobionym. Księga ta, pielęgnowana z najtroskliwszą starannością, była oprawna w skórę młodej antylopy, ozdobną w zgrabne wyszywania. Nie długo po mojem wejściu do domu osadnika, wzięła mnie ciekawość zajrzeć do wnętrza tej cennej, jak się domyślałem, książki. Gdym ją otworzył, na pierwszej zaraz stronie ujrzałem

wielkimi literami napis: *Pismo święte*. Okoliczność ta zwiększyła zajęcie, jakie miałem względem osoby osadnika i jego rodziny. Położyłem książkę na stoliczku z uszanowaniem, dziękując Bogu, że mi pozwolił doznawać gościnności chrześcijanina w tym zakątku ziemi, tak dalekim od ucywilizowanego świata, a tak bliskim dzikich ludzi i zwierząt.

Nasz gospodarz ze swą rodziną towarzyszył nam przy obiedzie. Wszystko, co nas otaczało, było dla nas istotnym powodem ciągłego zdumienia, które wzrosło, gdyśmy posłyszeli rozmowę dzieci osadnika. Byliśmy pierwszymi białymi, których widziały one od lat dziesięciu! Były to dzieci piękne i dobre, chociaż dzikie, pełne życia i ruchu. Było ich czworo: dwóch chłopców, Franciszek i Henryk, i dwoje dziewcząt. Jedna z nich była śniada o włosach czarnych i hiszpańskiej twarzy; druga przeciwnie, miała włosy jasne, prawie złote, niebieskie oczy i kształty drobne, tak, jak cała postać. Pierwsza nazywała się Ludwika, druga zaś Marya. Były bardzo ładne, choć nic do siebie niepodobne, a najszczególniejsza, że były w równym wieku. Chłopcy byli także jednego wzrostu, ale wiele starsi niż siostry. Zdawali się mieć około siedemnastu lat, ale niepodobna było rozpoznać, który z nich był starszy. Henryk, o jasnych włosach, o rumianej twarzy, podobny był do ojca, kiedy tymczasem Franciszek przypominał najzupełniej matkę. Żona osa-

dnika nie wyglądała więcej, jak na trzydzieści pięć lat; była widocznie silna, zdrowa i wesoła, a twarz jej zdradzała wewnętrzną dobroć.

Nasz gospodarz miał zapewne ze czterdziestkę; był wysoki, barczysty i trochę otyły. Jego włosy, dawniej jasne, teraz stały się jeszcze jaśniejszymi; rozjaśniła je przeświecająca już siwizna. Nie nosił ani brody, ani wąsów, a jego podbródek zdradzał swoją gładkością, że musiał być golo-
nym prawie codzień. W ruchach i słowach znać było człowieka, który przywykł dbać o swoją powierzchowność i dobre pozory — nasz gospodarz był na pierwszy rzut oka człowiekiem bardzo przyzwoitym. Po bliższem poznaniu się przekonałem się jeszcze, że był nadto człowiekiem wykształconym.

Odzież całej rodziny przedstawiała szczególniejszy charakter; ojciec nosił koszulę myśliwską i spodnie ze skóry daniela, najzupełniej podobne do spodni, używanych przez myśliwych z powołania. Chłopcy byli ubrani w taki sam sposób, z tą tylko różnicą, że mieli koszule z grubego płótna. Kobiety miały suknie w części z takiego samego płótna, w części zaś z pięknej skóry koźlej, przygotowanej tak delikatnie, że możnaby jej prawie użyć na rękawiczki. Kapelusze, w braku innego materiału, zrobiono niezmiernie zręcznie z liści palmowych.

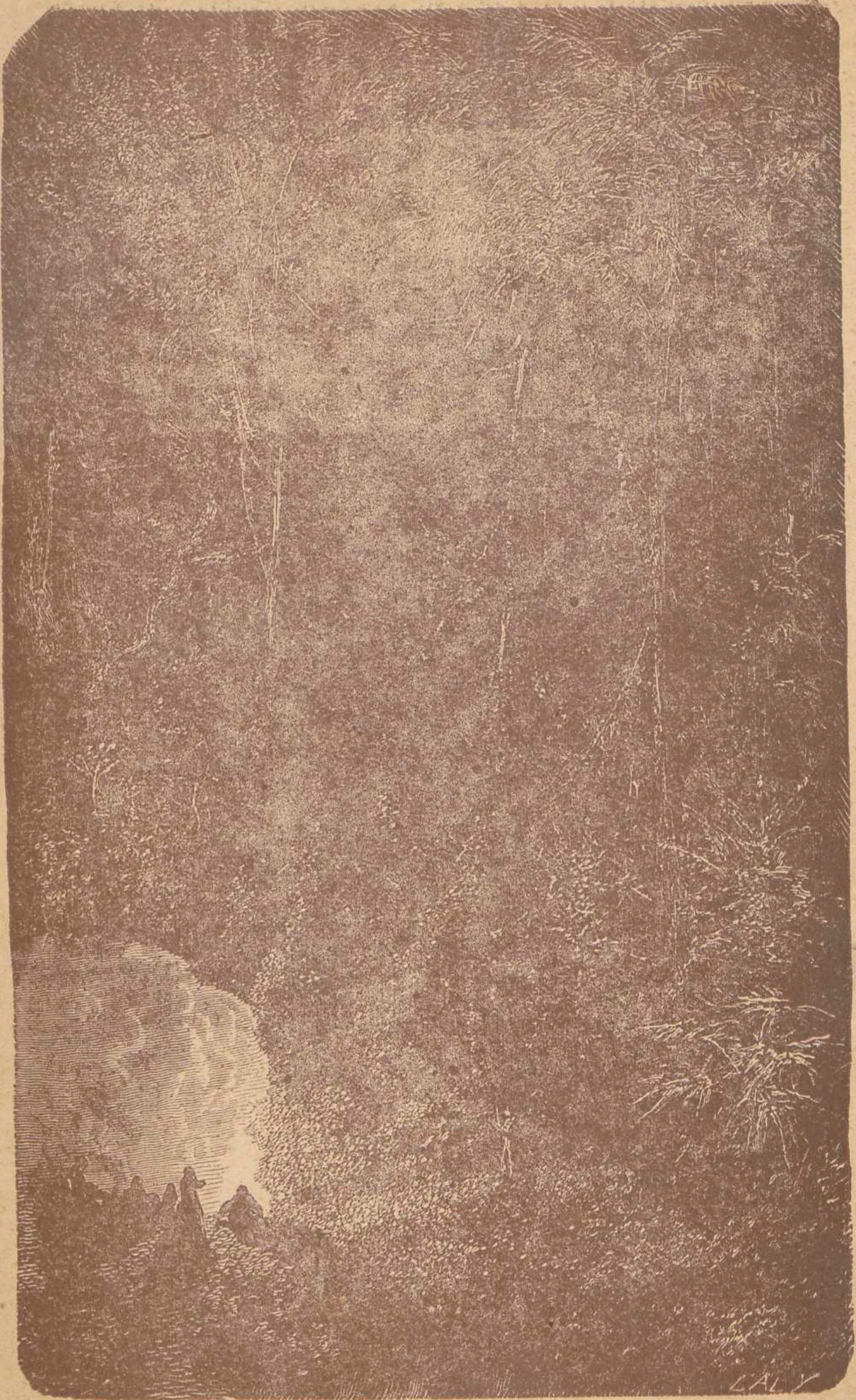
Gdyśmy byli u stołu, murzyn stał we drzwiach i co chwila rzucał na nas spojrzenie pełne nie-

powściąganej ciekawości. Był on niskiego wzrostu, krępy, czarny jak węgiel, i miał około czterdziestu lat. Głowa jego pokryta była gęstym, kręconym włosiem, jak wełną, a że włosy te były gęste i długie, więc czyniły ją podobniusięnką do ogromnego kłębka lub piłki. Miał duże, białe zęby; pokazywał je zawsze, ilekroć otworzył usta do uśmiechu; miał niezmiernie miły wyraz oczu czarnych i błyszczących, które ani na jedną chwilę nie spoczęły na jednym i tym samym przedmiocie... Blask ich migotał bez ustanku w najrozmaitszych kierunkach.

— Kudzo, wypędź te zwierzęta — rzekła do niego nasza gospodyni; — rozkaz jej jednak był wypowiedziany z taką łagodnością i słodyczą, że można było wziąć go za prośbę raczej. Murzyn natychmiast rzucił się na salę, a po chwili wszystkie zwierzęta, wszystkie wilki i pantery, siedzące najspokojniej u nóg naszych, znalazły się za drzwiami.

Wszystko, cośmy dotąd widzieli, tak nas zdumiewało i tak nie pozwoliło pohamować jawnego zdumienia, że uważaliśmy za stosowne wyrazić nasze zdziwienie bez ogródki. Obiad się właśnie skończył i w tej chwili zwróciliśmy się do gospodarza, wyrażając nadzieję, że nam zechce wyjaśnić zagadki, któreśmy na każdym spotykai kroku.

— Poczekajcie do wieczora — rzekł uprzejmie; — gdy otoczemy żywe i wesolo płonące



był to najlepszy środek zabezpieczenia się od napadu.

LIBRARY
BIV
MADONNA

ognisko, opowiem wam dzieje swojego życia i naszego wygnania — teraz zaś, gdyście się już posilili jadłem, należy postarać się o wzmocnienie ciała innymi środkami. Idźcie nad jezioro i wykąpcie się w jego orzeźwiających falach; słońce jeszcze z parę godzin będzie świecić i grzać, a kąpiel wypędzi z was znużenie podróży.

Uśluchaliśmy dobrej rady; po kąpieli przechadzaliśmy się jeszcze długo po osadzie i jej okolicach, a wszędzie widzieliśmy rzeczy szczególne i ciekawe, utworzone potężną dłonią natury, lub też słabą, ale wytrwałą ręką energicznych ludzi.

Wieczór zawitał. Po wybornej wieczerzy, usiedliśmy naokoło komina, ażeby posłuchać historyi Roberta Rolfa. Tak się nazywał bowiem nasz uprzejmy gospodarz.

V.

Rolf rozpoczyna opowiadanie.

— Moi przyjaciele — rzekł osadnik — nie jestem Amerykaninem, chociaż należę do tej samej rasy... jestem Anglikiem. Urodziłem się w południowej części Wielkiej Brytanii, będzie temu lat przeszło czterdzieści. Mój ojciec był posiadaczem a w części i dzierżawcą gruntów, które uprawiał; mówiono o nim powszechnie, że był bardzo zawnym gospodarzem. Na nieszczęście miał on zbyt wiele dumy na swój stan. Uroił sobie, że syn jego musi być człowiekiem wyższego świata,

w całym znaczeniu tego wyrazu; biedny ojczy-
sko nie zastanowił się, że przymioty tego rodzaju
ludzi i warunki ich trybu życia zrujnowały już
niejeden wielki majątek! Zamiary takie mego
ojca i plany nie były ani trafne, ani rozsądne...
niestety!... trzeba jednak przyznać, że były na-
stępstwem gorącego do mnie przywiązania. Ten
wzgląd pobudza mnie zawsze do uczuć najgo-
rętszej wdzięczności, a chociaż skutki ojcowskich
planów były opłakane — niepodobna w tem upa-
trywać jego winy. Chciał najlepiej, a zresztą —
był uczciwym człowiekiem!

Posłano mnie do szkół, w których pobierałem
nauki, mając za towarzyszków synów arystokra-
cyi. Uczono mnie tańczyć, jeździć konno, bić się
na szpady... Pomimo woli nauczono mnie też
wydawać pieniądze na przyjemnostki i pohulanki
z koleżkami. Gdym skończył nauki w kolegium,
wysłano mnie do obcych krajów; zwiedziłem
brzegi Renu, Francję, Włochy — a po kilku la-
tach wróciłem do rodzicielskiego domu, by zam-
knąć oczy umierającemu ojcu.

Byłem jedynym spadkobiercą jego majątku,
który był bardzo znaczny dla człowieka jego stanu.
Część mienia natychmiast spieniężyłem, aby się
udać za wzięte pieniądze do Londynu i tam,
w towarzystwie dawnych kolegów, pędzić wesołe,
puste życie bez jutra. Worek mój był ciągle
otwarty... złoto sypało się z niego na wszystkie
strony, bez rachunku, bez upamiętania, a po nie-

jakim czasie okupiło mi smutny nabytek rozczarowania, nudy i upadku moralnego. Tak jest, moi przyjaciele, był to upadek, który mógł być początkiem zupełnej zguby... gdyby nie *ona*.

Wymawiając ostatni wyraz, osadnik zwrócił się do swej żony, która siedziała przy boku komina, otoczona swoją rodziną. Podniosła ona w tej chwili oczy i uśmiechnęła się, a dzieci, pochwycawszy jej ręce, okrywały je pocałunkami najgorętszego przywiązania.

— Tak jest — ciągnął dalej osadnik — Marya mnie wybawiła, ona mnie uratowała. Kiedyś, w dzieciństwie naszym, dzielaliśmy wspólne rozrywki, a w epoce, o której mówię, spotkał się znowu. Dawna nasza przyjaźń odżyła i zamieniła się wkrótce w miłość, którąśmy zaprzysięgli sobie nawzajem wobec ludzi i Boga.

Na szczęście, długie życie zbytku i rozpusty nie wyplenilo z duszy mojej posiewu cnoty, jak to się dzieje z wielu ludźmi, przeszłość swoją rzucającymi w otchłań zapomnienia, jak ja to czyniłem. To, co w sercu mem złożyła niegdyś matka, jako podwaliny moralności, pozostało w niem... W chwili, w której zaślubiłem Maryę, postanowiłem zmienić zupełnie tryb życia. Przedsięwzięcie to jednak nie było tak łatwym do wykonania. Przedewszystkiem należało pozrywać stosunki i usunąć się od towarzystw, które dały najpierwszy powód życia bez pamięci i zasad. Na szczęście, kochałem całym sercem Maryę,

a miłość ta przewyciężyła wszystkie przeszkody i dodała mi siły i woli w walkach długich z otaczającym ponętym światem i sobą samym.

Ażeby popłacić długi, musiałem sprzedać pozostałą mi po ojcu resztę posiadłości. Po wykupieniu wszystkich moich weksli, pozostało mi jeszcze około 15.000 franków. Posag mej żony przyniósł mi sumę 65.000 franków, co uczyniło razem 80.000 franków. Kwota ta posłużyć nam miała, jako jedyny środek do utrzymania. Ośmdziesiąt tysięcy franków, to wcale niewiele, aby żyć za to było można porządnie w Anglii, a należy wziąć pod uwagę, że i moje położenie, moje stosunki w świecie nie pozwalały na zbyt znaczne ograniczenie się. Przez lat kilka, w których żyliśmy z gotówki, majątek nasz zmniejszył się do summy 50.000!... Namawiano mnie, abym się natychmiast przeniósł do Ameryki, gdzie za te pieniądze można nabyć wcale ładną posiadłość. Usłuchałem tej rady, a mając na myśli zapewnienie przyszłości swej rodzinie, wraz z nią wsiadłem na okręt i popłynąłem do Nowego-Yorku.

Poznałem wkrótce człowieka, za pośrednictwem którego miałem nadzieję wynaleźć jaką korzystną i odpowiednią posiadłość. Miałem pewien pociąg do rolnictwa i odważnie spoglądałem w przyszłość nowego zawodu. Mój doradca radził mi nie kupować gruntów nieuprawnych, na których dopiero trzebaby było rozpoczynać ciężką pracę osadnika. »Przedewszystkiem — mó-

wił — nie kupuj pan ziemi za całą sumę. Lepiej mieć kapitał zapasowy, rozpoczynając gospodarkę na gruncie już przygotowanym i uprawionym. Kup pan osadę gotową z zabudowaniami, co panu oszczędzi i czasu, i trudów».

Uznałem całą słuszność tej rady, ale czy moje pieniądze wystarczą na kupienie takiej posiadłości?... Odpowiedział, że wystarczą i dodał, że zna odpowiednią osadę w stanie Wirginii. »Jest to plantacya, którą radziłbym panu nabyć; możesz ją pan mieć za 12.000 franków».

Uradowany, obliczyłem, że zrobiwszy tak korzystny nabytek, za resztę pieniędzy mogę się jeszcze urządzać wcale przyzwoicie i dostatnio. Po jakimś czasie mój doradca oznajmił mi, że projektowana przez niego osada jest jego własnością. To mnie jeszcze bardziej podnieciło, a zawarwszy akt kupna i sprzedaży i wypłacwszy mu pieniądze, udałem się natychmiast do swojej posiadłości.

VI.

Plantacya w Wirginii.

Ujrzałem osadę taką, jaką mi ją opisano: była to obszerna plantacya z wygodnym drewnianym domem i dobrze uprawnemi polami. Rozpocząłem tedy gospodarkę od nakładów, ciężących na reszcie pozostałych mi pieniędzy. Jakże się jednak zdziwiłem, gdym się dowiedział, że przede-

wszystkiem muszę większą ich część wydać na zakup ludzi! Tak jest, musiałem się stanowczo zdecydować na kupienie lub wynajęcie niewolników, co wobec zasad moralności wychodzi na jedno. Bez niewolników musiałbym porzucić myśl gospodarowania na swojej posiadłości. Natychmiast tedy przystąpiłem do wstrętnego targu, który mi ostatecznie zabrał większą część pieniężnego zasobu. Ujrzawszy się bez wystarczających funduszy, począłem ciężką pracę — nie w celu z bogacenia się, bo tę myśl musiałem w tej chwili porzucić, ale dlatego jedynie, by żyć — by się utrzymać jako tako z moją biedną rodziną.

Pierwsze zbiory zawiodły mnie, ale miałem przynajmniej ziarno na zasiew. Drugie były jeszcze gorsze, a z największym swoim zmartwieniem odgadłem już przyczynę niewątpliwą tego niepowodzenia. Kupiłem ziemię wyjałowioną, wyczerpaną najzupełniej. Miała ona dobry pozór i patrząc na nią, można było sądzić, że jest żyzną. Kiedym ją po raz pierwszy obaczył, byłem pewny, że robię bardzo korzystne kupno, a szczególnie za tak małą stosunkowo cenę. Niestety!... pozory są bardzo często zwodnicze, a nigdy rozczarowanie nie mogło być zupełniejsze, jak moje obecnie. Moja piękna plantacya nie miała żadnej wartości! Przez wiele lat zasiewano jej pola kukurudzą, bawełną i tytoniem. Ziemia, wysilona na produkowanie tych płodów, nie mogła się już

zdobyć na wydanie żdźbła słomy! Nie miałem wskutek tego ani trochę nawozu, któryby jej mógł powrócić dawniejszą plenność.

Nie miałem tedy żadnych zbiorów pierwszego i drugiego lata, lub też bardzo złe. W trzecim roku rezultat był jeszcze opłakańszy, w następnych zaś latach stan rzeczy bardziej się pogorszył. Straszne widmo zupełnej ruiny na tej drodze poczęło mnie prześladować dzień i noc. Aby wyżywić i odziać swoich biednych murzynów, musiałem zaciągać długi. Niepodobna było dłużej zostawać w takim położeniu; aby popłacić długi, sprzedałem wszystko: swoją plantację, swoich niewolników i bydło. Nie, nie wszystko jednak sprzedałem! Pozostał mi dzielny i szlachetny człowiek, któremu ja i moja cała rodzina bardzo wiele zawdzięczamy. Nie miałem serca oddawać go w niewolnictwo innemu panu; służył nam tak wiernie, tak się do nas przywiązał! On pierwszy zwrócił mi uwagę na zawód, jakiego miałem doznać ze strony swojej plantacji; przeczuwając ogrom mego nieszczęścia, pełnił z gorącą gorliwością swoje obowiązki, zachęcał innych do naśladowania szlachetnego przykładu i miał nadzieję, że jego żelazna wytrwałość wynagrodzi nieurodzajność ziemi. Były to nadzieje złudne, ale niemniej czułem powinność wywdzięczenia się za te nieklamanej przyjaźni objawy; darowałem mu wolność — nie przyjął jej. Nie

chciał nas porzucić i obecnie jeszcze znajduje się razem z nami!

Mówiąc te słowa, opowiadający wskazał Kudza, który stał nieporuszenie na progu drzwi i słuchał z radosnym uśmiechem mowy, która była zapewne w tej chwili największą dla niego nagrodą.

Rolf mówił dalej:

— Po sprzedaży i po zupełnym obrachunku, pozostało mi już tylko 12.000 franków. Z tak małymi zasobami niepodobna było myśleć o dalszem prowadzeniu jakiegokolwiek gospodarstwa. Postanowiłem tedy udać się w stronę zachodu i osiedlić w wielkiej dolinie Mississipi. Sądziłem, że w tych bardzo mało zaludnionych stronach z łatwością będę mógł nabyć ziemię, po urządzeniu której z równą łatwością przyjdzie mi założyć odpowiednią osadę.

W tych właśnie czasach zwróciło moją uwagę pewne ogłoszenie, które wyczytałem w dziennikach. Zapowiadało ono założenie nowego miasta, które miało powstać przy zbiegu rzek Ohio i Mississipi. Miano je nazwać Kairem, a wyjątkowe położenie wpobliżu dwóch największych rzek spławnych świata nie pozwalało wątpić, że po upływie kilkunastu lat stać się ono może najbardziej kwitnącem miastem Ameryki. Wszystko to zapowiadało i wróżyło ogłoszenie, kilkakrotnie powtórzone. Ogłaszano także sprzedaż małych kawałków ziemi wpobliżu miasta, na których

osiedleni rolnicy i przemysłowcy mogliby korzystać z sąsiedztwa w przyszłości z olbrzymiem targowiskiem, w jakie obrócić się ono miało... kiedyś! Nie miałem spokojnego dnia ani nocy dopóty, dopóki nie kupiłem takiej małej cząstki ziemi, przewidując korzyści nieprzewidziane!

Zawarłszy stanowczą umowę, udałem się natychmiast na miejsce, aby obaczyć nowy nabytek. Zabrałem ze sobą żonę i dzieci, których miałem wówczas troje; dwoje starszych było bliźniętami, mającemi po dziewięć lat wieku. Ponieważ nie mieliśmy zamiaru wracać do Wirginii, nasz wierny Kudzo towarzyszył nam, aby podzielać z nami dalsze nasze koleje.

Była to przykra podróż, ale stokroć mniej przykra niż zgryzota, która nas oczekiwała za przybyciem do owego nieszczęsnego Kairu. Nie było tam nic, prócz jednego domu, zbudowanego na jedynem miejscu, które nie było bagnem ani trzęsawiskiem. Prawie wszystkie place, przeznaczone pod przyszłe miasto, znajdowały się pod wodą. Ulice, które tu kiedyś miały się wspaniale rozłożyć i uplanować, pokrywały teraz lasy, strumienie lub błota.

Przed wyjazdem oglądałem olbrzymi, szczegółowo narysowany projekt owego miasta. Na papierze widziałem teatry, kościoły, pałace sprawiedliwości i komisyj handlowych, giełdę i olbrzymie bazary... w rzeczywistości ani śladów tego wszystkiego odnaleźć nie było można. Po-

śród błota i trzęsawisk stał tylko wspomniany już dom, jedyny, nędzny, sklecony na prędcie. Dom ten był najobrzydliwszą karczmą, w której strach było siedzieć przez godzinę. Kręcili się po niej marynarze bardzo podejrzanej powierzchowności i obyczajów, które wstrętem przejmowały.

Co było robić?... Pozostawiłem rodzinę w tym szkaradnym domu, a sam pospieszyłem czempredziej odszukać swój kawałek ziemi. Znalazłem go, ale pod wodą, która na wstępie sięgała mi do kolan!... Trochę dalej nie mogłem już zgruntować, a straciwszy wszelkie nadzieje i zrozpaczony, wróciłem do karczmy, nie wiedząc co mam czynić.

Postanowiłem udać się do Saint-Louis pierwszym statkiem, jaki się nawinie. Tam sprzedałem swoją część ziemi pod »Kairem« za sumę, która nie była nawet czwartą częścią tego, com za nią zapłacił.

Nie potrzebuję wam mówić, jak byłem całą tą sprawą zgryziony. Moje zmartwienie rosło z każdą chwilą, bo w każdej chwili myślałem o przyszłości swojej żony i swoich biednych dzieci. Czy jednak miałem prawo przeklinać Amerykanów i Amerykę?... Byłoby to niesprawiedliwie!... Dwa razy byłem już zawiedziony w najsmutniejszy sposób, ale czyż oszustwo, którego się stałem ofiarą, nie mogło być przytrafić mi się tak samo w moim kraju rodzinnym, jak tutaj?... Dwa razy mnie okradziono — ale mogło się to stać po raz trzeci i dziesiąty, bo było

przedewszystkiem skutkiem własnego mego, niepraktycznego wychowania.

VII.

Karawana.

Przybywszy do Saint-Louis, miałem już tylko 2.500 franków. Suma ta rychło mogła się być wyczerpać, gdybym, założywszy ręce, nie pomyślał o tem, co mi dalej czynić należy.

Właśnie wtedy w hotelu, w którym mieszkałem, zjawił się młody Szkot, z którym się wkrótce poznałem. Jak ja, był on obcym w Saint-Louis i jak ja, pochodził ze *starej ojczyzny*¹⁾. Po zabraniu znajomości, przyszło do obustronnych zwierzeń, z których on poznał moje troski w Wirginii i Kairze, ja zaś dowiedziałem się o jego planach i zamiarach. Nowy mój znajomy okazał gorące współczucie dla moich smutków i powiedział mi, że jest górnikiem i że od kilku lat pracuje w kopalniach miedzi, niedaleko od środka wielkiej pustyni, w górach Los Mimbres, na zachód rzeki Del Norte.

Szczególny to naród, ci Szkoci! Naród nieliczny, a jednak pełno ich na wszystkich punktach ziemi. Idźcie gdzie chcecie, a znajdziecie ich wszędzie, i to w położeniu znośnem lub nawet

¹⁾ Tak mieszkańcy Stanów Zjednoczonych nazywają Anglię, z której pochodzą.

na drodze do majątku, a czy w ubóstwie, czy w powodzeniu, nie tracą ani na chwilę gorącego przywiązania, jakie noszą w głębi serca dla swojej rodzinnej ziemi.

Mój znajomy był właśnie w podróży do Stanów Zjednoczonych, z których wracał przez Saint-Louis i Santa-Fe do swojej miedzianej kopalni. Towarzyszyła mu żona, młoda i piękna Meksykanka i jedyne dziecko. Czekał on na małą karawanę hiszpańską, która miała się skierować ku Nowemu-Meksykowi. Chciał się z nią udać w dalszą podróż, ażeby w liczniejszym towarzystwie być bezpiecznym na przypadek napadu dzikich Indyan.

Wysłuchawszy moich zwierzeń i utyskiwań, radził mi życzliwie, bym mu towarzyszył i ofiarował mi bardzo korzystne zajęcie w kopalni, której był dyrektorem. Zniechęcony pobylem wśród mieszkańców Stanów Zjednoczonych, od których doznałem samych tylko przykrości, oho-tnie przyjąłem jego propozycję. Natychmiast tedy, pod jego osobistym kierunkiem, począłem się gotować do drogi. Pieniądze, które miałem, posłużyły mi w tym razie wybornie. Kupiłem za nie wóz z parą pociągowych wołów, który miał wieźć moją żonę i moje dzieci, a także przedmioty niezbędne w tak dalekiej podróży. Nie potrzebowałem najmować woźnicy, ponieważ nasz Kudzo udawał się z nami, a ręką jego mogłem z największą ufnością powierzyć opiekę nad drogo- cennym dla mnie pociągiem. Dla siebie kupiłem

konia, karabin i wszystkie przedmioty niezbędne w podróży przez stepy. Moi synowie, Henryk i Franciszek, mieli także swoje karabinki, kupione jeszcze w Wirginii, a Henryk umiał swego doskonale używać.

Gdy już wszystko było gotowe, puściliśmy się w drogę, która nas zawieźć miała w odludne, dzikie pustynie.

Karawana nasza nie była liczna; wielka karawana, która co rok wychodzi w kierunku Santa-Fe, poprzedziła nas o kilka tygodni. Było nas około dwudziestu ludzi, mieliśmy zaś ze sobą dwanaście wozów. Oprócz nas, prawie wszyscy byli Meksykanie, którzy powracali ze Stanów Zjednoczonych, gdzie udali się w celu zakupu kilku sztuk armat dla gubernatora Santa-Fe i mieli obecnie przy sobie działo i dwa bronzowe moździerze z lawetami, amunicją i jaszczkami.

Nie potrzebuję zapewne opowiadać wam wszystkich niewygód podróży, wszystkich niebezpieczeństw wśród dzikich stepów, gdy przychodziło przebywać strome góry lub rwące, olbrzymie potoki. W pustyni spotkaliśmy dzikich Pawnisów, a nad brzegami Arkanzasu małe plemię Kajenny, i jedni i drudzy jednak nie śmieli nas zaczepić. Po dwóch miesiącach podróży straciliśmy ślady zwykłej handlowej drogi i karawana nasza, w celu uniknięcia napadu straszliwych Arapahosów, skierowała się ku rzece Kanadyjskiej, aby postępować dalej wzdłuż jej prawego brzegu.

Było widocznem na każdym kroku, że wchodzimy w krainę straszliwie dziką i nieznaną. Postępowaliśmy zwolna — droga bowiem nasza stawała się coraz trudniejszą. Tu i owdzie przerzywały je tak zwane *arroyos*, to jest łożyska wyschniętych rzek i strumieni, o brzegach częstokroć tak spadzistych a wysokich, że trzeba było szukać przejścia dla wozów na przestrzeni kilku mil.

Przy jednej z takich niebezpiecznych przepraw złamał się dyszel u mego wozu. Odpręgliśmy natychmiast woły i przy pomocy Kudza usiłowałem związać sznurem dyszel tak, żeby można było puścić się w dalszą drogę. Spowodowało to jednakże pewne opóźnienie, wskutek którego nasi towarzysze wyprzedzili nas. Mój przyjaciel Szkot, zaniepokojony naszą nieobecnością, wrócił do nas, ofiarując swoją pomoc; podziękowałem za nią uprzejmie, mówiąc, że mam nadzieję dogonić karawanę na najbliższym przystanku. Zresztą nie było nic nadzwyczajnego w tym całym wypadku; bardzo często zdarzało się, że jakiś wóz zepsuty zatrzymywał się w drodze, a sporządzony dopędzał tych, którzy go wyprzedzili. Znając ciesielskie doświadczenie Kudza, byłem zupełnie spokojny, a Szkot równie uspokojony, pospieszył naprzód, zalecając nam tylko pośpiech i ostrożność.

Po upływie godziny, za pomocą sznura i gwoździ sporządziliśmy dyszel i zaprzągłszy woły, puściliśmy się śladami towarzyszków podróży.

Uszliśmy z dobrą milę drogi, gdy obręcz koła naszego wozu, przez zbytne wyschnięcie samego koła, opadła z niego, a tym sposobem powstała w nas obawa, by całe koło zupełnie się nie rozpadło. Wzięliśmy się natychmiast do zaradzenia złemu, ale tym razem sprawa była o wiele trudniejsza — a smutny ten przypadek groził smutniejszymi jeszcze następstwami. Powziąłem myśl, by, dosiadłszy konia, pogonić natychmiast za towarzyszami i prosić ich o pomoc... ale przypomniałem sobie, że przy pierwszym niefortunnym zdarzeniu szemrali na mnie i wyrzucali mi nieostrożność. Postanowiłem tedy prosić o nią Szkota, ale puściwszy się w drogę, przez długi czas nie mogłem dojrzeć nikogo. Niespokojność o to, co się dzieje z moją rodziną, przypędziła mnie na powrót.

Wzięliśmy się jeszcze raz do roboty, nie tracąc ani chwili. Moja droga Marya, zawsze delikatna i wątła, ale silna we wszystkich przeciwnościach życia, pomagała nam, o ile sił starczyło, zachęcając, dodając odwagi i udzielając najśłodszej pociechy. Jak dawniej, tak i teraz broniła mnie od przystępu rozpaczy, z jednej strony ukazując mi obowiązki, z drugiej zaś opiekę Opatrzności, tak samo czuwającą wśród ludnych miast, jak i w dzikiej pustyni.

Po długich trudach, z młotem i gwoźdźmi w rękę, potrafilśmy wreszcie sporządzić koło, które stało się znowu tak silne, jak poprzednio,

ale była już prawie noc, gdyśmy skończyli tę trudną pracę. W chwili, w której wóz został osadzony na kołach i gotowy do drogi, słońce zaśzło. Nie znając drogi, nie mogliśmy puszcząć się w dalszą podróż po ciemku; a ponieważ mieliśmy właśnie do przebycia wodę, postanowiliśmy przeto pozostać na miejscu aż do przyszłego ranka.

Dzień zastał nas gotowych do drogi. Po spożyciu pierwszego posiłku, puściliśmy się śladami naszej karawany. Dziwiło nas niezmiernie, że żaden z towarzyszków nie wyjechał podczas nocy na nasze spotkanie. Szliśmy bez ustanku aż do południa, nie spotkawszy nikogo. Widzieliśmy tylko przed sobą kraj dziki, poprzeżynany wzgórzami skalistymi, w dolinie zaś, w którą wkraczaliśmy tu i owdzie widniała karłowata roślinność.

W chwili, gdyśmy przyspieszali nasz pochód, od strony gór dał się słyszeć niespodziany, dziwny odgłos, długi i zakończony silnie, niby huk i pęknięcie bomby. Co to mogło być?... Wiedzieliśmy dobrze, że towarzysze nasi, przy amunicyi i moździerzach, które ze sobą prowadzili, mieli także bomby. Czyliżby byli napadnięci przez dzikich Indyan i przeciwko nim użyli swoich dział?... Nie, to było bardzo nieprawdopodobnem. Słyszeliśmy tylko jedno pęknięcie bomby, a przecież były dwa działa... Chybaby jeden wystrzał wystarczył do rozpędzenia napadającej gromady! Czy może wystrzał nastąpił niezależnie od moich towarzyszków, przez zapalenie się prochów pod



LALY

Ale jakiż straszliwy widok uderzył moje oczy!...

BIBLIOTEKA
BN
WARSOWA

wpływem upału i słonecznych promieni? Bardzo łatwo stać się to mogło. Domyślając się przyczyn, wstrzymaliśmy pochód, nasłuchując powtórnego wystrzału. W taki sposób upłynęło pół godziny; nie było nic słyhać. Uspokojeni trochę i zdziwieni mniej wystrzałem niż tem, że nikt naprzeciwko nas nie dąży, puściliśmy się dalej. Postępowaliśmy ciągle śladami wozów, przewidując jeszcze długą drogę do miejsca, z którego dał się słyszeć wystrzał. Pochód nasz był pospieszny i gorączkowy, pragnęliśmy się bowiem połączyć z towarzyszami jak najprędzej. Przybyliśmy wreszcie na miejsce, ale jakież straszliwy widok uderzył moje oczy!... Teraz jeszcze, na samo jego wspomnienie, krew mi się w żyłach ścina. Wozy pogruchotane leżały na ziemi, przy pozabijanych wołach. Były tam i jaszczyki i działa, przy których gorzały jeszcze słabo dwa ogniska. Były tam także i istoty ludzkie, raczej trupy ich, rozciągnięte na ziemi, trupy, nad którymi pastwiła się gromada żywych stworzeń, dzikich, wyjących, wściekłych wilków, pożerających zwłoki żarłocznie! Konie i muły, należące do naszej karawany, leżały także pozbawione życia. Zniszczenie, mord, śmierć — oto cośmy spostrzegli, więcej nic!

Widocznie towarzyszków naszych napadła banda dzikich Indyan. Na samą o tem myśl chcieliśmy cofnąć nasze kroki, ale było już za późno. Byliśmy pośród miejsca, na którem spostrzeżono tych, którzy leżą u stóp naszych bez życia. Je-

żeli dzicy znajdują się jeszcze w pobliżu, wszelkie usiłowanie powrotu jest nadaremne. Uczta jednak, którą tu zastawili wilkom, dowodziła nam jasno, że przed upływem dosyć dużego czasu oddalić się stąd musieli.

Pozostawiwszy moją żonę z wozem w pewnym oddaleniu, pod opieką Henryka i Franciszka i ich celnych karabinków, ja i Kudzo wzięliśmy się do odpędzenia wilków od ich straszliwej biesiady. Było z pięćdziesiąt tych dzikich zwierząt w niewielkiej od nas odległości. Zbliżywszy się, mogliśmy rozpoznać swoich nieszczęśliwych towarzyszy, ale byli tak straszliwie poranieni i oszpeceni, że ani jednej twarzy niepodobna było odróżnić. Czaszki ich były oskalpowane¹⁾. Karawana nasza była nieliczna i nie mogła wytrzymać napadu licznej bandy, a że nie była kupiecką, nie prowadziła ze sobą przeto towarów. Indianie nie wiele zyskali na łupach, chociaż zabrali wszystko, co tylko przedstawiało dla nich jakąkolwiek wartość. Co zostało na miejscu, uległo zupełnemu zniszczeniu. Były jednak przedmioty nienaruszone, co dowodziło, że Indianie, przerażeni niespodzianym i przypadkowym wybuchem bomby, pierzchli w nieładzie, w wy-

¹⁾ Indianie »skalpują« swoich nieprzyjaciół, zdzierając z ich czaszki skórę wraz z włosami. Skóry te stanowią ich wojenne trofea.

padku tym upatrując działanie Wielkiego Ducha, w ich pojęciu uosobienie Boga i Opatrzności.

Rozpatrywałem się na wszystkie strony, by odnaleźć mego towarzysza Szkota, ale nie mogłem rozpoznać jego ciała wśród innych trupów. Szukałem także jego żony, która, wyjąwszy mej Maryi, była jedyną kobietą, towarzyszącą naszej karawanie; i jej ciała odnaleźć nie zdołałem. »Niema wątpliwości — mówił Kudzo — że ją dzicy uprowadzili żywcem«. W tej właśnie chwili usłyszeliśmy zacięte ujadanie psów, zmieszane z wściekłym wyciem wilków, które zdawały się z nimi walczyć. Odgłosy te pochodziły z miejsca cokolwiek oddalonego. Sądziłem, że to nasz Szkot przybywa z dwoma swymi wielkimi psami z Saint-Louis. Były to one — niezawodnie one! Pospieżyliśmy w kierunku ich odgłosów, wiodąc kroki nasze przez rzadkie zarośla. Przybywszy na miejsce, ujrzelśmy dwa ogromne psy, krwią okryte, walczące zaciekle z całą gromadą wilków, w obronie jakiegoś przedmiotu, czerniącego się w krzakach. Było to ciało kobiety. Prześliczne dziecko trzymało się obiema rękami jej szyi i wydawało okrzyki śmiertelnej trwogi. Za pierwszym rzutem oka poznaliśmy, że kobieta była nieżywą, i że dziecko...

W tej chwili opowiadanie naszego gospodarza najniespodziewaniej przerwano. Mac Knight, górnik, który podróżował wraz z nami, i który

podczas całej opowieści zdradzał najżywsze wzruszenie, powstał nagle, wołając:

— Wielki Boże!... moja żona, moja biedna żona!... Rolfie, Rolfie, czyli mnie nie poznajesz?...

— Mac Knight!... — rzekł Rolf zdziwiony; — Mac Knight, tak jest, to on... to on!...

— Moja żona, moja nieszczęśliwa żona — mówił górnik z wyrazem głębokiej boleści. — Wiedziałem, że musiała być zabita, ale moje dziecko!... Rolfie, co się stało z moją córką?!

— Oto jest — odrzekł Rolf — wskazując jedną z mniemanych swoich córek, a w tej chwili mała Luiza znalazła się wśród uścisków i pocałunków ojca.

VIII.

Opowiadanie górnika.

Niepodobna opisać sceny, która nastąpiła po niespodziewanem odnalezieniu straconego tak dawno dziecięcia. Cała rodzina znalazła się na nogach, wszyscy mówili ze łzami w oczach, otaczając ukochaną Luizę, która od tej chwili dla dzieci i żony Rolfa zdawała się nazawsze straconą. Ta myśl głęboko przejęła serca dzieci, które na przyszłość nie miały prawa nazywać jej swą siostrą.

Pośród tej wzruszonej gromadki stała śliczna brunetka, z oczami pałającymi od radości, ale pozornie spokojna i umiejąca nad wzruszeniem swoim zapanować. Do tej radości, do szczęścia

z odnalezienia ojca, mieszała się gorzka myśl, że tych, których za braci i siostrę przywykła uważać, przyjdzie może niezadługo porzucić nazawsze.

Kupcy i strzelcy, towarzysze mej podróży, podzielali ogólne wzruszenie. Ściskali ręce naszego gospodarza i jego żony z najwyższym współczuciem; historia nieszczęścia, której przed chwilą wysłuchali, obudziła gorące ich zajęcie. Kudźo z progu drzwi niespodzianie poskoczył na środek pokoju, wyprawiając skoki szalone, zdradzające jego radość; nawet przyswojone pantery i wilki, które się za nim tu wdarły, zrozumiały ogólną uroczystość chwili. Mruczały wesoło, chociaż dziko i dla naszego ucha groźnie. Gospodarz chcąc uczcić radosne zdarzenie, wybiegł z pokoju i powrócił, stawiając na stole naczynie z brunatnej gliny. Postawiono przed nami kubki z łupiny dyni wyrobione, a po chwili napelniły się one czerwonym płynem... Jakżeśmy się zdziwili, kosztując tego napoju. To było wino, wino wśród najgłębszej pustyni! Było to nadto wyborne wino, a nasz gospodarz objaśnił, że jest ono wyciśnięte z jagód dzikiego muszkatu, rosnącego obficie w dolinie.

Kiedyśmy popijali ten wyborny napój, Mac Knight, uchwyciwszy wątek historyi, opowiedzianej przez Rolfa, tak mówił:

— Kiedym was porzucił, Rolfie, w chwili gdyście sporządzali zepsuty wóz, udałem się natychmiast za karawaną. Droga była, jak sobie to

zapewne przypominasz, wygodna i łatwa, szliśmy więc dalej spiesznie i bez przestanku. W chwili gdy słońce zachodziło, stanęliśmy nad małą rzeczką; myślałem wtedy, że, naprawiwszy rychło wóz, dognacie nas jeszcze na tym przystanku. Zapaliliśmy ogień, by sobie zgotować żywność. Po wieczerzy zasiedliśmy około płonącego ogniska, gawędząc i paląc fajki. Ponieważ nie przypuszczaliśmy, by w tej okolicy mogli się znajdować Indianie, nie uważaliśmy za potrzebne strzedz się i mieć na baczności. Co chwila nadśluchiwałem, czy nie pochwycę uchem waszego pochodu. Było głucho... Było już późno i lękałem się, czyście nie stracili śladów naszej drogi. Myśl ta zaniepokoiła mnie niezmiernie. Zostawiwszy żonę i dziecię przy dobrym ogniu i w licznych towarzystwie, pobiegłem na dosyć oddalone wzgórze, aby z niego spojrzeć w kierunku, w którym musieliście się znajdować, zmierzając ku nam. Ciemności nie pozwalały mi nic dojrzeć. Słuchałem przez jakiś czas, sądząc, że usłyszę wasze głosy lub skrzypienie kół waszego wozu. Usłyszałem coś innego: oto przeraźliwy okrzyk, którego straszliwe znaczenie odrazu zrozumiałem; był to okrzyk wojenny dzikich Arapahosów! Ujrzałem ich cienie na tle oddalonego ogniska; rozpoznałem po chwili zmieszane odgłosy dzikiej radości z okrzykami trwogi i rozpacz... Usłyszałem nadto pośród ogólnego zamieszania własne imię, wyrывая się z piersi mej żony!

Nie namyślając się ani chwili, rzuciłem się w kierunku, w którym widziałem i słyszałem wrzącą walkę. Miałem za jedyną broń wielki nóż, którym począłem uderzać na wszystkie strony. Myśl ratowania mej żony pędziła mnie naprzód bez pamięci. Wbiegłem w sam środek taboru, krzycząc rozpaczliwie: Luizo! Luizo!... Nikt mi nie odpowiadał — nie ujrzałem nikogo. Znalazłem się tylko oko w oko z dzikimi, z którymi rozpocząłem śmiertelną walkę, rozpaczliwą i nierówną. Większa część moich towarzyszków już poległa. Dzida jednego z Indyan przeszła mi udo. Rzuciłem się nań z wściekłością, a zadawszy mu stanowczy cios swym nożem, zwałem go u swych stóp bez życia.

Nie mając przed sobą nikogo, wyciągnąłem żelazo z rany i spojrzałem na plac walki. Wszyscy moi byli zwyciężeni, równie jak ja, moja żona i dziecko. Tryumf dzikich był zupełny... nikt nie został przy życiu, prócz mnie. Przejęty trwogą, w przystępie zachowawczego popędu rzuciłem się na kolana i począłem się czołgać w krzaki. Nie zawlokłem się dalej, jak na odległość stu kroków; straciłem siły tak, że niepodobna mi było postępować dalej. Znajdowałem się wśród skał, na wyniosłości wzgórza, u stóp którego rozciąga się głęboka przepaść. Staralem się czołgać dalej, ale wysiłek mój był daremny. Utrata sił i wpływ krwi powaliły mnie o ziemię. Omdlały, bezprzytomny, straciłem zmysły.

W takim stanie przebyłem wiele godzin; gdym się obudził, dzień oświecał już jasno moją nędzę. Byłem niezmiernie osłabiony i znękany. Obejrzałem swą ranę: nie zważyła się ona jeszcze, ale krew przestała już z niej płynąć. Podarłem swą koszulę na bandaż i obwiązałem ją jak mogłem najtroskliwiej. Zawlokłem się później nad sam zrab przepaści, rozpatrując ją najbaczniej. Zdawało mi się słyszeć okrzyki Indyan w odległości bardzo małej, w kierunku pola. Odgłosy te słyszałem jeszcze przez parę godzin. Nagle wybuch bomby powtórzył się tysięcznym, grzmiałem echem wśród skał. Po nim nastąpiły okrzyki trwogi i tętent wielu naraz oddalających się koni, poczem wszystko ucichło. Domyśliłem się, że dzicy porzucili miejsce swego zwycięstwa, ale nie przyszło mi na myśl, by to uczynili ze strachu. Cokolwiek później przekonałem się o tem, a wasze domysły były bardzo prawdziwe. Bomba, rzucona nieświadomie w ognisko, wybuchem swoim zabiła kilku Indyan. Pozostali wzięli to za działanie Wielkiego Ducha. Przerażeni, rzucili się na koń i pozostawiając niedopalone ogniska, uciekli w stronę, z której przybyli. Pomimo to, zdawało mi się podczas nocy, że wciąż słyszę okrzyki dzikich; lada chwila oczekiwałem ich napadu, a trwoga straszliwa mnożyła okropne domysły.

Gdy się już zupełnie ściemniło, próbowałem powlec się dalej, ale napróżno. Straszliwa to była dla mnie noc — noc cierpienia i trwogi! Moja

rana dokuczała mi okropnie, a oczy moje widziały — nie dzikich — to prawda, ale błyszczące ślipie wilków, które wietrzyły przyszłą ucztę...

Gdy słońce weszło, nie słyszałem już nic. Wywłókłszy się ze swej kryjówki, z pieczary, w której się przypadkiem znalazłem, ujrzałem przy wejściu do niej drzewo, które Meksykanie nazywają *pinia*, a które jest rodzajem sosny. Owoc jego, w kształcie szyszki, służy za pożywienie dzikim plemionom, zamieszkującym zachodnią część wielkiej pustyni, w okolicach gór Skalistych i Kalifornii. Gdybym mógł się dowlec do stóp tego drzewa, niezawodnie znalazłbym pod niem leżące jego owoce. Nadzieja dodała mi sił... wywlokłem się ze swej jaskini. Musiałem przebyć ze dwadzieścia kroków, by stanąć u zamierzonego celu, ale byłem tak osłabiony, że potrzebowałem na tę bolesną podróż półtorej godziny czasu. Ku wielkiej swej radości znalazłem ziemię, pokrytą spadłymi owocami. Usiłowałem uwolnić je z łupiny i to udało mi się — a potem jadłem mięsiste ziarno z żarłocznością, która wkrótce znikła wraz z uspokojonym głodem.

Ale inne uczucie, straszniejsze jeszcze, poczęło mi dokuczać: umierałem prawie z pragnienia. Czyliż będę się mógł zawlec na pole, do strumienia? Wzgórzyste położenie miejsca kazało mi być pewnym, że nigdzie bliżej wody nie znajdę. A jednak należało ją zdobyć lub umierać! Mając tę myśl okropną za bodziec, przed-

siewziąłem puścić się w drogę, wynoszącą przeszło trzysta kroków, bez nadziei, bez wiary w dojście do celu. Postąpiłem zaledwie sześć kroków — gdy niespodzianie ujrzałem białe kwiatki drzewa szczawiu, *lyonii*, jak go nazywają naturaliści, kwiaty, których widok przejął serce moje najżywszą radością. Podsunąłem się do drzewa i nachyliłem jedną z najbliższych jego gałęzi, pożerając z chciwością jego liście kwaskowate i pełne soków. Później nachyliłem drugą gałąź i trzecią i objadłem je tak starannie, jakby to uczyniła gromada jeleni. Czułem, jak z każdą chwilą pragnienie moje przygasa i wreszcie, pokrzepiony, zasnąłem pod cieniem dobroczynnej, błogosławionej *lyonii*.

Gdym się przebudził, poczułem, że wracają mi siły, a wraz z niemi i apetyt. Gorączka, która poprzednio wzmagala się, teraz zdawała się zmniejszać. Wiedziałem, że należy to zawdzięczać liściom ożywczego drzewa, bo *lyonia* nietylko gasi pragnienie, ale uśmierza jeszcze i gorączkę. Zerwałem sporo jej liści, zrobiłem z nich zawiniątko i powróciłem zwolna pod drzewo *pinii*. Dlatego zaś niosłem ze sobą zapas liści, bo wśród nocy, na przypadek głodu, niepodobna było myśleć o wyprawie w celu ich zerwania. Chociaż od jednego do drugiego drzewa było zaledwie dziesięć kroków, przebyłem tę odległość z trudnością nie do opisania. Najmniejszy ruch sprawiał mi straszny ból i męczył mnie śmiertelnie.

Przepędziłem noc pod *pinia*, a nazajutrz, zjadłszy trochę jej owoców, zebrałem je na zapas i udałem się znowu do *lyonii*. Pod jej gałęzmi pozostałem przez cały dzień, gasząc pragnienie ożywczymi liśćmi i karmiąc się przyniesionymi szyszkami.

Następne cztery noce przepędziłem pod jednym lub drugim drzewem, żywiąc się z darów, w które mnie zaopatrywały. Gorączka szczęśliwie minęła, uśmierzona użyciem liści z *lyonii*. Rana moja poczęła się powoli zablizniać, ból zaś przedstawiał mi dokuczać z każdą prawie chwilą. Wilki odwiedzały mnie bardzo często, ale widząc błyszczące ostrze mego ogromnego noża, trzymały się w przyzwoitej odległości.

Na czwarty dzień udałem się w kierunku strumienia; postępowałem na czworakach, sycząc z bólu i wlokąc za sobą zranioną nogę z najwyższą ostrożnością. Gdym był już wpobliżu drogi, którąśmy z karawaną dążyli, spotkałem przedmiot, którego widok ściał mi wszystką krew w żyłach. Był to szkielet, szkielet kobiety... tak!... był to niezawodnie szkielet mojej nieszczęśliwej żony!...

W tej chwili opowiadającemu górnikowi zabrakło w piersiach głosu, bo go tamowało bolesne wzruszenie. Wszyscy, którzy słuchali jego historyi, i którzy widzieli jego boleść, ronili ciche, smutne łzy współczucia. Mac Knight, z wysileniem panując nad sobą, mówił dalej:

— Widziałem, że był on pogrzebany, co mnie zadziwiło, bo tego z pewnością nie uczyniliby Indianie. Nie przypuszczałem, żeby to było waszem dziełem. Po tak smutnem odkryciu, powróciłem jeszcze na drogę, ale napróżno szukałem waszego wozu i waszych śladów; to mi kazało przypuszczać, że minęliście już te miejsca, i że jesteście daleko. Szukałem więc drogi, którąście podążali, ale i tej znaleźć nie mogłem. Powracam do chwili, w której znalazłem kości mej żony, by wam zakończyć historję smutnego mego pobytu w pustyni.

Wilki to niezawodnie odkopały i pożarły jej zwłoki. Szukałem następnie śladów mego dziecięcia, ale nie mogłem na nie natrafić. Szukałem ich nawet w ziemi i między liśćmi, któremiście przysypali ciało mej żony — ale napróżno. Powróciłem na pole, które tak właśnie wyglądało, jak je opisał Rolf, z tą tylko różnicą, że teraz nie wilki, lecz ptaki odbywały ucztę na trupach naszych biednych towarzyszków. Wilki już odbiegły, zapewne odpędzone przez was. Nigdzie, nigdzie ani śladu mego dziecięcia.

W jednym z wozów znajdowała się stara skrzynia, napełniona produktami żywności; uniknęła ona rozbójniczej chciwości dzikich. Otworzywszy ją, znalazłem, oprócz innych przedmiotów, kawę i suszone mięso. Było to szczęśliwe odkrycie, bo mięso i kawa stanowiły w tej chwili dla mnie nieoceniony skarb, a szyszki *pinii* uspo-

kajały głód, ale nie dawały ciału ani sił, ani zdrowia.

Miesiąc już przebywałem w tych stronach. Sypiałem przez noc na wozie, w dzień zaś udawałem się w celu narwania kwiatów *lyonii*; nie czułem już trwogi co do ukazania się Indyan, ponieważ wiedziałem, że w okolicach, w których przebywam, nie zamieszkuje ani jedno pokolenie dzikich.

Gdy już przyszedłem do sił, wykopałem dół, pochowałem w nim szczątki mej biednej żony i myślałem nad sposobem porzucenia tych miejsc, tak dla mnie smutnych.

Znajdowałem się wówczas zapewne o jakieś sześćdziesiąt kilometrów odległości od wschodnich granic Nowego Meksyku; ta odległość, jeśli ją miałem przebyć pieszo, czyliż nie dzieliła mnie od mego celu, jak niezmierzone przestrzenie oceanu?... Bądź co bądź, postanowiłem puścić się w drogę, zaopatrzyłem się zatem w worek szyszek *pinii*, w jedyny zapas żywności, który unieść mogłem.

W chwili właśnie, gdym się zaopatrywał na drogę, uszy moje uderzył odgłos rżenia. Przerażony, zwróciłem głowę w stronę, z której odgłos pochodził, ale jakaż była moja radość... ujrzałem muła, idącego samopas ku mnie!...

Zwierzę nie spostrzegło mnie jeszcze, ukryłem się zatem jak najprędzej, by go nie płoszyć swym widokiem. Ukryłem się zaś w wozie, w któ-

rym natychmiast zrobiłem ze sznura odpowiednią pętlicę, niby sidła; miałem w nie uplatać muła, skoro się tylko zbliży. Udalo mi się to wybornie, bo zwierzę na szczęście podeszło wprost ku wozowi, w którym się ukrywałem. Po chwili szyja znalazła się w pętlicy mego sznura, a w pięć minut muł znalazł się przy dyszlu, w zaprzęgu.

Zwierzę to było własnością naszej karawany; spłoszone, bląkało się po pustyni przez kilka tygodni, poczem, jak widzieliście, wróciło na drogę, którąśmy postępowali. Gdybym go nie schwycił, biedny muł wróciłby niezawodnie sam do Saint-Louis, dokąd znał drogę doskonale, odbywszy ją nieraz z karawaną tam i napowrót.

Po kilku dniach zrobiłem siodło i uzdeczkę, a następnie, zaopatrzony w worek z *piniami*, wsiadłem na muła i puściłem się w drogę, w kierunku Santa-Fe. Przy końcu tygodnia znalazłem się na miejscu, a po krótkim spoczynku udałem się dalej, do swoich kopalń.

Co się ze mną działo później, tego opowiadać nie będę, boby was to bynajmniej nie zajęło. Żyłem z dnia na dzień, jak człowiek, który niema przed sobą celu, który utracił wszystko. A teraz, Rolfie, wracasz mi cel mego istnienia, wracasz mi życie samo... bo wracasz mi moje stracone niegdyś dziecię, moją Ludwikę!...

Górnik umilkł, a nasz gospodarz, napelniwszy nasze szklanki winem, a fajki tytoniem, wrócił

do przerwane go wątku swego opowiadania i tak dalej je prowadził.

IX.

Zbłąkani w pustyni.

— Tak, moi przyjaciele — mówił Rolf — straszliwy widok przedstawił się naszym oczom! Wyobraźcie sobie te rozwścieczone wilki, te psy walczące z ostatnim wysiłkiem, tę nieszczęśliwą zabita matkę, to dziecię drżące od trwogi i wydające przeraźliwe okrzyki rozpacz y!... Wilki spostrzegły nas, zawyły straszliwie i groźnie, psy zaś natarły zajadlej, wydając radosne szczekania. Walka widocznie zaczęła się przed chwilą, zaraz po spędzeniu przez nas wilków z pola, inaczej biedne psy byłyby dawno już rozszarpane. Gdym się nachylił, by podnieść z ziemi strwożone dziecię, wydawało ono bolesne okrzyki: »mamo! mam o! obudź się!...« ściskając słabemi rączkami szyję umarłej. Niestety! matka jej nie mogła się już obudzić! Otrzymawszy śmiertelny cios, usiłowała schronić się między drzewami, gdzie się zawlokła w towarzystwie wiernych psów. Ramiona jej, otulające konwulsyjnie dziecię, wskazywały, że biedna matka skonała, przyciskając córkę do swojej piersi.

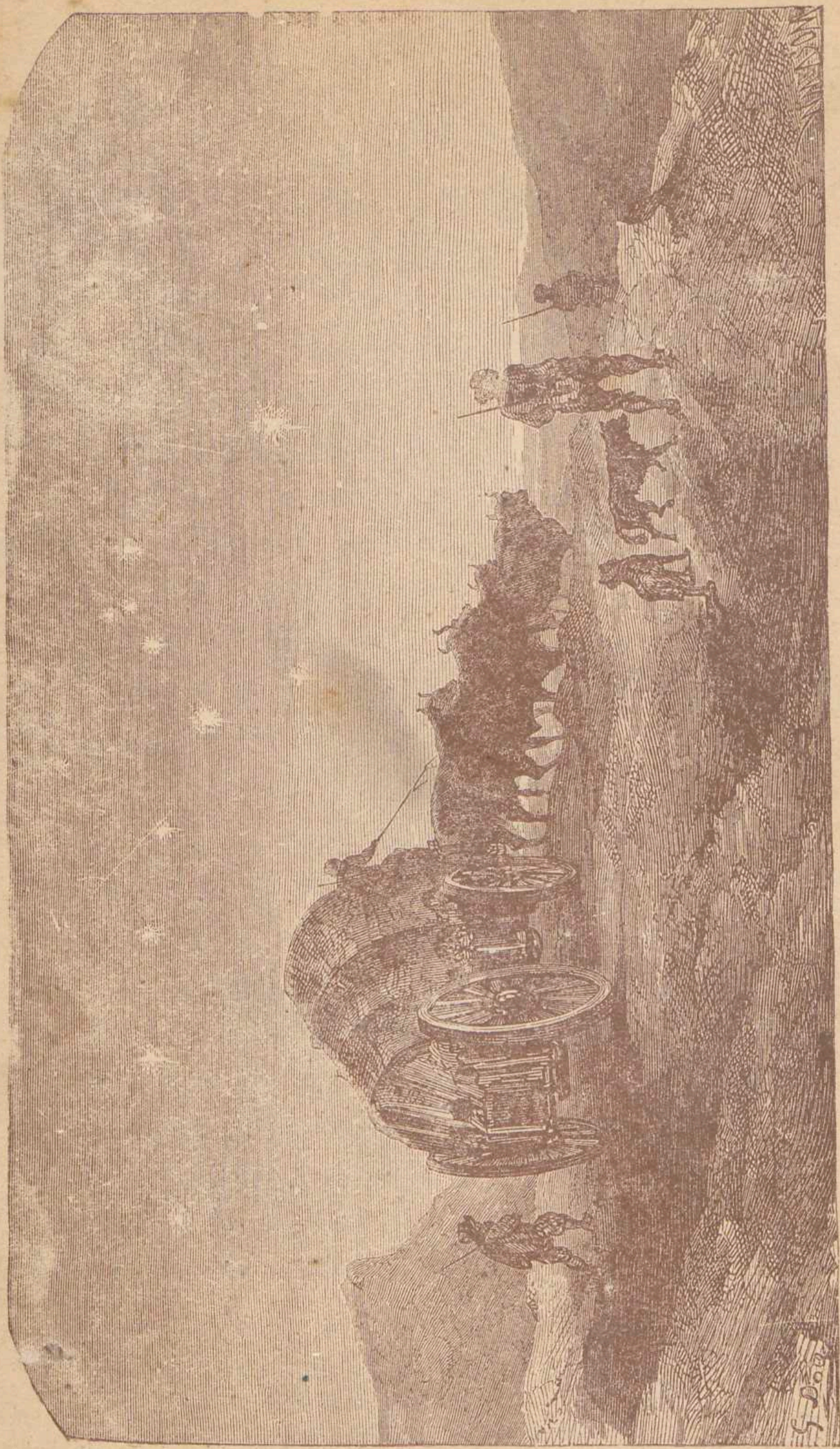
Kazałem Kudżowi strzedz ciała, sam zaś wróciłem natychmiast z dziecięciem do wozu. Przejęte niepokonany m przestraczem podczas walki

psów z wilkami, maleństwo to krzyczało ciągle, wzywając swojej matki i tuląc się do mnie z najwyższą bojaźnią.

Opowiadanie Rolfa przerwał jęk boleści Mac-Knighta. Ten dzielny, odważny człowiek i wytrzymały na wszystkie cierpienia, nie mógł się powstrzymać od łez, słuchając tak bolesnych szczegółów. Dzieci Rolfa płakały także, tylko Ludwika zdawała się spokojną i milczącą. Bardzo być może, że straszliwa scena, którą widziała, będąc dzieciąciem, wycisnęła na jej charakterze piętno niewzruszonego spokoju.

— Oddałem dziecię mojej żonie, ciągnął Rolf po krótkim przestanku. Gdy się znalazła w towarzystwie mej Maryi, prawie z nią równej wiekiem, przestała płakać i wkrótce zasnęła na rękach mej żony, swojej odtąd przybranej matki. Wziąłem łopatę, która się znajdowała na wozie, i udałem się z powrotem, w celu wykopania dołu. Następnie, przy pomocy Kudza, złożyłem weń ciało, przewidując ze smutkiem, że rychło takiej przysługi potrzebować będziemy... i oczekiwać jej napróżno!

Po spełnieniu tej bolesnej powinności, wróciliśmy do wozu; zaprowadziłem woły w zarośla, w których mogły się ukrywać przed oczyma obcych. Zleciwszy swoją żonę i swe dzieci opiece Boga, z karabinem na plecach udałem się w drogę, w celu przekonania się, czy dzicy opuścili te miejsca i w jakim udali się kierunku.



Był to palec Boży, wskazujący nam drogę.

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

Po rozważnym namyśle co do dalszej podróży, powziąłem zamiar, by się udać inną drogą, nie zaś tą, która wiodła do Nowego Meksyku! Chciałem się tedy przekonać, czy droga, którą przedsiębrałem, jest bezpieczna... choć w części.

Przebiegłem dwa czy trzy kilometry wśród skał i krzaków, aż do granicy wzgórz. Tam nareszcie ujrzałem drogę, w którą się udali Indianie; droga ta prowadziła w otwartą pustynię, w kierunku na zachód. Dzicy musieli być w nie-małej liczbie, jak się o tem przekonywałem ze śladów kopyt końskich. Ślady te wskazały także, że oddział ich, nie dzieląc się na cząstki, któreby rozbiegały się na strony, udał się cały w jedną drogę i w jednym kierunku.

Postanowiłem ciągnąć podróż swą przez dni kilka ku południowi, następnie zaś skrócić na zachód, co dałoby nam możliwość uniknięcia Indian. Tym sposobem nietylko, że oddaliłbym się od nich, ale dosięgnąłbym prędzej okolic wschodnich gór Skalistych. Słyszałem poprzednio towarzyszków mówiących, że wśród tych gór przechodzi droga do Santa-Fe; tą drogą pragnąłem postępować. Podług własnych moich obliczeń wypadło mi, że mamy do przebycia przeszło trzysta kilometrów drogi.

Powziąwszy silne postanowienie co do dalszego kierunku podróży, zawróciłem, aby się połączyć z żoną i dziećmi. Była już noc, gdym stanął pośród nich. Byli bardzo o mnie niespokojni

i oczekiwali z bijącymi sercami mego powrotu. Przynosiłem im na szczęście dobrą nowinę: Indianie są daleko!...

Z początku umyśliłem przenocować na miejscu, na którym znajdowaliśmy się, po namyśle jednak, a szczególnie, gdy na niebo wypłynął przepyszny, jasny księżyc, postanowiłem natychmiast puścić się w drogę na południe. I to mnie zachęcało do podobnego kroku, że droga ta, którą tylko co przepatrzyłem, nie przedstawiała żadnych trudności do przebycia, a dobrzeby było, gdybyśmy przez noc uszli ze dwadzieścia mil i tym sposobem oddalili się znacznie od miejsca, zarówno niebezpiecznego jak i wstrętnego. Postanowienie to podobało się wszystkim. Każdy był rad oddalić się stąd jak najspieszniej, a byliśmy pewni, że nasz pochód, pod osłoną nocnych cieniów, był zupełnie bezpiecznym, Korzystając tedy ze światła księżycowego, które nam dostatecznie oświecało naszą drogę, puściliśmy się naprzód.

Szliśmy w kierunku południowym. Co kilka minut zatrzymywałem się, aby się poradzić co do naszej podróży najpewniejszej wskazówki: oto gwiazdy polarnej, która się znajduje w ogonie konstelacyi Wielkiej Niedźwiedzicy, i którą bardzo łatwo odnaleźć, przeprowadziwszy prostą linię przez dwie ostatnie gwiazdy tego ogona. Ilekroć razy równość powierzchni gruntu, po którym postępowaliśmy, utrudniała nasz kierunek,

zwracałem się natychmiast ku dobroczynnej gwiazdzie, która mi go odnaleźć pozwalała. Był to palec Boży, wskazujący nam drogę.

Szliśmy ciągle, wszedłszy po jakimś czasie na grunt piaszczysty, który nas uprzedzał, że pustynia zupełna, straszliwa i rozległa rozpoczyna się. Wszystko naokoło zdawało się to zwiastować... nawet dzikie wzgórza i karłowate wierzby pozostały za nami daleko.

Gnani przez bojaźń spotkania się z Indyanami, uszliśmy przez noc spory kawał drogi. Gdy dzień zajaśniał, byliśmy już o dwadzieścia mil oddaleni od miejsca, na którym wczoraj jeszcze rozegrał się straszliwy dramat. W tej chwili straciliśmy najzupełniej z oczów wzgórza, które to miejsce otaczają, a to dostatecznie nas upewniało, że i sami dla miejsca tego staliśmy się niewidzialni. Gdyby się tam znaleźli dzicy, jużby nas w pochodzie naszym dojrzeć nie mogli. Nie mieliśmy się zatem czego obawiać, chyba tylko, aby nie odkryto śladów naszej drogi, i aby nas nie ścigano. W tej też obawie nie zatrzymaliśmy się po wschodzie słońca ani na chwilę, ale postępowaliśmy dalej aż do południa. W południe zwierzęta nasze były już tak zmęczone i bezsilne, że dalszy pochód bez stosownego odpoczynku stał się niemożliwym.

Niestety! woły nasze nie miały ani wody, ani trawy! Spieczona, sucha ziemia była naga, niepokryta ani źdźbłem trawy... Nigdzie śladów naj-

nędzniejszej roślinności, prócz karłowatych garści dzikiego piołunu, rośliny, której ani konie, ani woły dotknąć się nie chcą. Piołun ten poplątany i powikłany, dziwnie smutnie harmonizował białymi liśćmi swymi z otaczającą nas pustynią. Zdawało nam się, że jest on zwiastunem jeszcze dzikszych okolic, wśród których stopa nasza musiała się przedzierać...

Przykry był to przystanek dla naszych zwierząt. Promienie słońca paliły je coraz bardziej, a my nie mogliśmy im dać ani kropli wody z naszego zapasu, ponieważ i nam samym groziło straszne widmo pragnienia.

Na kilka godzin przed nocą puściliśmy się w dalszą drogę, w nadziei znalezienia jakiej krynicy lub rzeki. Przy zachodzie słońca uszliśmy już z dziesięć mil, ale nie napotkaliśmy nigdzie śladów, z którychby wnosić można, że nieopodal znajdziemy wodę. Widzieliśmy przed sobą, za sobą i około siebie pustynię tylko, pustynię straszną, dziką, ograniczoną zrębami horyzontu... Nigdzie ani jednego krzaka, ani skały, ani zwierzęcia, którego widok przerwałby zdołał jednostajność krajobrazu. Byliśmy bardziej samotni w tej przerażającej puszczy, niż pośród oceanu.

Ta samotność zaczynała w niekorzystny sposób na nas oddziaływać; zaczęliśmy się wahać czy iść naprzód, czy się wrócić. Wróciwszy się jednak, tak samo nie spotkalibyśmy może wody, jak idąc naprzód. W tym ostatnim znowu przy-

padku, mogliśmy przecież natrafić na jakiś strumień... wszystko to było niepewne, chociaż spodziewane. Postanowiliśmy przeto iść naprzód, a postanowienie to sprawiło, że szliśmy przez całą noc następną.

Za nadejściem rana rozpatrzyłem widnokrąg, nie zauważywszy nic, coby nam zwiastować mogło odmianę w naszym położeniu. Jechałem ze smutkiem i w milczeniu na swoim koniu, spoglądając kiedy niekiedy na woły, postępujące z widocznym, rozpaczliwym wysiłkiem. Myślałem z boleścią o bliskiej katastrofie, gdy wtem głos radosny obił się o moje uszy. Był to głos Franciszka.

— Ojcze! — wołał on — czy widzisz ten biały obłoczek?

Zbliżyłem się do niego, by spojrzeć w kierunku, który mi wskaże; palec jego zwrócił się w stronę południowo-zachodnią. Spojrzałem i wydałem okrzyk radości, który zadziwił moich towarzyszków niedoli. To, co Franciszek brał za biały obłoczek, było wierzchołkiem śnieżnym góry. Poznałem to natychmiast, skorom tylko spostrzegł, a spostrzegłbym niezawodnie prędzej, gdybym rozpoznawał położenie ziemi baczniej w tej stronie, niż w innych.

Ponieważ tam był śnieg, musiała być i woda. Powodowany tą uwagą, dałem w milczeniu znak Kudźowi, aby poprowadził woły wprost w góry. Tym sposobem schodziliśmy z drogi, którą nam

iść należało, ale czyż w tej chwili mogliśmy myśleć o czemś innem, niż o ocaleniu życia?

Góry były przed nami o jakie trzydzieści kilometrów. Gdybyśmy nie szli w ciągu nocy, odległość ta byłaby jeszcze większą. Czy tylko nasze biedne woły zawloką się tak daleko? W tej chwili potykają się one na każdym kroku; jeżeli zaś padną wśród drogi, jak będziemy mogli dalej postępować? Myślałem, że jakiś strumień musimy napotkać, zanim znajdziemy się w górach, ale położenie gruntu wskazywało nam dostatecznie, że to nadzieja płonna. Nie mogliśmy się spodziewać wody prędzej, jak po drugiej stronie gór, a okoliczność ta drogę do przebycia czyniła stokroć dla nas dłuższą.

Okolo południa woły zaczęły upadać. Jeden z nich upadł martwy: pozostawiliśmy go na drodze; trzy inne nie mogły postępować dalej. Wyrzuciliśmy z wozu wszystko, bez czegośmy się mogli obejść, byle im ulżyć ciężaru, ale biedne zwierzęta ledwo ciągnęły i wlokły się jak ślimaki. Bardzo być może, że parę godzin spoczynku dałoby im siłę dostateczną, ale nie mogłem się odważyć przystanąć, gnany bolesnemi skargami mych dzieci. Marya znosiła mężnie cierpienie wraz z chłopcami, co do mnie zaś, nie mogłem obdarzyć ich ani słowem współczucia i odwagi, wiedząc, że znajdujemy się jeszcze o jakie piętnaście kilometrów od gór. Chciałem pobiedz naprzód, aby poszukać i przynieść wody, ale mój

biedny koń nie mógł mnie już dźwigać, a cóż dopiero biedz! Zsiadłem z niego idąc obok i prowadząc go za uzdę. Kudźo szedł przy wołach. Było ich już tylko dwa... jeden bowiem upadł tylko co nieżywy.

Na płaszczyźnie tymczasem rozmaite przedmioty okazywać się poczęły. Widać było masy roślinności, wśród której szczególniejsze krzewy, podobne były zdaleka do ulów pszczolich, albo do gromady jeżów olbrzymich, grożących na wszystkie strony ostrymi kolcami. Obaczywszy je, porzuciłem swego konia i z nożem w ręku pobiegłem co tchu naprzód! Moi towarzysze, widząc to, sądzili, że tracę zmysły, ale ja dobrze wiedziałem co czynię; biegłem szukać kulistego kaktusa.

W jednej chwili prawie miałem to, czegom szukał. Moi biedni towarzysze niezadługo dziwili się, widząc tę soczystą, ciemną roślinę, z której porów wypływała zimna woda. Pokrajane na kawałki, wysysaliśmy kule kaktusowe z chciwością; konie i woły pożerały je w całości, z włóknem i kolcami nawet, psy zaś wylizywały nawet miejsca, na które spływał sok kaktusa w chwili, gdyśmy go na części krajali.

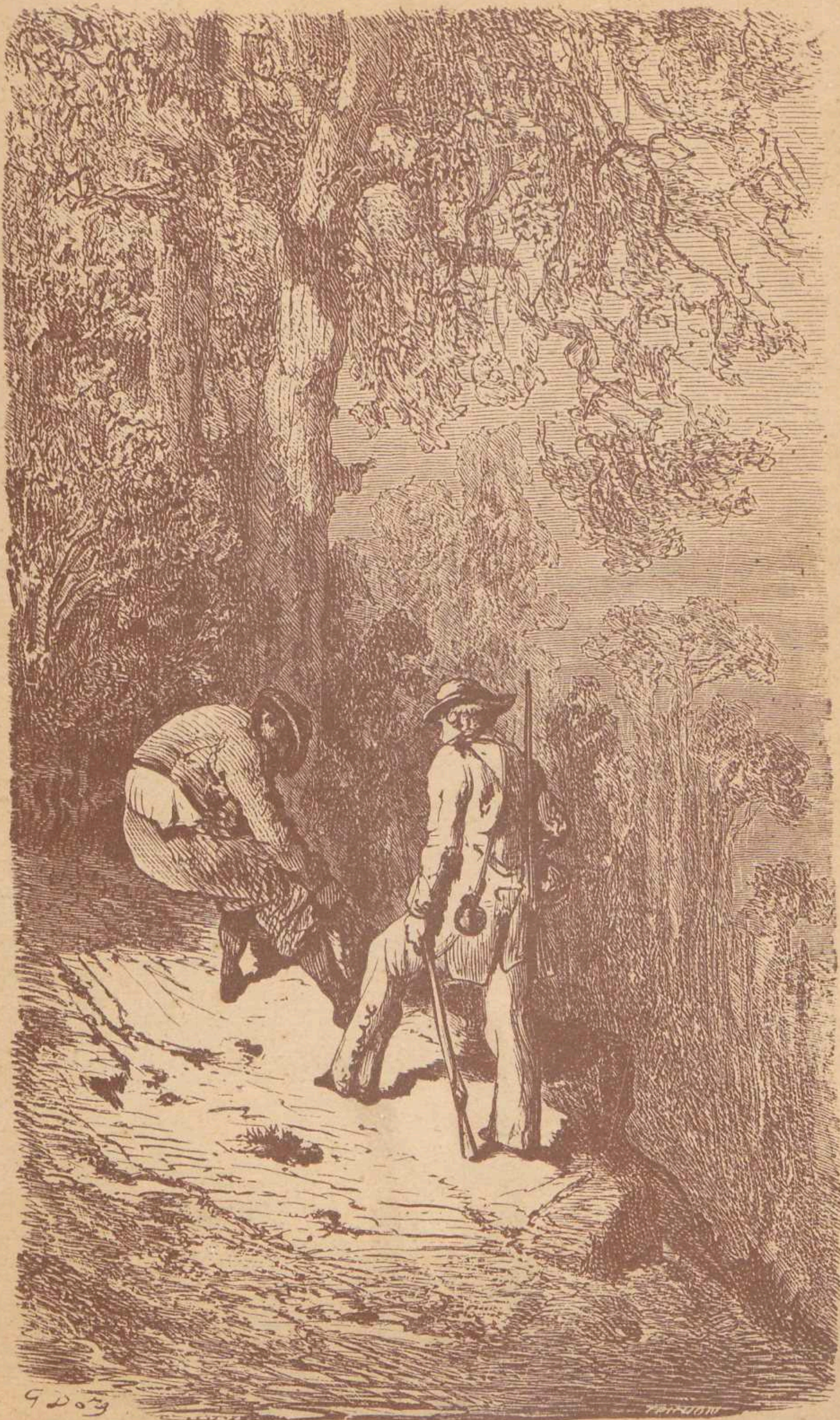
Po ujściu kawałka drogi, stanęliśmy, aby dać odpocząć naszym zwierzętom. Na nieszczęście odpoczynek ten był już za późnym dla jednego z nich. Czynił on ostatnie wysilenia i w chwili, gdyśmy właśnie stanąć mieli, biedne to zwierzę

zwalilo się z nóg, niezdolne już powstać. Trzeba je było pozostawić; zaprzęgliśmy tedy na jego miejsce konia i puściliśmy się dalej. Postępując tak, mieliśmy nadzieję spotkać znowu kępę kaktusów, ale nadzieja ta była płonna.

Po ujściu nowych ośmiu kilometrów, nasz ostatni wół padł. Koń nie mógł już ciągnąć, ani nieść nikogo; trzeba go było odprządz, albo też skazać na niechybną śmierć przy dyszlu.

Wziąłem z wozu siekierę, cynowy garnek i kawał suszonego mięsa, który stanowił całe nasze zapasy żywności. Kudzo niósł na swych ramionach siekierę i moją małą Maryę, ja wziąłem mięso, garnek, Ludwikę i karabin. Moja żona, Franciszek i Henryk nieśli także po parę przedmiotów w ręku. Tak obciążeni postępowaliśmy ku górcom. Psy szły obok nas, a biedny koń, który nie chciał pozostać w tyle, szedł także, potykając się co chwila.

Nie mam nic więcej do opowiedzenia o tej smutnej wędrówce. Pozostałe ośm kilometrów drogi wlekliśmy się raczej, niż szli, ale wreszcie zaszliśmy. Gdyśmy już byli w górach, widzieliśmy tam boki ich poszarpane na zręby, szczeliny i przepaście. W jednej takiej szczelinie ujrzeliśmy niby srebrną wstęgę wody, spadającej ku ziemi. Ten widok dodał nam siły i wytrwałości i po upływie godziny znaleźliśmy się już nad brzegiem strumienia. Jego czysta jak kryształ woda wycis-



9203
Mój towarzysz uchwycił ogon i ciągnął ze wszystkich sił.

BIW
BIBLIOTEKA
KRAJOWA

nęła z piersi naszych okrzyk radości i wistocie dziękowaliśmy Bogu za nasze ocalenie!

X.

Armadillo.

Złożyliśmy Opatrzności dzięki, że nas przywiodła nad ów strumień w zdrowiu. Gdyśmy już ugasili nasze pragnienie, spojrzeliśmy baczenie wokoło. Koryto strumienia, które tutaj się znajdowało, nie miało nic wspólnego z wodą, którąśmy porzucili w pustyni; strumień tutejszy płynął w zupełnie przeciwnym kierunku. Był on częścią zaledwie potoków, które się zlewały w jeden, płynący po pewnej odległości w kierunku południowo-wschodnim, ażeby się znowu połączyć z innymi, które się toczą w tamtych stronach. Odkryłem później, że wszystkie strumienie zlewają się w jeden, i że z tego połączenia tworzy się znaczna rzeka, płynąca ku wschodowi. Sądzę, że rzeka ta nie może być inną jak rzeką Czerwoną Luizyany, albo też rzeką Colorado w Texas. Rzeka to nadto bardzo szczególna; pomimo, że toczy ogromne masy wody, koryto jej przez trzy części w roku zupełnie wysycha. Starłem się zbadać przyczynę tego zjawiska. Gwałtowne a nader rzadkie deszcze i topnienie śniegu wśród największych upałów lata sprawiają ogromny przyptyw wody, który niezadługo jednak ustaje. Piaszczyste koryto przy pomocy gorąca i paro-

wania wypija wkrótce tę wodę, a tym sposobem rzeka niknie.

Mieliśmy teraz pewność, że nie umrzemy z pragnienia, ale nie wiedzieliśmy, co będziemy czynić na wypadek głodu. Boki góry były poszarpane, spadziste. Kilka rozłożystych cedrów rosło tu i ówdzie; trawa i wierzby, rosnące nad strumieniem, chociaż przyjemne dla oka i pożyteczne ze względu na osłonę, jaką dawały, nie przedstawiały nam żadnych widoków wyżywienia się. Jeżeli pustynia ze wszech stron otaczała góry, nasz przystanek nie mógł być inny jak tymczasowy, a pozostając tu dłużej, nie mogliśmy wprawdzie umrzeć z pragnienia... tak!... mogliśmy tylko umrzeć z głodu, co bynajmniej nie jest bardziej pocieszające.

Sprawa żywności zajmowała nas bardzo, a tem bardziej jeszcze, że nie jedliśmy nic od rana, i że sama natura zmuszała nas o niej myśleć. Suszone mięso już nam się okrutnie przejadło. Każdy ze wstrętem na nie spoglądał, mimo cierpień głodowych.

— Rozpalcie mi ogień, a ugotuję rosół — rzekła Marya. — To będzie najlepsze dla dzieci.

Moja biedna żona, znękana podróżą, zgłodzona jak wszyscy, bezsilna prawie, odezwała się żartobliwie jedynie dlatego, by męstwem swej duszy zachęcić nas do wytrwałości.

— Tak, mój ojciec — dodał Franciszek, pragnąc okazać, że i on nie myśli poddawać się

trwodze i zniechęceniu — pozwól nam zgotować rosół; potrawa to ponętna i łakoma.

— Bardzo dobrze — odrzekłem — chodźmy, Kudzo! Weź swoją siekierę, natniemy drzewa na ognisko. Właśnie spostrzegam kilka jodeł, które nam dostarczą wybornego paliwa.

Poszliśmy tedy z Kudzem, szukając drzewa w odległości jakich trzystu kroków w promieniu, w miejscu, otoczonym naokoło skałami, pośród których biegł strumień.

Kiedyśmy podeszli ku drzewom, spostrzegłem, że to bynajmniej nie są jodły. Pień i gałęzie były okryte kolcami, na podobieństwo kolców jeża. Liście świeciły żywą zielonością, ale co było najszczególniejszym, to długie strąki, wiszące w kępach pomiędzy gałęziami. Miały one po sześć cali długości, niektóre zaś były trzy razy dłuższe. Były koloru ponsowego, z odcieniem wina Bordeaux. Strączki te były podobniusiennie do pełnych, rozwiniętych i dojrzałych strączków bobu, prócz, ma się rozumieć, barwy, która je od nich odróżniała.

Poznałem, co za drzewo mamy przed sobą; spotykałem je już niejednokrotnie. Była to akacja kolczasta, sławne *algarabo*, jak je nazywają Hiszpanie. Znałem też jej użyteczność. Wiedziałem, że drzewo to wspomniane jest w Piśmie świętym w miejscu, w którym mowa o świętym Janie Chrzcicielu, że »żywił się szarańczą i miodem leśnym«. Było to drzewo, które nazywają

także »chlebem świętojańskim«. Kudzo znał także jego wartość. W chwili, gdy ujrzał jego długie strączki, wykrzyknął głosem wzruszonym:

— Panie!... panie!... oto strączki na wieczerzę!

Byliśmy w jednej chwili pod gałęziami dobroczynnej akacyi. Podczas gdy strącałem dojrzałe jej owoce, Kudzo poszedł dalej, w celu urąbania drzewa na ogień. Niezadługo usłyszałem silne uderzenia jego siekiery, a gdy skończyłem zbiór świętojańskiego chleba, Kudzo wołał z całych sił:

— Panie, panie!... chodź tu czempędzej!... obacz tę bestyę, która się tu ukryła!

Pobiegłem do niego, skacząc ze skały na skałę. Przybywszy na miejsce, na którym się Kudzo znajdował, ujrzałem go pochylonego nad szczeliną. Ze szczeliny tej wystawał jakiś przedmiot, podobniusię do świńskiego ogona.

— Cóż tam jest, Kudzo? — zapytałem.

— Nie wiem, panie. Nie widziałem nigdy takiej bestyi w Wirginii.

— Postaraj się uchwycić ją za ogon i wyciągnąć z tej jamy.

— Aha!... właśnie, panie — odpowiedział rubasznie — to się na nic nie zda! Ona to, przeciwnie, usiłuje wleźć tam jak najgłębiej.

Mówiąc to, mój towarzysz uchwycił ogon i ciągnął ze wszystkich sił, ale nie mógł w żaden sposób wyciągnąć ukrytego zwierzęcia.

— Czy widziałeś — zapytałem go — jak wchodziło do tej jamy?

— A jakże, panie, widziałem to doskonale.

— Do czegoż to zwierzę podobne?

— Do małego prosięcia. Podobne ono także do wirgińskiego zółwia.

— A zatem jest to *armadillo*!

— Armadillo? Kudżo nigdy nie słyszał o takim szkaradzieństwie.

Zwierzę, które tak bardzo zainteresowało mego towarzysza, należało do rzędu stworzeń ciekawych, na których przyroda chciała okazać całą rozmaitość kształtów, a które są znane w Ameryce Południowej, w Meksyku, pod nazwą *armadillo*. Nazwa ta pochodzi od wyrazu hiszpańskiego *armado*, uzbrojone, i jest trafnie zastosowana, bo ciało zwierzęcia, które tak nazwano, otoczone skorupą łuskowatą, niezmiernie twardą, podzieloną na regularne części, podobne jest do zbroi rycerza średniowiecznego. Na głowie ma armadillo rodzaj kasku, oddzielonego najzupełniej od reszty ciała, co jeszcze charakterystyczniejszą czyni postać zwierzęcia. Jest wiele odmian tego stworzenia; widziano je naprzykład tak wielkiem, jak tęgi baran, ale zazwyczaj jest ono małym. Łuski skorupy, pokrywającej jego ciało, są szczególne przez nadzwyczajną regularność kształtów. Łuski te bywają formy trójkąta i czworokąta; bywają nawet pięcio- i sześcioboczne. Nigdy jednak nie trafia się, by forma ich nie miała najściślejszej geometrycznej regularności; zdaje się, że została wyrobiona najtroskli-

wiej ręką ludzką. Armadillo nie jest drapieżnym; żywi się trawą i roślinami. Nie jest bynajmniej zwinny, ale może biedz daleko szybciej, niżby się sądziło po jego ciężkiej zbroi. Skorupa ta nie stanowi jednolitej całości; dzieli się ona na części, połączone ze sobą za pomocą skóry, co pozwala zwierzęciu szybciej się poruszać. Trafia się czasem, że armadillo ścigany, znajdując się nad przepaścią, zwija się w kłębek, i osłoniony przez własną zbroję, stacza się w przepaść, ginąc tym sposobem z przed oczu nieprzyjaciela. Najczęściej jednak kryje się on przed pościgiem w pierwszej lepszej szczelinie, i tak się też stało tym razem. Schowawszy głowę, armadillo sądzi, że jest już zupełnie bezpiecznym, a nie widząc nieprzyjaciela, rozumie, że sam nie jest od niego widzianym. Zwierzę, które się skryło przed Kudżem, przekonało się, że jest inaczej, poczuwszy na swym ogonie uściski kościstych palców mojego negra. Domyśliłiśmy się jednak wkrótce, że armadillo, chociaż uciekł do nory, nie może wtłoczyć się dalej; czy dziura była za płytka, czy też on sam za gruby, dość, że pomimo jego wysień, ciało zwierzęcia pozostawało ciągle w jednym położeniu. Wyciągnąć go ani sposób!... Armadillo tak się rozparł w swej jamie, tak rozprężył swoje członki, i tym sposobem tak silnie się opierał o ściany szczeliny, że wszelkie usiłowania Kudża były bezskuteczne. Poczciwy murzyn zauważył, że do wyciągnięcia upartego

zwierza trzebaby chyba użyć zaprzęgu czterech wołów!

Przypomniałem sobie w tej chwili sposób, jakiego w podobnych razach używają Indyanie, którzy bardzo chętnie polują na armadilla, a jeszcze chętniej jedzą jego mięso. Kazałem memu towarzyszowi puścić ogon zwierzęcia i odstąpić na stronę, sam zaś pocichu zbliżyłem się do jamy z gałązką w ręku i począłem ostrym jej końcem łaskotać skórę zwierzęcia. Po chwili członki jego poczęły się kurczyć, skorupa przestała dotykać ścian jamy, a po minucie zwierzę przyszło do zwykłych swoich kształtów, zachowując się spokojnie, gotując tylko swoje pazury do niedalekiej walki. Wówczas pociągnąłem z całej siły za ogon, a szarpnięcie to gwałtowne sprawiło, że armadillo wypadł całkowicie z jamy i znalazł się pod stopami Kudża. Silny i dobrze wymierzony cios siekiery oddzielił głowę zwierzęcia od reszty ciała i zabił armadilla na miejscu. Był on wielkości średniego królika i należał do gatunku, którego mięso uważane jest za najsmaczniejsze i najdelikatniejsze.

Wróciliśmy na pole z drzewem, strączkami świętojańskiego chleba i armadillem. Co do tego zwierzęcia, wzbudziło ono w mej żonie wstręt, gdym oznajmił, że posłużyć ma nam do uświetnienia naszej wieczerzy. Ale za to słodkie i smaczne strączki akacyi uradowały nasze małe dziewczęta; spożywały ich ośrodek z największym

apetytem. Jednocześnie gdyśmy wyłuskiwali z nich ziarna, Kudzo rozpałił ogień, który za chwilę buchnął żywym płomieniem.

— A teraz, moi przyjaciele — dorzucił Rolf, podnosząc się ze swego siedzenia — ponieważ mówiłem wam o akacyi i jej owocach, spróbujcie piwa, które z nich uwarzyłem; zrobiłem je dzisiaj właśnie, wówczas gdyście z taką ciekawością oglądali szczegóły mego gospodarstwa.

Mówiąc to, nasz gospodarz postawił przed nami ogromną butlę, pełną płynu barwy brunatnej, który też nalał w naczynia przed nami stojące. Piliśmy to piwo, mające w smaku wiele podobieństwa do miodu na napój przyrządzonego, lub też do świeżego jabłecznika.

Następnie Rolf mówił dalej.

XI.

Zchudzony wół.

Wzięliśmy się wszyscy do roboty. Marya przygotowywała suszone mięso, które chciała ugotować ze strączkami akacyi w cynowym garnku. Na szczęście był on tak duży, że mógł objąć cztery kwarty wody. Kudzo zajął się strzeżeniem i podniecaniem płomienia, który płonął żywo i równo. Franciszek, Henryk i dziewczęta wyłuskiwał z sercem pełnem radości strączki świętojańskiego chleba, a ja zająłem się przyrządzeniem pieczeni z armadilla. Dodajcie do tego oży-

wionego widoku konia, który skwapliwie zajadał bujną i obfitą trawę, i psy (biedne zwierzęta, one dotąd miały najmniej powodu do uciechy) towarzyszące bacznie mojej czynności, które chwytaly łakomie części mięsa odkrawywane i odrzucane, jako niezdatne na pieczeń. Po niejakiem czasie mięso i strączki poczęły się gotować, armadillo piekł się nieopodal od garnka, a w trzy kwadrans wszystko już do jedzenia było gotowe.

Teraz spostrzegliśmy, że nie mamy ani odpowiednich naczyń, ani łyżek, ani widelców i nożów. Ja i Kudzo mieliśmy tylko swoje myśliwskie noże, które musiały wystarczyć i zastąpić wszystko. Nie była to zresztą chwila stosowna do zaspokojenia wykwinniejszych wymagań; trzeba było poprzestać na tem, co jest. Wyjęliśmy mięso z garnka i złożyliśmy je na czystym, płaskim kamieniu, który nam doskonale zastąpił półmisek. Można je było krajać przynajmniej, a i to było dostatecznem. Co się tyczy rosołu, ten z garnkiem cynowym wędrował od ust do ust; pito go koleją, śmiejąc się wesoło z tego sposobu jedzenia. Ani ja, ani Kudzo nie jedliśmy rosołu... woleliśmy coś innego, z czem potrzebowały się spotkać zęby.

Sądziłem, że armadillo znajdzie we mnie jedynego zwolennika, ale wkrótce spostrzegłem, że się grubo omylił. Kudzo, który okazywał ciągle niepowściągniony wstręt do tego »szkara-dzieństwa«, jak go ciągle nazywał, tak bezustan-

nie próbował jego mięsa, zarzucając mnie tysiącem pytań, że wreszcie spostrzegłem się zagrożony zagłodzeniem. Zjadł prawie całe »szkara-dzieństwo«, zakończywszy swoje próby zaręczeniem, że tego do ust wziąć niepodobna. Ani Marya, ani dzieci jednak nie chciały skosztować armadilla, który stanowił wcale dobrą pieczeń; mięso jego miało wiele podobieństwa w smaku do mięsa wieprzowego.

Słońce poczynało zachodzić i należało nam pomyśleć, w jaki sposób przebedziemy nadchodzącą noc. Pozostawiliśmy naszą pościel i wszystkie okrycia w wozie, a robiło się coraz chłodniej, co wieczorami zwyczajną jest rzeczą w górach Skalistych i w ich sąsiedztwie. Po zachodzie bowiem słońca warstwy wyższe powietrza oziębiają się od wierzchołków pokrytych śniegiem, a potem opadają zwolna coraz niżej, przez co atmosfera w górach staje się chłodna i przejmująca. Niepodobna było myśleć w takich okolicznościach o przepędzeniu nocy pod gołym niebem, bez stosownego okrycia, choćby nawet przy suto płonącym ognisku.

Mógłbym wprawdzie udać się do wozu, oddalonego od nas tylko o osiem kilometrów, i przynieść potrzebne okrycia, ale czy miałem iść sam, czy z Kudzem, czy też posłać go samego? Możnaaby wsiąść na konia i przywieźć na nim wszystkie potrzebne rzeczy, tem bardziej, że koń od kilku godzin jedząc i pijąc prawie bez ustanku,

musiał nabrać sił i znacznie się pokrzepić. Należał on zresztą do tego rodzaju zwierząt, których zmęczenie ustępuje zaraz po posiłku. Był on już zdolnym do dalszej podróży, więc nakazałem Kudźowi, aby go przygotował. Zawiązał mu tedy naokoło szyi sznur, który miał zastąpić uzdę. Przez kilka minut zastanawiałem się, kto z nas dwóch ma się udać po potrzebne rzeczy, a kto powinien zostać przy Maryi i dzieciach. Moja żona jednak sama zdecydowała, że lepiej będzie, gdy się we dwóch udamy; zaręczała przytem, że w towarzystwie synów nie obawia się niczego i czuje się bezpieczną. Psy zresztą miały zostać także. Naprawdę też była to dostateczna straż, przy której bez obawy można było zostawić żonę z dziewczętami.

Polecilem chłopcom, iżby w razie przypadku, dali nam znać wystrzałem karabinowym, i wzięwszy ze sobą Kudźa, puściłem się w drogę.

Po ujściu paruset kroków, spostrzegliśmy zdaleka płótno naszego wozu, bielejące wśród ciemnego otoczenia pustyni. Mielśmy tedy wyraźny cel, do którego dążyć należało.

W czasie drogi myślałem nad tem, czy też wilki nie pożarły ciała naszego biednego wołu, porzuconego przy wozie. Gdyby był ocalał, miałem zamiar poćwiartować go i wziąć z sobą w celu zasuszenia mięsa. Mięso to wprawdzie było strasznie chude, bo wół był drogą wychudzony, niby szkielet, zakonserwowany do gabinetu ana-

tomicznego — ale w każdym razie byłoby lepsze niż żadne, szczególnie w obecnym naszym położeniu. Pograżyłem się w myślach co do tego przedmiotu, dumając, jakby dobrze było zdobyć choć ten kawałek chudego mięsiwa, gdy niespodziany okrzyk Kudza rozpędził moje dumania i zwrócił moją bacność w stronę, którą ukazywał murzyn.

— Panie!... — mrucał cichym głosem — patrz tam!... czy to nie bawół?...

— Zdaje mi się — odrzekłem. — Potrzymaj konia, a ja tymczasem podsunę się ku niemu i postaram się go dosięgnąć pistoletową kulą.

Pozostawiłem Kudza przy koniu i nakazałem mu milczenie: opatrzyłem następnie swój duży pistolet i począłem się cichutko czołgać ku zwierzęciu na kolanach, by go hałasem i widokiem swej osoby nie spłoszyć. Nie spuszczałem z niego oka, a pomimo to, ponieważ księżyc jeszcze nie świecił, nie zdołałem rozpoznać jego kształtów. Nakoniec, podsunawszy się już dostatecznie, skierowałem ku niemu swoją broń, gotową wyrzucić zabójczy cios. Dla pewności strzału podczołgałem się jeszcze dalej, i już, zmierzyszy, miałem pociągnąć za cyngiel, gdy wtem zwierzę wydało głos, który mnie wprowadził w najgłębsze zdziwienie. Był to ryk swojskiego wołu!...

Tak!... po chwili rzecz się wyjaśniła, — był to ten sam wół, którego pozostawiliśmy przy wozie. Podniósłszy się z ziemi, zmierzał on, wiedziony

instynktem, w stronę, w którąśmy się udali — i stąd owo niespodziane spotkanie.

Nie potrafię wypowiedzieć, jak mnie ono uradowało! Gdybym w tej chwili upolował najtęższego dzikiego bawołu, nie byłoby mnie tak te ucieszyło, jak odzyskanie tego wołu, poczciwego towarzysza podróży!... Biedne zwierzę było żywe, ruszało się, postępowało naprzód, aby odszukać tych, którzy porzucili go bez litości... ale cóż mogli innego zrobić?... Po chwili zbliżył się wół do konia — nozdrza ich zetknęły się — było to powitanie starych znajomych! Może koń poszepnął swemu dawnemu towarzyszowi radosną nowinę o polu, na którem rośnie bujna trawa i wśród którego płynie zimny, ożywczy strumień, bo wynędzniałe zwierzę ryknęło radośnie i zwróciło się w stronę, z którejśmy przybywali.

W tej chwili wpadłem na szczęśliwą myśl, że koń nasz, przy pomocy wołu, z łatwością zaciągnie na pole cały wóz, w miejsce niektórych tylko przedmiotów. A jak się ucieszy Marya, obaczywszy przybywające nasze gospodarstwo, które już uważała za stracone! Kudźo zachwycił się tym projektem i natychmiast chciał się zabrać do jego wykonania, ale powściągnąłem jego niecierpliwość. Trzeba było ożywić wołu trochę wody, po którą wierny murzyn zaraz pobiegł z garnkiem. Gdy wrócił, okazało się, że wół z garnka pić nie może, bo pysk jego w wąski otwór naczynia się nie zmieści.

— To nic nie szkodzi, panie — rzekł Kudzo — wszystko będzie dobrze. Mamy w wozie cebrzyk, z którego wół się doskonale napije.

Poczciwy chłopiec śmiał się z radości na wspomnienie uciechy, jaką mej żonie sprawi powrót utraconego wozu.

Bez zwłoki zaprzęgliśmy wołu do dyszla za pomocą jarzma, które miał na karku. Co się tyczy konia, temu złożyliśmy na grzbiecie niemały ciężar z rzeczy, w wozie leżących.

Znaleźliśmy wszystko, cośmy pozostawili. Nikt nic nie ruszał, bo nikogo tu nie było; domyślam się tylko, że wilki, kręcące się po okolicy, tak przestraszyły naszego biednego wołu, że zebrawszy resztki sił, wstał na nogi i puścił się w podróż. Daliśmy mu w szafliku wody, którą wypił co do kropelki, liżąc łakomie dno i boki naczynia, dopóki go nie wysuszył najzupełniej. Gdy się ta prawdziwa dla niego uczta skończyła, popędziliśmy nasze zwierzęta i puściliśmy się w kierunku pola, na którym rodzina moja przy ognisku oczekiwała naszego powrotu.

Widać było zdaleka płonące to ognisko, którego światło świeciło dla nas jak światło latarni morskiej na niezmiernym oceanie. Ten płomień wywierał silny i ożywczy wpływ na umysły nasze; nawet koń i wół, jakby rozumiejąc, że zwiastuje on bliski koniec ich trudów, śpieszyły ku niemu ochotnie i żwawo.

Nie pozostawało nam do przebycia więcej nad

jeden kilometr drogi, gdy niespodzianie usłyszałem huk wystrzału karabinowego. Odgłos ten przeraził mnie! Czyliż moja żona i moje dzieci zostali zaskoczeni przez Indyan, albo przez jakie dzikie zwierzę?...

Na tę straszliwą myśl, bez zastanowienia się pobiegłem naprzód, zostawiając za sobą Kudza z wozem i zaprzęgiem. Porwałem pistolety i biegnąc ze wszystkich sił, postanowiłem strzelać przed siebie na pierwszy odgłos, pochodzący od strony ogniska. Zdawało mi się, że słyszałem po dwakroć okrzyk... ale nie!... to mi się tylko zdawało... na polu było cicho i spokojnie. Jaka mogła być przyczyna tej głuchej przerażającej ciszy?... co robią psy?... Czy zastęp dzikich, milczący w chwili, w której zadaje śmiertelne ciosy, od razu wymordował wszystkich?... czy moja żona i moje dzieci zginęły?...

Te wszystkie przerażające pytania, jakie sobie bezlitośnie zadawałem, pędziły kroki moje coraz szybciej. Biegłem jak szalony z zamiarem walki krwawej, zemsty nieubłaganej... postanowiłem drogo sprzedać swoje życie!

Przybyłem nakoniec na pole i po chwili stałem u ogniska. Jakież było moje zdziwienie, jaką była radość moja, gdym spostrzegł żonę siedzącą tuż przy ogniu, z małą Ludwiką na swych kolanach, z Maryę u stóp siedzącą! Ale gdzie byli Henryk i Franciszek?... nie mogłem niczego pojąć i patrzyłem przed siebie jak błędny.

— Co to znaczy, moja droga Maryo? — zawołałem, podchodząc bliżej. — Gdzie są chłopcy? Czy to nie oni strzelili przed kwadransem?

— Tak — odrzekła — to Henryk strzelił.

— Na co?... do kogo?...

— Do jakiegoś zwierzęcia, którego ani nazwać, ani opisać nie umiem. Sądzę tylko, że jest ranione, bo chłopcy pobiegli za niem wraz z psami i jeszcze dotąd nie wrócili.

— W którą stronę?... — zapytałem.

Marya wskazała, a ja natychmiast pobiegłem, idąc jak najspieszniej, o ile mi pozwoliły ciemności nocy. Uszedłem z jakie sto kroków, gdym spotkał Henryka i Franciszka, stojących nad jakimś nieżywym zwierzęciem. Henryk nie mógł się powstrzymać od radości, że tak celnie strzelił i zaraz się z tem pochwalił. Powściągnawszy go w tem małym samochwalstwie, wyciągnąłem zwierzę za tylne nogi na miejsce, na którym przy świetle ogniska można je było rozpoznać. Mogło być wielkości sporego cielęcia, ale miało zgrabniejsze kształty. Jego członki były delikatne i zwinne, a nogi u dołu tak cienkie, jak gruba trzcina. Miało skórę pokrytą sierścią koloru jasno-brunatnego, ale piersi i brzuch białawe, oczy ogromne i cienkie rogi. Poznałem z tych szczegółów, że to jest antylopa z rosochatymi rogami, jedyny gatunek znajdujący się w północnej Ameryce.

Marya opowiadała mi szczegóły całego wyda-

rzenia. Siedzieli wszyscy w milczeniu przy ognisku, oczekując z niecierpliwością naszego powrotu, który już byłby dawno powinien nastąpić, gdyby nie wóz, około którego dłużej się zatrzymali. Naraz spostrzegli w zaroślach, o kilka kroków od miejsca, w którym siedzieli, dwoje oczu, świecących jak płonące węgle. Nie mogli domyśleć się czyje to oczy, ale sam ich widok kazał się im domyślać, że są to oczy wilka, albo, co byłoby stokroć gorzej, niedźwiedzia lub pantery. Bądź co bądź, nie stracono przytomności umysłu; uniknąć niebezpieczeństwa zapomocą ucieczki było niepodobieństwem, Henryk więc i Franciszek sięgnęli po swoje karabinki. Henryk pochwycił broń pierwszy... zmierzył natychmiast między dwoje oczu, które patrzyły weń przenikającym spojrzeniem... Zmierzył i wypalił... oczy znikły, ale wśród dymu i ciemności nie można było dojrzeć, czy kula dosięgła. Psy, które leżały przy ognisku, zerwały się i pobiegły. Ubiegły jakąś przestrzeń i po chwili stała się cisza, która najlepiej dowodziła, że zwierzę musiało być ranione lub zabite. Chłopcy nadbiegli na miejsce i przekonali się, że tak jest w samej rzeczy. Antylopa, ugodzona w łopatkę, padła i nie podniosła się więcej.

Chociaż Henryk nie chwalił się już ze swoim strzałem, znać było po nim, że w głębi duszy tryumfował. I w istocie była to piękna zdobycz, której mięso mogło nam dostarczyć na trzy dni

żywności. Przed kilkoma godzinami kłopotaliśmy się o to, czem się będziemy żywić — teraz zaś środki do życia przybywają nam same, bez szukania ich, bez starania się o nie. Co to będzie za radość, gdy najniespodziewaniej wjedzie na naszą polankę wcale nieoczekiwany wóz!...

— Gdzie jest Kudzo? — spytała mnie żona. — Czy niesie rzeczy potrzebne?

— Tak, — odrzekłem — niesie... prowadzi nawet niespodziankę ze sobą...

W tej chwili dało się słyszeć skrzypienie kół i spostrzegliśmy budę z białego płótna, która widniała zdaleka przy świetle ognia. Franciszek zerwał się na równe nogi, a wpatrzywszy się w oddalony przedmiot, zawołał głosem radości:

— Mamo, mamom!... to nasz wóz!

Natychmiast usłyszeliśmy silnym głosem Kudza wyrzeczone »hola!« i w parę minut potem, wół i koń, wlokąc za sobą ciężar, przeszły obok nas tak lekko, jak gdyby nic nie ciągnęły. Zdawało się, że mogłyby iść z jakie sto kilometrów drogi bez zmęczenia się. Na ich szczęście droga ich była już skończona; odprzęgliśmy zwierzęta natychmiast i zastawili im ucztę wspaniałą: dużo wody i niemniej świeżej trawy, co mogło niepospolicie pokrzepić nadwątlone ich siły.

Ponieważ było już bardzo późno, a trudy dzienne dały się nam czuć teraz w swoich skutkach, postanowiliśmy przeto udać się na spoczynek. Marya urządziła postanie w wozie... Nie mie-

liśmy innego schronienia, ale i to było na teraz dostatecznem. Jednocześnie, Kudzo i ja, wzięliśmy się do wyporządzenia antylopy, ażeby była gotowa na jutrzejszy obiad. Psy towarzyszyły nam wiernie przy tej operacyi; biedne stworzenia aż do tej chwili niewiele jadły w ciągu dnia, a z antylopy cząstka im słusznie przypadła. Nogi, głowa i wnętrzności stały się ich zdobyczą.

Wyporządziwszy antylopę, zwiąaliśmy jej nogi sznurem i powiesiliśmy ją za nie na wysokiej gałęzi; było to zabezpieczenie naszych zapasów mięsa od napadu wilków, a nawet i naszych psów, które, pomimo, że się trochę posiliły, bardzo jakoś łakomie spoglądały na jutrzejszą naszą pieczeń.

Marya przygotowała wszystko, co nam było potrzebne do spoczynku. Pozostawało nam tylko korzystać z tego jak najprędzej. Kudzo podsycił płomień ogniska, i gdyśmy wszyscy naokoło niego zasiedli, przeczytałem na głos z Pisma świętego rozdział, tak bardzo stosujący się do naszego położenia, rozdział, w którym mowa, jako Bóg strzegł na pustyni Mojżesza i dzieci Izraela.

W pół godziny, podziękowawszy Panu za nasze ocalenie, oczekiwaliśmy snu, jako pokrzepienia i spoczynku.

XII.

Barany.

Nazajutrz powstaliśmy z pierwszymi promieniami słońca, co nam dało sposobność przypatrzeć

się dziwnemu zjawisku. Cała okolica na wschód, jak tylko można było okiem zasięgnąć, przedstawiała płaszczyznę jednolitą, podobną do oceanu w chwili jego spokoju i ciszy. Skoro ukazała się złota kula słońca nad poziomem, zdawało się, że wychodzi z łona ziemi, tak olbrzymia jej odległość w tej chwili pozornie była małą. Wschodziło słońce niezmiernie wolno, przecudownie odbijając światłem swem od błękitu nieba, niepokrytego najlżejszą chmurką. Zresztą trzeba wiedzieć, że na niebie pustyni amerykańskiej obłok czy chmura jest niezmierną rzadkością, niepojawiającą się tam całymi miesiącami.

Byliśmy tego dnia dosyć weseli i mieliśmy pogodny umysł; wypoczęliśmy już dostatecznie po trudach podróży i nie lękaliśmy się napadu dzikich, którzy wymordowali naszych towarzyszków. Naprawdę też Indianie popełniliby wielkie głupstwo, gdyby nas ścigali aż tutaj. Trudy takiego pościgu wcaleby im się nie opłaciły. Prócz tego widok naszej antylopy, której żółta słonina stwardniała pod działaniem nocnego chłodu, dodawał nam odwagi. Ponieważ Kudzo był zręcznym rzeźnikiem, poleciłem mu poćwiartować mięso, a sam tymczasem z siekierą w ręku udałem się opodal po drzewo na ognisko. Marya zajęta była swoimi gospodarskimi sprzętami, garnkami, donicami i półmiskami, myjąc je starannie na brzegu strumienia. Naczynia te, odbywszy podróż przez piaszczystą pustynię, pokryte były kurzem i pyłem. By-

liśmy w nie, dosyć obficie zaopatrzeni; mieliśmy ruszt, kocioł, dwie kadzie, wazkę do zupy, imbryczek do kawy, młynek do jej mielenia, z pół tuzina talerzy i półmisków cynowych, odpowiednią liczbę noży, widelców i łyżek. Przedmioty to były niezbędne w podróży przez pustynię.

Niedługo szukałem drzewa i ognisko wkrótce też buchnęło wesołymi płomieniami. Marya upaliła kawę nad ogniem, zmeła ją następnie na proszek. Ja, ze swej strony wziąłem się do pieczenia na ruszcie naszej dziczyzny, a Kudzo pobiegł po zapas świętojańskiego chleba. Miał on zastąpić nam prawdziwy chleb ze zboża i mąki, któregośmy wcale nie mieli. Zapas mąki wyczerpał się nam przed kilku dniami, pozostało nam tylko suszone mięso, o którym już wam mówiłem, i trochę kawy. Co do tej ostatniej, winniśmy się z nią byli obchodzić bardzo oszczędnie, posiadaliśmy jej bowiem funt tylko... W naszym położeniu i ten funt kawy był rzeczą zbytku. Nie mieliśmy też ani cukru, ani śmietanki, ale można się było bez nich obejść. Podróżni w pustyni pijają zazwyczaj kawę samą, nie dodając do niej ani cukru, ani mleka. Co do nas jednak, tym razem mogliśmy ją osłodzić, idąc za przykładem Franciszka, który wpadł na pomysł wyciśnięcia soku ze strączków akacyi, i sokiem tym zastąpić cukier. Tak zaimprovizowanego cukru dostarczył nam wkrótce całą salaterkę.

Ogromna skrzynia, w której przewieźliśmy nasze sprzęty, posłużyła nam tym razem za stół.

Położyliśmy na jej wieku czysty obrus i całą zastawę stołową, co zaś do krzeseł, to te doskonale dały się zastąpić przez kamienie, około skrzyni poukładane. Przy takim nakryciu zasiedliśmy, ochotnie spożywając, co Bóg dał.

Właśnie zajęci byliśmy jedzeniem śniadania, gdy Kudzo, rzucając białkami oczu na różne strony, zawołał:

— A to co?... panie, panie!... patrzcie no!...

Obróciliśmy się żywo, siedzieliśmy bowiem plecami w stronę, w którą wskazywał Kudzo, i spostrzeżliśmy na bokach wzgórza pięć stworzeń barwy czerwonej, które biegły tak szybko, że mi się zdawało, iż to są lecące ptaki. Po chwili jednak poznaliśmy w nich zwierzęta czworonożne, ale skakały one tak lekko i szybko ze skały na skałę, że niepodobna było rozeznaczyć ich kształtów. Zdawało się, że należą do gatunku daniela, cokolwiek większe jak koza albo owca; ale w miejsce rogów rozgałęzionych, jakie ma daniel lub jelen, miały one rogi ogromne, kręcone. Gdy skakały z jednej płaszczyzny wzgórza na drugą, widzieliśmy z ogromnem zdziwieniem, że w powietrzu kręciły się, spadając na ziemię głową naprzód.

Był tam właśnie wzgórek, który się wznosił łagodnie i kończył się pochyłością ściętą odrazu, tuż nad przepaścią zwieszoną. O sto kroków może staliśmy od tego wzgórza, a przepaść była głęboka na jakie sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt stóp. Zwierzęta biegły po pochyłości i dobiegły aż do jej

brzegu. Ujrzawszy przepaść, zatrzymały się naraz, jakby w celu jej rozpoznania, ale po chwili ujrzeliśmy je już między niebem a ziemią. Zdawało się, że przepaść stanie się dla nich tamą, która powstrzyma ich kroki; przypuszczając to, przygotowałem swą broń, obiecując sobie niemałą zdobycz, gdy tymczasem jeden z baranów rzucił się w przepaść, za nim drugi i trzeci, i tak dalej. Dziwnem było ich przekręcanie się w powietrzu, ich upadek zawsze głową ku ziemi, a następnie zerwanie się ich na równe nogi i zupełna gotowość do dalszego biegu. Było to ciekawe widowisko, wyprawione nam przez najzręczniejszych skoczków!

Miejsce, na którem się teraz znajdowały te zwierzęta, nie było od nas oddalone więcej nad pięćdziesiąt kroków. Mogłem być teraz najkorzystniej strzelać... ale ich szalone skoki tak mnie zdziwiły, że przypatrując się im, zapomniałem, że mam karabin w ręku. Zwierzęta ze swej strony okazały pewne zdziwienie, ujrzawszy nas, bo dotąd nic nie wiedziały o naszej obecności. Szczekanie psów, które nadbiegły, powróciło mi przytomność umysłu... należało już wreszcie korzystać z niespodzianych odwiedzin. Zwierzęta usiłowały wrócić, skąd przyszły i skakały na spadzistą ścianę przepaści. Wówczas zmierzyłem i wypaliłem. W pierwszej chwili zdawało nam się, że był to wystrzał daremny, ale wkrótce przekonaliśmy się, że było inaczej. Nasze psy zbiegły już na dół, a w tym

momencie nowa niespodzianka uderzyła nasze oczy. Zwierzęta, jakby miały skrzydła, wdzierały się, a raczej biegły jak można najszybciej po ścianie przepaści. Jedno tylko usiłowało iść śladami towarzyszków napróżno. Kiedy tamte znikły nam z przed oczu, pozostałe, wdarłszy się na pewną wysokość ściany, runęło z niej w przepaść. W pięć minut potem byliśmy już przy swojej zdobyczy.

Kudzo, Franciszek i Henryk zbiegli razem do przepaści i usiłowali wynieść stamtąd zwierzę, które już nie mało ucierpiało od psów. Kudzo podniósł je i złożywszy na plecach ten ciężar, szedł z nim ku mnie. Zdawało mi się zrazu, że ta ubita zwierzyna co do wielkości wyrównywa danielowi. Po jej rogach zwiniętych i innych szczególnych znakach poznałem, że był to *argali*, baran dziki, zwany przez myśliwych *bigornem* i bardzo często wspominany w opisach podróży pod nazwą barana gór Skalistych. Wiedzieliśmy, że mięso tego zwierzęcia jest bardzo dobrem do jedzenia, a szczególnie w naszym położeniu, w którym wybredność była grzechem śmiertelnym. Natychmiast przeto po śniadaniu wzięwszy noże, wyporzadziliśmy barana, który wkrótce wisiał na drzewie obok antylopy. Psy bardzo łakomie spoglądały na ten nowy zapas mięsiwa, na widok którego dziękowaliśmy Bogu, że się nami opiekuje tak widocznie i że ta opieka wybawia nas od straszliwej głodowej śmierci.

Nowa ta zdobycz jednakże nie obłąkała nas



G. Doré

Strzeliłem do zwierzęcia, które biegło obok mnie i zwałem je na ziemię.

BIBLIOTECA
BN
MADONNA

powodzeniem i owszem, dała nam bodźca do rozważania obecnego stanu. Zasiadłszy spokojnie, poczęliśmy zastanawiać się nad tem, co nam czynić wypada. Argali i antylopa dostarczyły nam mięsa, które wystarczyć może na jakie półtora tygodnia. Ale skoro się ten zapas wyczerpie, jakie pozostaną widoki wyżywienia się? Niestety... żadne, lub nadzwyczaj niepewne. Niepodobna nawet przypuszczać, by w tych stronach znajdowały się całe stada baranów i antylop, skoro uboga roślinność na bardzo małej przestrzeni nie pozwalałaby im się tu wyżywić. A zresztą, czyż z taką łatwością potrafilibyśmy je zabijać, jak to się dotąd trafiło po dwakroć?... Czyliż w tych obu zdarzeniach nie należy raczej upatrywać woli Opatrzności, na którą wyłącznie liczyć, bez własnego planu i działania, byłoby głupstwem i grzechem?... Skoro wyczerpią się nasze zapasy, czem je zastąpimy?... Za tydzień nasz wół będzie cokolwiek tłuszcieszy; zabity, wystarczyłby na jakiś przeciąg czasu... ale potem?... Potem koń... potem jeszcze psy — a następnie pewność głodowej śmierci!

Wszystkie te przewidywania napępniały nas uczuciem trwogi. Jeżeli będziemy zmuszeni zabić naszego wołu, wówczas któż będzie ciągnął nasz wóz?... Wszakże koń nie poniesie nas wszystkich przez pustynię, Jeżeli jeszcze zabijemy konia, wówczas musielibyśmy iść na piechotę, Niestety! oprócz strzelców, żaden jeszcze człowiek nie przeszedł pieszo pustyni, a cóż dopiero cała rodzina! Pozostać

na miejscu, na którym znajdujemy się obecnie, było niepodobieństwem. Miejsce to miało wegetację bardzo ubogą, nad brzegiem strumienia położoną — ale na przestrzeni niezmiernie ograniczonej. Były tam wierzby, była trawa, ale żadnych innych roślin, któreby mogły wyżywić nas i utrzymać przy życiu... Co więcej, roślinność ta nie mogłaby wystarczyć dla zwierząt w większej trochę liczbie, a to zapowiadało, że nie mielibyśmy ani roślin, ani mięsa. Wszystkie te uwagi prowadziły nas do wniosku, że powinniśmy porzucić te miejsca bez zwłoki.

Pozostawało jeszcze jedno pytanie do rozwiązania: czy pustynia w południowej stronie tak samo jest rozległą jak na północy? czy zresztą jej natura niczem się nie różni na południu, czy przebywając ją, musielibyśmy przechodzić przestrzenie tak straszliwie puste, jałowe, głuche i przerażające?... Ażeby czegokolwiek się dowiedzieć, postanowiłem okrążyć góry, pozostawiając na miejscu swą rodzinę aż do powrotu z swojej wycieczki.

Nasz koń po kilkodniowym wypoczynku wrócił zupełnie do sił. Osiodłałem go, a wzięwszy karabin, puściłem się na nim drogą u stóp góry, ku stronie wschodniej. W kierunku tym spotkałem kilka drzew dzikich i trochę bardzo ubogiej roślinności, przypominającej pustynię. Spostrzegłem także ścieżkę wydeptaną przez antylopy i jakies inne zwierzę do daniela podobne, ale różniące

się od wszystkich zwierząt, jakie widziałem, niezwykłą długością ogona.

Przeszedłem z jakie ośm kilometrów drogi i zawróciłem w stronę zachodnią; spostrzegłem wówczas krajobraz rozciągający się ku południowi. Jak tylko okiem sięgałem, nie mogłem ujrzeć nic więcej nad dziką płaszczyznę; widok równie smutny i przerażający, jak na północy. Na wschodzie jednak widać było ślady roślinności, ale były to zaledwie ślady, tak rzadkie, tak karłowate i nikłe.

Wszystko to było smutną zapowiedzią. Potrzebowaliśmy przebyć całą pustynię, by się dostać do jakiegoś zamieszkałego kraju. Puszczając się ku granicom Stanów Zjednoczonych w położeniu, w jakim się znajdowaliśmy i z tak nędznym zaprzęgiem, byłoby szaleństwem. Zresztą w tym kierunku najniezawodniej napotkalibyśmy kilka plemion dzikich, które w tamtych stronach przebywały. Sama dzikość i nieurodzajność gruntu, po którym musielibyśmy postępować, czyniła też podróż naszą niemożliwą. Na drodze zaś na północ lub na południe niepodobna było natrafić na jakąś osadę ludzi ucywilizowanych; w tych dwóch kierunkach osad takich nie było. Jediną możliwością było udać się na zachód, w stronę osad meksykańskich, leżących nad Del Norte, ale ażeby się do nich dostać, należało przejść ze trzysta kilometrów drogi. Ażeby to uczynić, trzeba było mieć zaprzęg liczniejszy i lepszy, a nadewszystko zapasy żywności, co było dla nas niepodobieństwem.

Spostrzegłem, że góra w części południowej przedstawia u dołu daleko łagodniejszą pochyłość, niż w części północnej, która się kończy przepaścią. To mnie naprowadziło na wniosek, że tędy toczą się większe masy śniegu w czasie roztopów i wody, niż tam, co kazało znowu domyślać się że po tej stronie ziemia jest urodzajniejsza, a roślinność bujniejsza, obfitsza i rozmaitsza. Szedłem coraz dalej, aż zaszedłem na miejsce, na którym spostrzegłem rosnące kępy wierzb i bawełników, tuż ponad strumieniem przerzynającym dolinę. Doszedłem do strumienia i ujrzałem, że na jego brzegach rośnie bardzo bujna trawa. Przywiązałem konia do drzewa i począłem się wdrapywać na pewną wysokość w celu rozejrzenia się po okolicy. Kiedym wodził naokoło oczyma, naraz musiałem zatrzymać je, zarazem zachwycony i zdziwiony. Widok zajmujący uderzył mnie... ujrzałem równinę równie piękną jak ponętą. Zbiegłem na dół do uwiązanego przy drzewie konia, a po chwili szedłem w kierunku doliny, by ją bliżej zbadać. Po półgodzinnym pochodzie byłem już na równinie, a przed oczami moimi rozciągała się dolina owa, której widok mnie tu sprowadził.

Nie umiem opisać uczuć, jakich doznawałem w tej chwili. Uczucia te zrodziły się z przeciwieństwa tego, com teraz ujrzał, z tem, do czegom się już przyzwyczaił przez czas naszej długiej podróży w pustyni. Miałem obecnie przed oczami najpyszniejszą roślinność. Przepyszne olbrzymie

drzewa, których liście nosiły całą różnorodność barw pory jesiennej, kryły w swych gałęziach miliony ptactwa. Chór wesóły wzbijał pod niebo pieśń swoją, którą powietrze, napelnione aromatami kwiatów i zieleni, roznosiło w setnych echach.

Pozostawałem tu z kilka minut pod wpływem radosnego osłupienia, wpatrując się w cudowny widok. Nie mogłem tylko dostrzedz żadnych śladów ludzkiego zamieszkania. Żadnego dymu wśród gałęzi drzew, żadnego szelestu w ich cieniu... wszystko tu było głosem przyrody brzmiącej w śpiewie ptaków i szumie wód. Zdawało się, że człowiek nigdy nie skaził tego cudownego raję przez swoją obecność!

Powiedziałem, że pozostawałem tam przez kilka minut... nie... przez blisko dwie godziny słuchałem i patrzyłem póki zachodzące słońce nie przypomniało mi, że czas już wracać. Znajdowałem się o jakie trzydzieści kilometrów od naszego pola; koń mój był dobrze zmęczony, więc powrót nie mógł być spieszny. Przez drogę postanowiłem, że jak najprędzej z towarzyszami wrócę do rozkosznej doliny, w której pobyt mógł nam dostarczyć zapasów żywności, a stokroć mógł być przyjemniejszym niż na polu, wśród którego dotąd pozostawaliśmy. Była już północ, gdy przybyłem na pole; zastałem wszystko bez zmiany. Marya bardzo się o mnie niepokoiła, ale mój powrót przekonał ją, że moja długa nieobecność nie była bez

korzyści. Natychmiast naradziliśmy się, co mamy czynić i stało na tem, że zaraz jutro zmienimy miejsce pobytu.

XVIII.

Wielki jeleń.

Przebudziwszy się ze wschodem słońca, posiliśmy się naprędce i natychmiast zaczęliśmy przygotowywać się do porzucenia pola, które nazwaaliśmy *Polem Antylopy*. Strumień otrzymał nazwę *Przystani baranów*. Około południa stanęliśmy już na granicy łąki, gdzieśmy się też zatrzymali i przepędzili noc. Nazajutrz puściłem się na poszukiwania drogi, którąby łatwo można się dostać na dolinę. Przeszedłem kilka mil brzegiem przepaści, ale z wielkiem zmartwieniem widziałem wszędzie, że na łąki doliny, jak do zaczarowanego miejsca, w żaden sposób dostać się nie można. Przepaść nieprzebyta stała wszędzie na przeszkodzie. Wówczas zdawało mi się, że ten raj ziemski, który po drugiej stronie przepaści nęci moje oczy jest na to jedynie stworzony, by jeszcze bardziej przykrem czynił nasze smutne położenie. Na szczęście, gdym szedł coraz dalej, ujrzałem wreszcie, że ściany przepaści zmieniają się w łagodną pochyłość, która jeszcze dalej stała się wąską płaszczyzną. Płaszczyzna ta, jakby piętrząca się coraz niżej, łączyła swe części przez zakręty, które sta-

nowiły wyborną drogę. Na drodze tej spostrzegłem ślady nóg zwierzęcych rozmaitych gatunków. Było to więc to, czego właśnie szukałem!

Wróciłem natychmiast do wozu. Ponieważ zmarnowałem prawie większą część dnia na te poszukiwania, było już zatem późno, gdym stanął na miejscu. Przepędziliśmy tu jeszcze drugą noc, nazwawszy to miejsce *Polem wierzb*.

Nazajutrz puściliśmy się w drogę jak najraniej. Przybywszy na płaszczyznę, którą znalazłem wczoraj, zatrzymaliśmy się. Marya z dziećmi pozostała przy wozie, ja zaś z Kudzem poszliśmy naprzód, w celu wyszukania najlepszego przejścia i rozpoznania miejscowości. Ujrzelśmy olbrzymie drzewa, po gałęziach których pięły się najrozmaitsze rośliny, płacząc się ze sobą tu i ówdzie, jak sploty węzów. Był to przepyszny widok!... Nadto ujrzelśmy liczne ślady zwierząt, których tu musiało być nieprzebrane mnóstwo. Wyraźnie można było rozpoznać drogę jaką wydeptały.

Postępowaliśmy tą drogą; doprowadziła ona nas nad brzeg wody. Woda nie była głęboka, a brzegi jej koryta prawie suche. Była to wyborna droga dla naszego wozu. Szliśmy dalej, a uszedłszy ze trzy mile, ujrzelśmy dosyć obszerne miejsce, w którym las się przerzedzał, a promienie słońca rozświecały cudny krajobraz. Na prawym brzegu strumienia znajdowała się płaszczyzna o łagodnej pochyłości, ocieniona ze wszech stron drzewami i okryta najbujniejszą roślinnością. Było to

doskonałe miejsce na pobyt krótszy lub dłuższy. Widać tam było rozmaite zwierzęta, przebiegające w tę lub ową stronę. Zatrzymaliśmy się chwil kilka, aby się przypatrzeć temu zachwycającemu obrazowi. Ptaki o skrzydłach błyszczących, jak różnobarwne kwiaty, krzycząc i śpiewając, przelatywały z gałęzi na gałąź. Były tam papugi, wilgi, sójki i najrozmaitsze ptactwo o skrzydłach niebieskich, lazurowych i szkarłatnych. Motyle o dużych różnobarwnych skrzydłach, latały ponad kwiatami, których zapach przejmował powietrze. Jedne z nich były wielkie jak ptaki, inne mniejsze, ale precudne. Latał tam także ptaszek, nazywany muchą z przyczyny, że jest niewiele większy od pszczoły. Skrzydełka jego błyszczały na słońcu jak drogocenne kamienie.

Był to, doprawdy, przepyszny widok! Przyrzawszy mu się, Kudzo i ja, przyznaliśmy zgodnie, że to jest właśnie miejsce, któregośmy pragnęli! Tutaj nasze zwierzęta mogły wrócić do sił, tu wreszcie mogliśmy przebywać bezpiecznie aż do chwili, w której zaopatrzeni w żywność i gotowi do drogi, puścimy się w podróż dalszą przez pustynię. Wówczas przeto uważaliśmy to miejsce jako tymczasowy przytułek, a przecież, moi przyjaciele, jeszcze się na niem w tej chwili znajdujemy. Tak jest, ten dom jest zbudowanym na środku owej precudnej łąki, którą wam tylko co opisałem. Zdziwicie się też bardzo, gdy wam powiem, że



Jeleń zerwał się na nogi i jednym uderzeniem głowy wyrzucił mnie w powietrze.

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

w owej epoce nie było tu jeziora, że moje pola były wówczas zarosłe drzewami.

Równina ta, na której dzisiaj przebywamy, była wówczas puszcza, zarosła, dziką, prawie nieprzebytą. Kiedyśmy po raz pierwszy ją ujrzeli, nikt z nas nie pomyślał, że można z tego miejsca zrobić miłą i wdzięczną ludzką siedzibę.

Zatrzymaliśmy się tu tak długo tylko, jak długo należało nam badać miejsce. Wiedzieliśmy, że Marya pragnie nas ujrzeć jak najprędzej, wróciliśmy się niebawem do wozu. Po trzech godzinach wóz ten, ze swoją olbrzymią budą, białem płótnem okrytą, stanął pośród owej łąki; koń i wół wynagrodzeni wreszcie za swoje trudy, brodzili swobodnie w olbrzymiej trawie nad brzegiem strumienia. Dziewczęta igrały na łące, w cieniu wspaniałej *magnolii*, Marya zaś, ja, Kudzo i chłopcy, zajęliśmy się pracą. Ptaki krążyły nad nami, świergocząc i krzycząc na wielką pociechę naszych dzieci. Podlatywały one niezmiernie blisko, zaciekawione obecnością istot, które może w tych stronach nigdy się nie pojawiły... nie obawiały się przelatywać tuż przy nas, co nam kazało się domyślać, że rzeczywiście człowiek nigdy w tych czarownych stronach nie powstał. Gdyby było inaczej, gdyby ręka ludzka sięgnęła już po haracz ze zwierząt, nie miałyby one tyle ufności, ile jej okazywały teraz.

Dzień się chylił ku końcowi, należało pomyśleć o spoczynku... Byliśmy niezmiernie zmęczeni, szcze-

gólniej prowadzeniem wozu nad brzegami strumienia, po głębokim i mokrym piasku. Tu i owdzie musieliśmy wyrębywać przejście w krzakach, gdzie indziej zaś układać kamienie, bo inaczej wóz ugrzązłby niezawodnie w ziemi. Wszystkie te trudności udało się nam przewyciężyć, a teraz wypadało tylko pomyśleć o przyzwoitem schronieniu. Kudzo urządził ognisko, rozpałił ogień i pozawieszał nad nim nasze naczynia. Pozawieszał je zaś na prętach, wspartych po obu stronach na kołkach w ziemię wbitych i wysoko sterczących. Po upływie pewnego czasu mieliśmy już ugotowaną kawę i upieczone resztki antylopy. Marya nakryła czystym obrusem wieko skrzyni, jak dni poprzednich i poustawiała na niej symetrycznie nasze talerze i półmiski, błyszczące jak srebro. Po chwili zasiedliśmy naokoło improwizowanego stołu, spożywając skromny posiłek. Trzeba jednak przyznać, że posiłek ten wydawał nam się po zmęczeniu i pracach dnia, ucztą królewską! Pieczeń z antylopy była wyborna... a chociaż Kudzo obracał ją naokoło ognia na pręcie drewnianym, była tak ładnie zrumieniona i tak upieczona wybornie, jakby się to stało z patentowanym rożnem.

Siedzieliśmy i posilaliśmy się nieopodal od ognia, jak to bywało zazwyczaj w dniach ostatnich. Rozmowa szła żywa, wesoła... naraz uwagę naszą zwrócił jakiś szelest, sprawiony pomiędzy drzewami otaczającymi łąkę. Był to szelest ostry, niby trzask deptanych gałęzi, liści, gnieconych ko-

pytami licznych zwierząt. Wszystkich oczy zwróciły się mimowolnie w stronę, z której szmer dał się słyszeć. Wkrótce jakieś trzy ogromne zwierzęta wyszły z zarośli na łąkę, jakby z zamiarem kroczenia dalej.

W pierwszej chwili sądziliśmy, że to są danielę. Każde z tych zwierząt miało na głowie parę rozłożystych rogów, niby gałęzie jedna z drugiej rosnące; skoro się odwróciły tak, że można je było zobaczyć z boku, spostrzegliśmy, że należą do zupełnie innego gatunku, któregośmy dotąd nigdy nie spotkali. Jedno z nich było prawie tak wielkie jak koń, a jego rozgałęzione rogi, wznoszące się na kilka stóp nad głową, czyniły jego wielkość o wiele znaczniejszą. Rogi to sprawiły, żeśmy je wzięli w pierwszej chwili za danielę, te rogi zarówno wspaniałe jak szczególne, i rzeczywiście podobieństwo na pierwszy rzut oka było ogromne. Ale później cóż za widoczna różnica!... Były to niezawodnie wielkie jelenie gór Skalistych.

Wyszędłszy z zarośli, kroczyły naprzód, nie okazując ani bojaźni, ani nieufności. Ich wielkość, ich siła i uzbrojenie nadawały im pewność siebie i odwagę, która nakazywała im iść naprzód. Czują, że z bronią, którą niosły na swoich głowach, nie potrzebują się lękać nieprzyjaciela.

Spostrzegłszy wreszcie nasz wóz i nasze ognisko, przedmioty nieznane dla nich aż do tej chwili, zatrzymały się, wyciągnęły głowy, wciągnęły noz-

drzami powietrze i zdawały się nam przypatrywać z widocznymi oznakami zdziwienia.

— Teraz czas — rzekłem zcicha do Kudża. — Za chwilę poczuwszy niebezpieczeństwo, pobiegną co sił w zarośla i znikną na zawsze.

Mówiąc to, pochwyciłem karabin i odwiodłem jego kurek. Henryk i Franciszek uczynili to samo.

— Co to będzie za zdobycz! — szepnął Kudzo. — To ogromne bestye!

Usiłowałem się obrócić jak najdokładniej ku zwierzętom, ale jakież było moje zdziwienie, gdy zamiast uciekać, podeszły one jeszcze bliżej, wyciągając ciągle głowę ku nam i bezustannie wietrząc. Dziwiło mnie to tem bardziej, że zawsze słyszałem, iż jeleni należy do najroztropniejszych zwierząt. Znają one zazwyczaj niebezpieczeństwo, na jakie się narażają, ale tym razem nie lękały się widocznie tego, czego nie znały. Ich ciekawość zmniejszała przestrzeń, jaka nas od nich dzieliła, a spodziewałem się, że podejda jeszcze bliżej. Nadzieja ta powodowała, że nakazałem zachować się swoim towarzyszom jak najspokojniej i nie czynić najmniejszego szelestu.

Wóz, wraz ze swoim białym okryciem, zdawał się głównie ściągać uwagę naszych szczególnych gości. Następnie postąpiły one parę kroków naprzód, zatrzymały się i jeszcze raz postąpiły, by się znów zatrzymać,

Ponieważ wóz znajdował się o kilkanaście kroków odległości od ogniska, przy którym sie-

dzieliśmy, przyszło więc do tego, że jelenie znalazły się między nami a wozem. Szczególniej ten, który postępował pierwszy, znalazł się prawie pod lufą mego karabina. Niepodobna było czekać dłużej... upatrzyłem miejsce, które sądziłem, że się znajduje najbliżej serca i strzeliłem. »Baczność!« krzyknąłem, widząc, że zwierzęta zawracają na drogę, którą przyszły. Poczęły się oddalać, a co najdziwniejsza, że nie biegły jak daniele, lecz szły truchtem, tak szybkim jednak, jak galop konia.

Psy, które w tej chwili Kudzo puścił, rzuciły się śladami uciekających zwierząt. Wkrótce jedne i drugie zniknęły nam z oczu... słyszeliśmy tylko trzask gałęzi i szelest deptanych liści, co nam wskazywało kierunek ucieczki i pogoni. Po chwili wszystko ucichło, a tym sposobem straciliśmy nadzieję wysledzenia miejsca, na które się udały spłoszone jelenie.

Po upływie paru minut dało się słyszeć ujadanie psów zdradzające, że rozpoczęła się tam zaciekła walka. Szczekanie było groźne i pełne trwogi.

— Zdaje się, że zraniłem zwierzę — rzekłem. — Chodźmy, Kudzo, obaczmy co się tam dzieje. Chłopcy! pozostańcie z matką i strzeżcie jej bezpieczeństwa.

Wziąłem karabin Henryka i w towarzystwie Kudza udałem się w zarośla, postępując śladami psów i jeleni. Odgarniając liście rękoma, ujrzałem, że niektóre z nich powalane są krwią.

Biegliśmy o ile sił starczyło przez zarośla. Po zostawieniu swego towarzysza za sobą, bo Kudzo, trochę powolny nie mógł tak szybko biec, i wiedziony odgłosami psów, ujadających opodal, znalazłem się wkrótce przy nich. Jeleń był na kolanach i bronił się swymi rogami, jeden zaś z naszych psów wył z bólu tarzając się po ziemi. Drugi, walcząc jeszcze z całą zajadłością, usiłował uderzyć na nieprzyjaciela z tyłu, ale jeleń zwinny i szybki, zwracając się na wszystkie strony, groził w każdej chwili rogami tam, gdzie starano się go atakować.

Niepodobna było przypuszczać, że pies zwycięży jelenia, przeciwnie byłem pewny, że ten ostatni stanie się panem walki. Aby ocalić dzielnego psa, rzuciłem się naprzód z zamiarem uderzenia zwierzęcia kolbą swego karabina. Uderzyłem też z całych sił w kierunku głowy, ale cios był źle wymierzony: chybiłem, a chybiwszy upadłem sam między rogi zwierzęcia! Karabin wypadł mi z ręki... chciałem się cofnąć... nie było już czasu! Jeleń zerwał się na nogi i jednym uderzeniem głowy wyrzucił mnie w powietrze do znacznej wysokości. Na szczęście upadłem w zarośla, zawieszony nad ziemią w gałęziach gęstych i poplątanych. To mnie ocaliło.

Jeleń rozglądał się naokoło, zdziwiony, że mnie nie widzi. Z pewnością, gdybym był upadł na ziemię, rozdarłby mnie swymi rogami na sztuki.

Przez jakiś czas zachowując się jak najspokoj-

niej na gałęziach, patrzyłem na to co się działo pode mną. Pies walczył dalej z równą zaciętością, ale wkrótce czując, że walka ta jest nadaremna, starał się usunąć z pola boju, co mu się jednak nie udawało. Jeleń ze swej strony atakować go począł.

Kudzo, którego pozostawiłem na drodze, teraz nadbiegł. Widziałem zdaleka jego świecące oczy, szukające mnie naokoło — na próżno. Ażeby go uprzedzić krzyknąłem, a krzyk mój wywarł zły skutek: jeleń się obejrzał i spostrzegł go; natychmiast zwrócił się i pochylił ku niemu głowę, zdradzając gotowość do gwałtownego napadu.

Drżałem o bezpieczeństwo mego sługi i przyjaciela. Miał on w ręku długą, silną lancę indyjską, którą znalazł na polu w pustyni, wówczas, gdy dzicy wymordowali naszych towarzyszków. Nie spodziewałem się, że jej tak dzielnie użyje. Struchlałem od trwogi, widząc, że rogi zwierzęcia prawie dotykają jego piersi. Chciałem biedz na pomoc, gdy wtem Kudzo wskoczył na drzewo, a zwierzę rzuciło się na oślep naprzód, nie zatrzymawszy się przed zadaniem ciosu. Ta jedna chwila nieuwagi jelenia stała się dla niego przyczyną zguby. Ostrze lancy Kudza dosięgło boku zwierzęcia i uwięzło w nim. Żaden matador¹⁾ hiszpański nie zadałby pewniejszego i skuteczniejszego ciosu.

¹⁾ Matadorowie są to ci, którzy występują w Hiszpanii do walki z bykami.

Wydałem okrzyk radości, widząc, jak jeleni runął na ziemię i zeskoczyłem natychmiast z drzewa, biegnąc ku niemu. Przybywszy, spostrzedłem, że zwierzę kona, a Kudzo tryumfujący ze swego zwycięstwa, rzekł do mnie:

— No i cóż, panie, zdaje mi się, że dobrze wymierzyłem; niech się pan przyjrzy, właśnie pod piętą żebrem. Szkoda, że to nic nie pomoże naszemu biednemu Kastorowi!

Mówiąc to, głaskał biednego psa, skowyczącego żałośnie z bólu.

Henryk, który słyszał zgiełk walki, nie mógł się powstrzymać, by do nas nie przybieść. Na szczęście znalazł swój karabin w dobrym stanie, chociaż mógł go znaleźć pogruhotanym. Zaraz też Kudzo dobył swego ogromnego noża i począł oporządzać zwierzynę. Jeleń mógł ważyć z jakie tysiąc funtów, niepodobna nam go było przenieść, taki był ciężki, bez pomocy konia i wołu, to też postanowiliśmy rozebrać go na miejscu i przenosić częściowo. Ażeby to uczynić, należało udać się do wozu po potrzebne sprzęty, poczem wróciliśmy dokończyć rzeźniczej operacji. Przed zachodem słońca mieliśmy około tysiąca funtów świeżego mięsa, zawieszzonego na gałęziach drzew, które otaczały miejsce naszego pobytu.

XIV.

K a r k a ż u.

Nazajutrz pozrywaliśmy się ze snu bardzo wcześnie. Śniadanie nasze składało się z jelenich kotletów i kawy; spożywszy je, wzięliśmy się do robót, które wołały o wykonanie jak najprędzej. Mieliśmy już dostateczną ilość mięsa na drogę, ale należało zabezpieczyć je od zepsucia. Jakże jednak uczynić to należało, gdyśmy nie mieli soli? To pytanie zakłopotało nas bardzo. Na szczęście przypomniałem sobie owo *tasajo* hiszpańskie, suszone mięso, które strzelcy suszą najzupełniej bez soli, i zaraz postanowiłem ich sposób naśladować.

Zabraliśmy się z Kudzem do dzieła. Rozpaliliśmy ogromny ogień, na który narzucaliśmy świeżych gałęzi. Płomień tym sposobem począł się przyduszać, gasnąć, a w jego miejsce wznosił się gęsty, czarny dym. Wbiliśmy potem kilkanaście pali naokoło ogniska i połączyliśmy je ze sobą sznurami. Mięso jelenia pokrajał Kudzo w pasy grube, długie na półtorej stopy, i te kawały świeże i czerwone pozawieszaliśmy na sznurach; tym sposobem mięso wystawione zostało na działanie dymu i gorąca, nie piekąc się bynajmniej. Czynność ta nie wymagała wcale ciągłego zajęcia się z naszej strony; dość było kiedy niekiedy dorzucić gałęzi do ognia i spoglądać, czy wilki albo psy nie czają się, by nam porwać kawał mięsa,

zawieszonoego na sznurze. Przy końcu trzeciego dnia mięso to było już zupełnie suche i zdatne do użytku, na jaki było przeznaczone.

Podczas tych trzech dni nie oddalaliśmy się od łąki. Nie potrzebowaliśmy myśleć o obfitszem zaopatrzeniu się w zwierzynę, chociaż mogliśmy to czynić z największą łatwością. Zależało nam wiele na tem, ażeby zapas prochu pozostawał prawie nienaruszonym; oszczędzaliśmy go ile było można. Zresztą, mając już mięsa poddostatkiem, lepiej go było zachować na obronę wobec niedźwiedzi i wilków, których wyraźne ślady widzieliśmy tu i ówdzie. Ponieważ obawialiśmy się ich napadu, postanowiliśmy się zachować zawsze w pozycyi obronnej; wystarczała na to ciągła baczność i porozpalane ognie naokoło łączki. Mieliśmy też i świeże mięso, stokroć lepsze niż suszone i bardzo delikatne. Jednego bowiem dnia spostrzegłem małe stadko dzikich indyków, z których jednego zabiłem. Mięso tego ptaka, niezmiernie smaczne, w delikatności wyrównywało mięsu swojskiego indyka, którego spotkać można prawie w każdym europejskiem gospodarstwie.

Dnia trzeciego pod wieczór, mięso jelenie, jakem to już powiedział, było suche jak wiór. Pozdejmowaliśmy je ze sznurów, aby je przechować w małych zawiniątkach w głębi wozu. Mieliśmy zatem zapasy żywności, pozostawało nam tylko oczekiwać chwili, w której nasze zwierzęta powróciwszy do sił, będą mogły puścić się w drogę.

Koń i wół pasły się ciągle pod naszymi oczyma, od rana do nocy krocząc wśród bujnej trawy; poczynaly się odgryzać, a my, widząc to, cieszyliśmy się, że przyjdzie nareszcie chwila, w której porzucimy te miejsca.

Jakże są zawodne wszystkie zamiary ludzkie! Właśnie wówczas, gdyśmy byli prawie pewni, że niezadługo puścimy się w drogę przez pustynię, niespodziany wypadek uczynił podróż naszą niemożliwą, przynajmniej odwłócił ją na wiele lat!

Było to po południu czwartego dnia naszego pobytu w dolinie. Zjedliśmy właśnie obiad. Usiadłszy nieopodal ogniska, przypatrywaliśmy się z zajęciem naszym młodym dziewczętom, igrającym wesoło na trawniku.

Moja żona i ja rozmawialiśmy półgłosem o Ludwice, przypominając okropną chwilę, w której nieszczęśliwe to dziecko straciło ojca i matkę. Postanowiliśmy ją wychować w niewiadomości nieszczęścia, które ją spotkało, i w przekonaniu, że jest naszą córką. Zastanawialiśmy się potem, czy kiedyś, gdy Ludwika dorośnie, należy jej opowiedzieć straszliwy wypadek, który z niej uczynił sierotę. W rozmowie tej naturalnym bardzo sposobem przeszliśmy do własnych na przyszłość zamiarów, tak bardzo zmienionych przez śmierć naszego przyjaciela Szkota. Co będziemy czynić, udawszy się do obcego kraju, w którym nie mamy nikogo, którego język jest nam obcym i w którym wreszcie ludzie gotowi szkodzić swoim, dla

obcych nie zdobędą się ani na współczucie, ani na pomoc?... Co nam czynić należy?... Oto były gorzkie myśli, które trapiły nasz umysł — ale, zrządzeniem Opatrzności, nie miały go trapić zbyt długo.

— Nie trwóż się, Robercie — rzekła do mnie moja żona, kładąc ze słodyczą rękę swą na mojem ramieniu. — Ten, który strzegł nas aż dotąd, opiekować się nami będzie i w przyszłości.

— Masz słuszność, droga Maryo — odrzekłem, poczuwszy w sobie wzrastającą energię — w Tym, który strzegł nas dotąd, położymy całą ufność!...

Właśnie wymawiałem te wyrazy, gdy uszu moich doleciał szelest, pochodzący od strony lasu. Zdawało się, że znowu wszystko ucichło, ale po chwili szelest zaczął wzrastać — a następnie dał się słyszeć krzyk trwogi zwierzęcia, połączony z odzieniem bólu. Spojrzałem wokoło, szukając wzrokiem naszego wołu: koń sam pasł się tylko na trawie. Krzyki, któreśmy słyszeli od strony zarośli, przybliżały się i coraz bardziej nabierały cechy trwogi i boleści. Czyli wydawał je nasz wół?... ale jakaż mogła być tego przyczyna?... Z każdą chwilą słychać było wyraźniej, że zwierzę to, wydające głosy rozpacz, biegło ku nam i zbliżało się szybko.

Pochwyciłem swoją broń, Franciszek i Henryk uczynili to samo; Kudzo ujął lancę, psy zaś, zerwawszy się na równe nogi, oczekiwały znaku, aby się rzucić naprzód.

Raz jeszcze przerażający okrzyk się powtórzył... liście i gałęzie drzew, jakby tratowane nogami jakiegoś wielkiego zwierza, sprawiały przejmujący szelest; ptaki przelatujące z gałęzi na gałąź, zdawały się nam strwożone i wylękłe; nasz koń, najeżywszy grzywę i zwróciwszy głowę w stronę, z której pochodziły okrzyki, rżał niespokojnie; dzieci z krzykiem przerażenia tuliły się do siebie; psy z niecierpliwością spoglądały na krzaki, z których nareszcie wybiegło zwierzę, w szalonym pędzie zmierzające wprost na nas. Na pierwszy rzut oka poznaliśmy swojego wołu. Czyli uciekał przed jakimś pościgiem, przed dzikim zwierzem, który wyzywał go do walki?... Nie!... za nim nie podążał nikt, a jednak, niestety, stało się jeszcze coś okropniejszego.

Przez chwilę staliśmy jak skamieniali. Pomiedzy dwoma przednimi nogami naszego wołu spostrzegliśmy jakieś zwierzę, przyczepione ogromnymi pazurami do jego szyi. Zdawało się, że ciało tego zwierzęcia stanowiło jedną masę z ciałem wołu, tak silnie przypięło się ono do jego skóry. Skorośmy się zbliżyli, ujrzeliśmy ogromne szpony i krótkie muskularne członki straszliwego stworzenia. Jego łeb wpił się w gardło wołu, którego ciało, poranione w wielu miejscach, całe było pokrwawione. Pysk zwierzęcia przypiął się, jak pijawka, do szyi... Przedziurawiał on skórę, rozdzierał ciało i wypijał krew.

Wół, wybiegłszy z zarośli, zwolnił kroku...

Znać było, że mu braknie sił, że lada chwila zachwieje się i padnie. Pragnąłem go ocalić... ale kula moja, zamiast ugodzić tam, gdzie należało, rozdarła pierś wołu... Z ostatnim wysiłkiem rozpaczy biedne nasze zwierzę rzuciło się naprzód i runęło o ziemię.

Straszliwe stworzenie, które w tej chwili znalazło się przytluczone do ziemi ciężarem swojej ofiary, wydostało się na wierzch i rzuciło na jej trupa. Poznałem teraz, że to jest *karkazu*!... Zdawało się, że to zjadliwe i okrutne zwierzę spostrzegło nas... W jednej chwili wyprężyło ono członki, spojrzało na nas wzrokiem groźnym i dzikim... Minutę później, a rzuciłoby się na nasze dzieci.

Trzy na raz strzały rozległy się; niestety!... nie mierzyliśmy dobrze i trzy te strzały padły bez celu!... Widząc to, chwyciłem za nóż i postąpiłem naprzód, Kudźo uprzedził mnie; ujrzałem błysk jego lancy, której ostrze zatopiło się w gęstej sierści zwierzęcia. W tej chwili powtórzony cios lancy dosięgnął je; ostrze jej ugrzęzło w jego gardle. Zamiast uciekać, karkazu tym razem posunął się naprzód, grożąc Kudźowi straszliwymi pazurami. Przyszła kolej i na mnie; mając w tej chwili pistolety w ręku, zmierzyłem i wypaliłem. Cios był śmiertelny, zwierzę powaliło się o ziemię w konwulsjach konania. Byliśmy ocaleni, ale nasz biedny wół, który nas miał wyciągnąć z tych miejsc, leżał bez życia u stóp naszych!...

XV

Próżne poszukiwania.

Jedna chwila była wystarczająca do zniszczenia naszych nadziei, odnoszących się do opuszczenia miejsca, w którymśmy się znajdowali. Koń nie był zdolny do ciągnięcia wozu w piaskach pustyni; z drugiej strony nierozważnem byłoby puszcząć się w tak daleką i trudną podróż piechotą. Niepodobna nawet było pomyśleć o tem, pomnąc na słabą kobietę i dzieci, które i tak poprzednio trzeba było nieraz nieść na własnych ramionach. Wszystkie moje plany zniszczone — pozostała tylko rozpacz!

Jakimże teraz sposobem wydostaniemy się z tej samotni?... Czy wolno nam marzyć o dniu, w którym się puścimy w drogę, gdy jedna okoliczność oddaliła ten dzień może na zawsze?... Żadna ludzka istota nie zdoła nam przyjść w pomoc, bo i któż wie o naszej niedoli, prócz nas samych?... Wszystko kazało nam przypuszczać, że stopa człowieka, aż do naszego przybycia, nie dotknęła jeszcze ziemi tej łąki... tej doliny. Nie byłoby niepodobnem do prawdy, że bandy Indyan, lub strzelcy pustyni, znajdując się w tych stronach, nigdy nie natrafili na dolinę, jakby najstaranniej ukrytą wśród skał i gór.

Nie mogłem przypuszczać, iż trafi się, że przypadek nazbyt przychylny zagna aż tutaj jakąś

wędrowną karawanę podróżnych lub kupców. Pustynia otaczała te miejsca, jak przepaść nieprzebyta; wiedziałem dobrze o tem, że góry w południowej stronie mają poza sobą również straszliwą puszcę, jak i na północ. Pozostawiała nam tylko nadzieja, bynajmniej nieuzasadniona, a raczej ufność bez granic, więcej w Opatrzności, niż w siłach własnych i szczęśliwym przypadku pokładana. Może też pustynia nie ciągnie się tak daleko na południe, jak na zachód? Przerobiwszy nasz wóz na lżejszy, możebyśmy zdołali ją przebyć?... Wreszcie, aby się o tem upewnić, postanowiłem sam się udać na zwiady; jeżeli uda mi się wynaleźć sposób podróży, któryby można urzeczywistnić, użyję go bez zwłoki!

Nazajutrz, osiodławszy konia, zaopatrzyłem go w jak największy zapas wody. Uścisnąwszy czule żonę i dzieci i poleciwszy je opiece Boga, puściłem się ku zachodowi. Postępowałem w tym kierunku przez półtora dnia, i zawsze widziałem przed sobą straszliwą pustynię tylko. Niepodobna mi było iść dalej; przedzierałem się przez piaski, wśród piekącego skwaru; w tych piaskach koń zapadał po kolana. Po południu dnia następnego postanowiłem się wrócić. Gdym przybył na dolinę, byłem umierający prawie z trudów, a koń mój z pragnienia.

Zastałem rodzinę swą tak, jakem ją pożegnał, ale niestety nie mogłem jej oświadczyć żadnej

dobrej wiadomości... Przynosiłem tylko zwątpienie i rozpacz.

Nazajutrz siedziałem przy ogniu na pniu drzewnym, rozmyślając nad widokami przyszłości... Byłem obojętny na wszystko, co się działo wokoło, gubiąc się w dumaniach zarówno bezowocnych, jak przykrych. Naraz poczułem rękę, która dotknęła mego ramienia, podniósłszy oczy, ujrzałem Maryę, siedzącą tuż przy mnie. Patrzyła ona w twarz moją z uśmiechem pełnym spokoju i zadowolenia. Widocznie miała mi coś powiedzieć.

— Maryo, co to znaczy? — spytałem łagodnie.

— Czy nieprawda, Robercie — rzekła, patrząc na mnie przenikliwie — że to cudowne miejsce?... Tylko spojrzysz, proszę cię, wokoło.

Oczy moje zwróciły się za gestem jej ręki i spoczęły na chwilę na uśmiechającym się obrazie, który mnie otaczał. Rzeczywiście, było tu bardzo pięknie. Ta łączka, z tą bujną trawą, z tym strumieniem, w którym promienie słońca łamały się na miliony iskier, — te kwiaty o najżywszych barwach, te piękne cienie, którymi przystrajały się masy liści, — wzgórze, okryte przepysznyemi cedrami i jodłami, — tam dalej, tam, wysoko, jakby cudna dekoracya z wierzchołkami gór, okrytymi śniegiem, — a nad tem wszystkim niezmacony lazur niebios, — wszystko to składało się na krajobraz wdzięczny, rozkoszny a zarazem i potężny.

— Prawda, Maryo, — rzekłem — to rzeczywiście cudowne miejsce.

— A więc, Robercie, — rzekła, spoglądając na mnie badawczo — dlaczegoż mielibyśmy rzucać te miejsca, dlaczego raczej nie moglibyśmy pozostać tu na dłużej?...

— Dlaczego?... — powtórzyłem bezwiednie, zdziwiony jej zapytaniem.

— Tak jest, dlaczego! — mówiła dalej. — Alboż nie poszukujemy stałego miejsca?... oto je mamy tutaj! Czyliż potrafimy wynaleźć coś lepszego?...

— Ależ droga Maryo, — rzekłem — jakim sposobem wpaść mogłaś na podobną myśl, ty, wzrosła wśród towarzystwa ludzi, pośród świata, bez którego życie twe stałoby się męczarnią!

— Przesadzasz, Robercie! Świat... cóż to jest świat i czem nas on obdarzył? Alboż nasze dzieci nie są z nami?... oto nasz świat — to towarzystwo powinno i może nam wystarczyć za wszystko. Czyliż byliśmy szczęśliwi na świecie?... Nie?... co do mnie, nie czuję się tu więcej nieszczęśliwą niż tam, pośród milionów ludzi, o których wspomniałaś. Pomyśl o tem, Robercie; zdaje mi się, że Bóg sam przyprowadził nas aż tutaj, aby nam wskazać miejsce, w którym można być szczęśliwym...

— Maryo, ty sobie chyba nie wyobrażasz trudów, jakie nas oczekują, jeśli zgodzimy się pozostać w tej dolinie

— Myślałam o tem — odrzekła — i, wierzaj mi, wcale się tych trudów nie lękam. Nie trzeba

się tu tak bardzo mozolić o środki do życia; Stwórca ubłogosławił te miejsca obfitością i bogactwem, z których możemy czerpać pełnymi rękami.

Słowa te wywarły na mnie dziwne wrażenie. Aż do tej chwili myśl osiedlenia w tej dolinie ani na chwilę nie powstała w mej głowie; mój umysł pracował bezustannie nad sposobem opuszczenia doliny jak najprędzej. Teraz zaszła we mnie zmiana... twarde i bolesne przejścia w życiu, zmiany majątkowe, ciągle zawody i straty, które w tej chwili tłumami wspomnień tłoczyły się do mej głowy, powrót pomiędzy ludzi, do tego świata, o którym tylko co mówiłem, czyniły dla mnie coraz mniej ponętnym. Coraz bardziej czułem, że przechylam się ku zamiarom Maryi... pozostać wśród pustyni — przestawało dla mnie mieć znaczenie moralnej śmierci.

Przez jakiś czas w milczeniu rozważałem wszystko, co mogło przemawiać za lub przeciw pozostaniu w dolinie. Przekonaliśmy się już dostatecznie, że może ona nas zaopatrywać w środki do życia. Mieliśmy karabiny, i, na wielkie szczęście, znaczną ilość prochu, kul i śrótu. Miałem prochu pełny swój róg myśliwski, Franciszek zaś i Henryk posiadali go prawie po funcie. Zresztą gdyby ten zapas wyczerpał się, moglibyśmy już przecież wynaleźć inne środki zdobywania sobie żywności. Dolina mogła nam jej dostarczać nietylko w zwierzynie; były tu rośliny, wydające przepyszne i po-

żyteczne owoce. Dotąd potrafilismy już z wielu korzystać a na przyszłość Marya, znająca naturę i użyteczność wielu roślin, stać się dla nas może nauczycielką, wskazującą jak należy je spożytkować w naszym położeniu. Moglismy tu mieć z łatwością żywność a woda czysta strumienia zapewniała napój, zdrowy i obfity.

Im dłużej zastanawiałem się nad tem wszystkim, tem bardziej projekt, rzucony przez mą żonę, okazywał mi się bardziej wykonalnym. Skończyło się na tem, że poczułem dla niego prawie taki sam zapał, jak moja dobra Marya.

Kudzo, Franciszek i Henryk, zwołani na radę, przyjęli przedstawienie nasze z okrzykami radości. Kudzowi wystarczyło, że będzie obok nas, — nie obchodziło go gdzie. Chłopców zaś nęciło życie pełne swobody i różnorodności. Mimo to jednak nie postanowiliśmy nic niezachwianie tego dnia. Rzecz, o którą chodziło, wymagała najgruntowniejszej i długiej rozwagi.

Podczas nocy niespodziana okoliczność zmusiła mnie do stanowczego zdecydowania się. Postanowiłem zostać w dolinie — przynajmniej do chwili, w której będziemy ją mogli bez niebezpieczeństwa porzucić.

XVI.

Tajemnicze nawodnienie.

Tego samego jeszcze wieczora wznowiłem rzecz o zamieszkaniu w dolinie — kwestyę zatem naszej przyszłości. Niełatwo mi było zgodzić się na przepędzenie tu reszty życia, bez nadziei polepszenia bytu. Bądź co bądź, przy najusilniejszej pracy, przy najrozumniejszym wyzyskiwaniu położenia, moglibyśmy zaspokoić tylko pierwsze nasze potrzeby. I tak niepodobna o tem było marzyć, gdybyśmy się nie wzięli do zagospodarowania i uprawienia całej doliny. Nasze zasoby nie zwiększałyby się... nie moglibyśmy się dorobić niczego, wzbogacić — a myśl o wzbogaceniu się prześladowała mnie zawsze! Powrócilibyśmy kiedyś do towarzystwa ludzi, jeśli to nastąpić może, tak ubogimi jak wówczas, gdyśmy je porzucali.

Marya, łatwiej zadawalająca się niż ja, zbijała moje dowodzenia, utrzymując, że szczęście nie zależy bynajmniej od posiadania bogactw, że nie posiadając ich wreszcie, a co więcej, mogąc się bez nich obejść, możemy tu żyć bardzo szczęśliwie.

Była to bardzo rozumna filozofia, była zresztą oparta na prawdzie i oczywistości, ale z drugiej strony sztuczne potrzeby, jakie w nas wytworzyło przebywanie w towarzystwie ludzi, mogły się także dopomnieć o zaspokojenie. Jakże byłoby szczęśliwie, gdybyśmy natrafili na cokolwiekbądź, coby

się stać tu mogło dla nas źródłem majątku na przyszłość! Wtedy czas, którybyśmy tu przepędzili, nie byłby straconym, a powrót do społeczeństwa możliwym i upragnionym.

— Kto wie — rzekła Marya, wysłuchawszy moich przedstawień — kto wie, czyli nie znajdziemy tu owego źródła, o którym mówisz, i to łatwiej niż na drodze do Nowego Meksyku. Czyliż mogłoby to nastąpić łatwiej tam niż tutaj?... dlaczego? Nie posiadamy nic, co by się mogło stać zawiązkiem fortuny... musielibyśmy zaczynać na nowo i to z niczego! Tutaj mamy żywność, mamy ziemię, ziemię, która stanowi zapewne naszą wyłączną własność; tam nie mielibyśmy tego nawet. Tak, tu możemy żyć, a któż zaręczy, Robercie, że się nie wzbogacimy w pustyni?...

Ostatnie wyrazy pobudziły nas do serdecznego śmiechu. Marya wyrzekła je tylko w celu rozweślenia nas, i tym sposobem wpłynąć chciała na mnie, bym się na coś stanowczo zdecydował.

Była już blisko północ; zbyt długo rozbieraliśmy kwestyę pozostania w dolinie. Księżyc wzniósł się już wysoko nad wschodnimi wzgórzami, poszliśmy więc w stronę wozu, aby się udać na spoczynek, gdy nagle oczy nasze uderzył przedmiot, który wydarł z naszych piersi okrzyk zdziwienia.

Mówiłem już, opisując dolinę, że w samym jej środku leżała łączka, pokryta bujną zielenią; przebiegał ją wówczas strumyk, teraz zaś skryła

się ona pod wodami jeziora. W tem miejscu właśnie strumyk płynął bardzo spokojnie, wstęgą wąską i ujętą w piaszczyste, płaskie brzegi. Poprzedzającej nocy nie widzieliśmy żadnej zmiany w jego kierunku, ani śladu najmniejszego przyływu. Jak zawsze szemrał on spokojnie, tocząc się wśród piasków i liści, błyszczący odbijającymi się w nim promieniami księżyca. Teraz z ogromnem zadziwieniem widzieliśmy na miejscu srebrnej jego wstęgi szerokie rozległe jezioro! Zdawało się pokrywać przestrzeń, wynoszącą czterysta lub pięćset kroków, i sięgającą do miejsca, które zajęliśmy na swoją siedzibę. To nie było złudzenie!... woda to istotnie zaległa przed nami. Księżyc, świecący ponad brzegami, oświecał ją nam wyraźnie, odbijając się w jej ruchliwej fali miliardami drgających iskier.... Nie było żadnej wątpliwości!

Nie wierząc jednak świadectwu własnych oczów, pobiegliśmy, ja, Kudzo i chłopcy, w stronę tajemniczego jeziora. W kilka minut stanęliśmy nad jego brzegiem, woda, zgromadzona tu jakby pod wpływem czarów, leżała przed nami na szerokiej przestrzeni.

W pierwszej chwili powitaliśmy to niespodziewane zjawisko uczuciem zdziwienia, ale niezadługo ustąpiło ono miejsca niespokojności. Woda przybierała coraz bardziej, rosła z każdą minutą. Dosięgała już naszych stóp, tocząc się naprzód z szybkością, przypominającą przyływ morza.

Jaka mogła być przyczyna tej powodzi?... bez-

wątpienia przyczyną tą był przyływ strumyka, szybki i gwałtowny. Skąd jednakże mógł pochodzić ten przyływ?... Deszczu nie było od wielu już dni, nie pamiętaliśmy go prawie; upałów też nadzwyczajnych nie było, więc niezwykle topnienie śniegu na górach było niepodobieństwem. Cóż więc sprowadziło te fale wody, rozległej, olbrzymiejącej z każdą chwilą?...

Staliśmy przez jakiś czas w milczeniu, ale serca nasze biły silnie...

Byliśmy pewni, że jakieś niespodziane a straszliwe wstrząśnienie przepaści podniosło część wklęsłą ziemi i tym sposobem strumień, znalazłszy odpowiednią szczelinę, wylał na równinę swe wody. Jeżeli takie przypuszczenie było trafne, dolina mogła być zalana w przeciągu kilku godzin. Woda w takim razie pokryłaby mogła nie tylko ziemię, na której jeszcze teraz stoimy, ale nawet wierzchołki drzew, które imponująco wznoszą się nad naszymi głowami!

Możecie sobie wyobrazić ile trwogi nam sprawił podobny domysł. Biegliśmy na pole gotowi rzucić natychmiast dolinę, jeśli to jeszcze okaże się możliwym. Kudźo pochwyił konia, Marya zbudziła dzieci, aby oswobodzić wnętrze wozu, do którego chłopcy znosili niezbędne dla nas przedmioty.

Po chwili jednak poznaliśmy całą trudność, całe niepodobieństwo wydostania się z doliny. Teraz ta straszna ostateczność jasno przedstawiła



Po chwili jednak spostrzegliśmy za nimi rzecz straszną... gromadę wilków
we wściekłej pogoni.

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

się oczom naszym. Droga, którąśmy przybyli na to miejsce, jedyna możliwa do przebycia, teraz leżała pod wodą, która rosła nad nią z każdą chwilą bardziej. Innej drogi nie było!... Ażeby szukać i znaleźć inne wyjście przez las, gęsty i nieprzebyty prawie, musielibyśmy poświęcić z kilka dni... Niepodobna też było przechodzić wpoprzek strumienia, aby się wydostać na pole. Wody jego wznosiły się coraz wyżej, co uniemożliwiało to przejście. Zresztą, wnosząc z tego co działo się naokoło nas, powinniśmy byli przypuszczać, że cała niższa część doliny ukryła się pod wodą.

Nie zdołam wam opisać rozpaczliwego stanu, w jakim znajdowaliśmy się, gdy wszystkie nasze zamiary i usiłowania nie prowadziły do żadnego pomyślnego skutku. Szliśmy w stronę pola, z którego chcieliśmy się jak najprędzej wydostać w góry, aby uniknąć powodzi. Każdy niósł jakiś ciężar... Niestety... wszystkie próby były bezowocne!... Rzuciliśmy wszystko na ziemię, widząc z rozpaczą, że nie tylko przedmiotów naszej własności, ale nawet własnego życia uratować nie zdołamy. Woda przyplýwała bezustannie — jezioro zwiększało się i rosło w oczach.

Wilki wyły, wystraszone powodzią, wypędzone ze swych legowisk; ptaki, które już spały w gniazdach, teraz świergocąc niespokojnie, wychylały się z nich i trzepotały wśród gałęzi; psy nasze skomliły żałośnie, biegając ponad wodą; przy blasku księżyca widzieliśmy jelenie, daniele i inne dzikie

zwierzęta, uciekające śród drzew wystraszone, przełękłe... Boże wielki!... krew ścinała się w naszych żyłach z trwogi — czuliśmy, że musimy zgiąć w tej tajemniczej powodzi!

Co czynić?... wdrapać się na drzewo... ależ toby nas nie wybawiło od pewnej zguby. Byłoby to tylko przedłużeniem męczarni... Naraz niebo natchnęło mnie myślą, która nas ocalić mogła.

— Tratwy!... tratwy!... — zawołałem — a będziemy wybawieni!

Natychmiast wzięliśmy się do pracy. Kudzo ujął siekiere, Marya pobiegła do wozu, aby stamtąd przynieść sznury, ja zaś uchwyciłem skórę jelenia, aby ją pokrajać w długie i wąskie pasy.

Nieopodal od miejsca, na którymśmy się znajdowali, leżało mnóstwo powalonych pni drzewnych, prawie suchych. Pomiedzy nimi poznałem drzewo *liriodendronu*, czyli tulipanowe, z którego Indianie robią swoje łódki, wyciosane zazwyczaj z jednego pnia, co nie jest rzadkiem, bo drzewa te dochodzą do nadzwyczajnej grubości. Są one nadzwyczaj lekkie — jedna stopa kubiczna takiego drzewa waży zaledwie dwadzieścia parę funtów. Rozkazałem też Kudzowi, aby naciał z tych powalonych pni odpowiednią liczbę bali jednej długości. Kudzo, który był nieporównanym cieślą, po pewnym upływie czasu dostarczył żadaną ilość bali. Pokładaliśmy je obok siebie i zapomocą sznurów i przyrzędzonych naprędce rzemieni, połączyliśmy je ze sobą. Tratwa była wkrótce gotowa.

Pokładliśmy na niej nasze sprzęty — skrzynię z suszonym mięsem naprzód, a następnie pościel i to wszystko bez czego niepodobna się nam było obejść. Co do wody, której potrzebowaliśmy do tej nowej podróży byliśmy pewni, że jej nam nie zabraknie.

Na zrobienie tratwy potrzebowaliśmy około dwóch godzin czasu. Przy tej pracy tak byliśmy zajęci, że ani razu nie spojrzeliśmy w stronę przyływu. Skorośmy ją skończyli, zwróciłem się do wody — patrzyłem przez jakiś czas i spostrzegłem że przyływ ustał. Natychmiast podzieliłem tę dobrą wieść z towarzyszami, którzy, słysząc ją, nabrali otuchy i poczuli sprawiedliwą radość. Przez pół godziny staliśmy nad brzegiem wody, uważając baczenie najmniejszy jej ruch. Wody się zatrzymały — fale były milczące, martwe. Byłem pewny, że przyływ dobiegł do najwyższego stopnia i że się stanowczo wstrzymał.

— To nieszczęście, panie, — rzekł Kudzo, wracając na pole — to wielkie nieszczęście!...

— A to dlaczego?...

— A cóż, zrobiliśmy tak piękną tratwę na próżno!

— Ach! Kudzo, — rzekła na to moja żona — czyliż należy żałować trudów poniesionych dla ocalenia życia dlatego, że niebezpieczeństwo istnieć przestało!... Pracowaliśmy na próżno, to prawda, lecz wypełniliśmy swą powinność. Gdybyśmy byli z założonemi rękami oczekiwali zbawie-

nia od Opatrzności, miałaby ona prawo opuścić nas i brzydzić się nami. Tylko próżniak i głupiec w podobnych razach ubolewa, że napróżno pracował... rozsądny i przewidujący, a energiczny człowiek ujrzy w wybawieniu swem nagrodę za to, że się nie lenił walczyć z niebezpieczeństwem.

Było już bardzo późno — a raczej było już bardzo wczesnie, bo ranek zwiastował na niebie swoje przybycie różowem światłem wschodu. Marya i dzieci udali się na spoczynek. Kudzo zaś i ja postanowiliśmy zostać na straży i pilnować, czy wody, które się nagle zatrzymały, z równą nagłością nie wzrosną i nie zaleją doliny.

XVII.

Bobry i wolweren.

Skoro dzień nastął, powódź tajemnicza była jeszcze w całej swej pełni. Mówię tajemnicza, dlatego, żeśmy się nie mogli domyśleć jej powodu. Aż do tej chwili byliśmy pewni, że sprawiło ją nagłe wzniesienie się przepaści. Zaraz po wschodzie słońca postanowiłem się puścić na zwiady, ażeby wynaleźć jakąś drogę, potrzebną w razie niebezpieczeństwa i stanowczo rozjaśnić wątpliwość. To dziwne zjawisko powodzi niemało nas niepokoiło, a przede wszystkim teraz, kiedy lada chwila mogła nas wpędzić w niebezpieczeństwo bez ratunku.

Udałem się sam, pozostawiając dzieci i żonę na łasce olbrzymiej lancy Kudża i karabinów moich chłopców. Wziąłem ze sobą strzelbę, małą siekierkę i puściłem się w stronę lasu.

Przedzierałem się przez jego zarośla prowadzony przez promienie słońca, które się tu wdzierały między liście, i postępując w kierunku południowo-wschodnim. Miałem zamiar ciągle iść brzegiem strumienia i dojść aż do miejsca z którego bierze on początek. Po ujściu około dwóch kilometrów drogi, dotarłem wreszcie do poszukiwanego brzegu, ale jakież było moje zdziwienie, gdy rzuciłem okiem na jego wody!... Koryto ledwie na samym dnie je toczyło, mętne, zwolna płynące, unoszące ze sobą liście, jakby świeżo z drzewa zerwane.

Zaciekawiony niespodzianą postacią strumienia, który w tem miejscu zawsze wydawał się szerokim, rozległym i obfitym, wróciłem się pod górę, aby zdadać tego przyczynę. Domyślałem się, że woda strumienia wstrzymana została w swoim biegu... ale co ją mogło wstrzymać?... chyba jakiś naturalny przypadek, może wzniesienie się ziemi, a może obalenie drzew, które zawały jego koryto. To ostatnie jednak przypuszczenie po chwili namysłu wydało mi się nieprawdopodobnem. Zwalone drzewo nie mogło pniem swym zająć całego koryta strumienia, którego głębokość była kilka razy większa, niż grubość najpotężniejszego pnia drzewnego. Poczynalem przypuszczać, że woda

wstrzymaną została ludzkimi rękami... zacząłem nawet szukać śladów stopy ludzkiej. Nie mogłem ich znaleźć, ale zato znalazłem ślady stóp zwierzęcych bardzo liczne.

Postępowałem naprzód jak można najostrożniej, spodziewając się lada chwila spotkać ludzi, najprawdopodobniej Indyan, a zatem nieprzyjaciół. Doszedłem wreszcie do miejsca, w którym koryto strumienia się zakreca w innym kierunku i tam dostrzegłem, że woda, zebrawszy się w ogromnej wysokości, wstrzymana nagle jakby jakąś tamą, płynie dalej nie tędy, którądy płynęła dotąd, ale innem korytem, wśród rozpadliny, którą właśnie dawniej wprowadziliśmy nasz wóz na dolinę. Ten zwrot wody w kierunku zadziwił mnie do najwyższego stopnia. Postanowiłem iść dalej, aby zbadać jego przyczynę i w tym celu wdrapałem się na wysoki brzeg strumienia, po którym usiłowałem przedostać się na drugą jego stronę.

Gdym już był na pewnej wysokości, obejrzałem się poza siebie, aby ogarnąć okiem fale wody, nad którymi stałem, gdy dziwny a niespodziany widok uderzył moje oczy.

Jak poprzednio przypuszczałem woda wstrzymana była w miejscu, w którym koryto strumienia rozszczepiało się na dwoje. Pokazało się teraz, że wstrzymanie to nie było dziełem przypadku, ale pracy dokonanej z celem. Ogromny pień drzewa leżał wpoprzek koryta. Część jego niższa nie była

zupełnie oddzielona od podstawy, ale trzymała się jej tysiącem włókien, łączących jedną z drugą — nie była ona odcięta, ale odgryziona. Ze strony przeciwnej, przy koronie drzewa, gałęzie jego utwierdzone do ziemi zapomocą naniesionych kamieni i mułu, które go doskonale przymocowywały. Pomiedzy temi gałęziami widać było mnóstwo tyczek, kijów i łodyg powtykanych i połączonych ze sobą mułem w jedną całość. Stanowiło to wszystko niby ścianę, grubszą i napelnioną kamieniami u dołu, węższą zaś u góry, trochę pochyłą ku stronie wody. Ze strony przeciwnej ściana ta była prawie prostopadłą do powierzchni wody. Cały jej wierzchołek pokryty był mułem — po bokach zaś tej tamy znajdowały się otwory, pozostawione umyślnie, które miały służyć jako śluzy, i któremi woda płynęła zwolna i łagodnie.

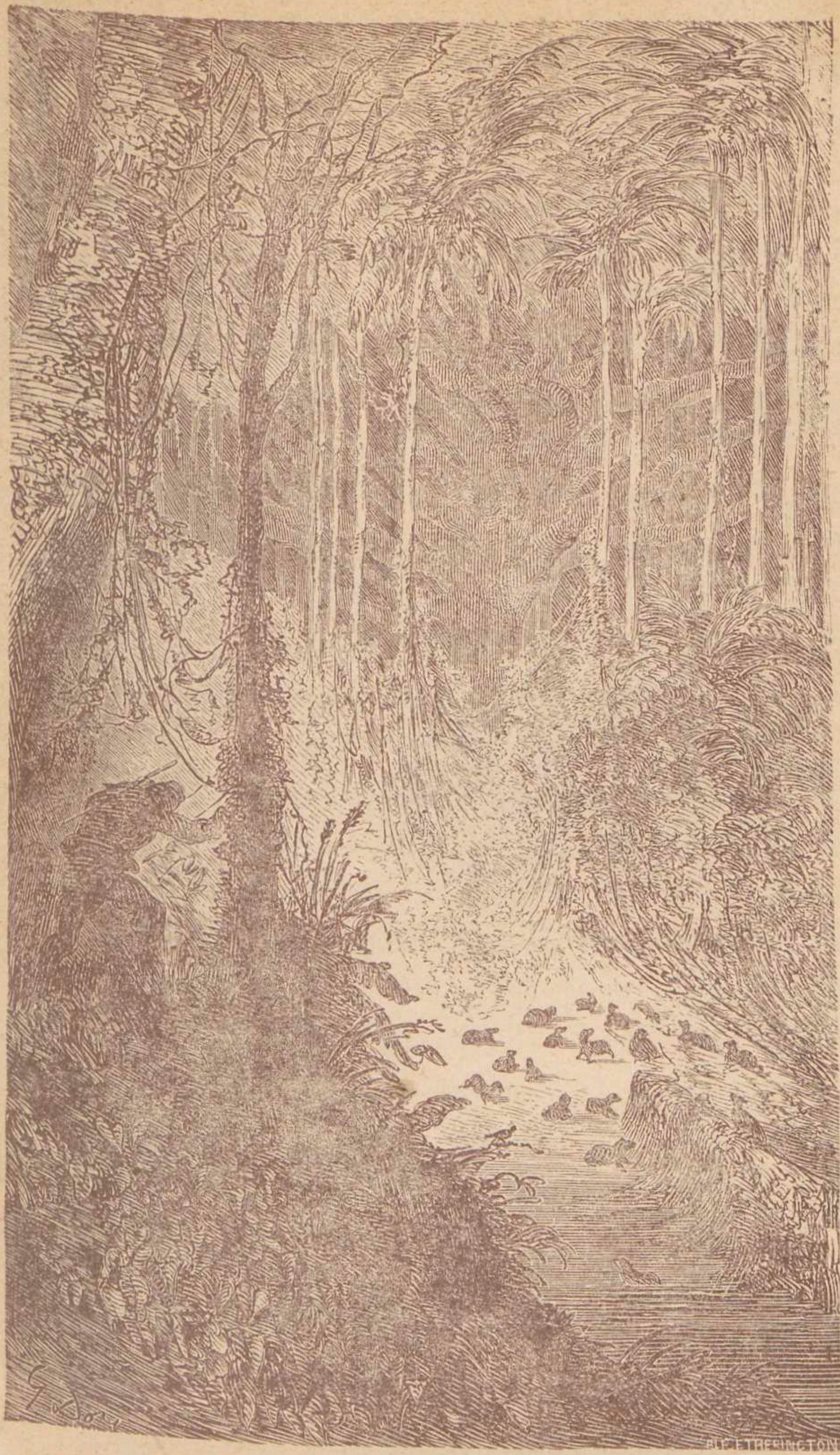
Możnaby sądzić, że wszystko to, co opisałem w tej chwili, było dziełem ręki ludzkiej. Co do budowniczych, to nie można się było jednakże mylić — miałem ich przed oczami — zajętych w najlepsze pracą. Było ich tam ze stu, kręcących się po ziemi i po ścianach zbudowanej przez siebie tamy. Barwy brunatnej, albo ciemno-kasztanowatej, byłyby one podobne do olbrzymich szczurów, gdyby nie ich wielkie ogony, płaskie i przedłużone. Miały one grzbiet wypukły i ciało kształtu grubego i okrągłego, jak wszystkie zwierzęta należące do gatunku szczurów. Były nadto

zaopatrzone w zęby, które mogły przecinać; zęby te charakteryzują gatunek *gryzoniami* zwany, to jest gatunek stworzeń, które tną i przecinają swymi zębami.

Widziałem te szczególne zęby, które im służą do użytku w każdej chwili; są one wydatne, osadzone po dwa w każdej szczęce, silne, szerokie i ostre jak nożyce. Uszy ich były krótkie, do połowy ukryte w futrze. Ich sierść długa i miękka pokrywała gładko całe ich ciało. Z obu stron nosa miały kępki włosów, które jak u kota stanowiły wąsy. Oczy małe, drobne i wzniesione ukośnie, jak u wydry. Przednie ich łapki daleko krótsze, niż tylne, jak tamte były uzbrojone pazurami, ale łapy tylne duże i szerokie, miały palce zupełnie połączone błoną. Ich to ślady niezawodnie widziałem na drodze, którą szedłem w zaroślach, szukając strumienia. Najszczególniejszą częścią ciała tych zwierząt był ogon niepokryty sierścią, ciemnego koloru, który zato zdawał się obrośnięty skórą, na jaszczur wyprawną. Miał może ze stopę długości, kilka cali szerokości i grubości, i podobny był z kształtu do rączki od wolanta. Większe niż wydry, ale nie tak wydłużone, zwierzęta te były zato grubsze i więcej ociężałe.

Jakkolwiek widziałem po raz pierwszy w życiu te stworzenia, domyśliłem się zaraz, że muszą to być bobry.

W tej chwili tajemnica mi się wyjaśniła. Gromada bobrów przybyła w dolinę, aby się tu osie-



Wiałem ich przed oczami — zajętych w najlepsze pracy.

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

dlić i pracę swą rozpoczęła od zbudowania tamy, która sprawiła gwałtowny wylew.

Po odkryciu powodu nawodnienia, pozostałem na miejscu przez pewien czas, aby się przypatrzeć tym zajmującym zwierzętom. Tama zdawała się mi już skończoną; widocznem było, że w tej chwili zwierzątka te odpoczywały po pracy, którą uskuteczniły przez noc, jak to jest w ich zwyczaju. W okolicach, w których na nie polują, niezmiernie trudno jest spostrzedz bobra we dnie; tutaj jednak bobry, których nigdy nie niepokoiła ręka ludzka, nie obawiały się niczego. Znać też było, że tylko co wykończyły swoją pracę, którą w części głównej dokonały w ciągu nocy. Gdy tylko zwały drzewo w koryto strumienia i uczyniły je tamą, bez wykończenia pojedynczych części, woda natychmiast spłynęła na płaską powierzchnię doliny i stał się wylew, który nas tak przeraził.

Niektóre bobry spoczywały na wierzchu swej budowy, gryząc liście i łodygi wystające z boków tamy; inne kąpały się, igrając wesoło we wodzie; inne wreszcie, przykucnąwszy na pniach drzewnych na brzegu tamy, uderzały kiedy niekiedy ogonem w wodę, jak praczka uderza bijanką w bieliznę, którą pierze.

Było to widowisko zarówno ciekawe, jak komiczne. Przypatrywałem mu się długo, wreszcie postanowiłem wrócić skąd przyszedłem cicho i ostrożnie, aby nie płoszyć zwierzątek — gdy naraż oczy moje uderzył inny przedmiot, który stał

się powodem niespokojności bobrów. Jeden z nich, który siedział na pniu zwałonego drzewa, niby placówka, zeskoczył na ziemię i ogonem swoim uderzył po trzykroć w ziemię. Był to zapewne znak ostrzegający — bo natychmiast wszystkie zwierzęta rzuciły się główkami w wodę i nurkując w niej znikły. Część gromadki, która kręciła się po brzegu z niespokojnością rozglądając się wokoło, przybiegła do wody i rzuciła się w nią także. Każde z nich jednak przed zanurzeniem się uderzyło ogonem w wodę.

Szukając przyczyny tego popłochu, spostrzegłem, że w stronie, z której przybiegło pierwsze zwierzątko z ostrzeżeniem o niebezpieczeństwie, znajduje się jakieś inne stworzenie szczególnych kształtów. Szło ono zwolna i bez sprawiania najmniejszego szelestu, czołgając się raczej wśród drzew i zmierzając do brzegu. Po chwili skręciło ono ku tamie, a wówczas ukazało mi się całkowicie. Przybywszy na środek tamy, zwierzę to przysiadło zwolna, wyciągnęło się i ułożyło tak, aby nie zostać spostrzeżonym przez bobry.

Mogłem mu się przyjrzeć wygodnie. Kształty jego były nieforemne: większość przewyższała bobry, do których zwierzę to zdawało się podobnym, chociaż po chwili poznałem uderzające między nimi różnice. Barwa pokrycia tego stworzenia nie była wszędzie jednostajna; miało ono grzbiet i brzuch prawie czarne, dwie jaśniejsze pręgi na bokach, połączone na grzbiecie, nogi i nos czarne,

a natomiast piersi i podgardle zupełnie białe. Miało też białe okrażenia koło oczów małych i dzikich; miało wąsy tak jak bobry, ale ogon miało krótki i sierścią pokryty. Futro jego było długie i szorstkie, nogi silne i muskularne, a tak krótkie, że podczas chodu zwierzę zdawało się czolgać. Stopy jego były zato długie i uzbrojone potężnymi, białymi pazurami; chód miał zdradzający dzikość i drapieżność. Był to *wolweryn*, najzaciętszy wróg i tępicieł bobrów.

Zwierzę to, czając się i kryjąc, aby nie było spostrzeżone, z łapami wysuniętymi naprzód i oczami wlepionymi w wodę, oczekiwało zdobyczy.

Jakkolwiek bobry należą do zwierząt ziemnowodnych i przepędzają większą część swego życia pod wodą, nie mogą jednakże pozostawać pod nią długo, bez wydostania się na jej powierzchnię i zaczerpnięcia powietrza. To też spostrzegłem niezadługo ich główki, wychodzące z wody w najrozmaitszych miejscach jeziora. Niektóre z nich powychodziły nawet na małe wysepki i karpy, wystające nad wodą, w przekonaniu, że nieprzyjaciel, nietęgi pływak, napastować ich tu nie będzie. Żadne jednak nie odważyło się zbliżyć do tamy, obawiając się grożącego napadu.

Ze swej strony *wolweryn* zdawał się nie uważać na nie. Nie spoglądał nawet na wodę. Oglądał się tylko naokoło, jakby miał zamiar dostać się inną drogą do swej zdobyczy, której wprost wywalczyć nie mógł. Po chwili poruszył się i ska-

cząc zwolna po tamie, wrócił się, idąc nad brzegiem jeziora, tam skąd przyszedł. Doszedłszy do pewnej odległości, skręcił w zarośla i znikł między krzakami.

Byłem bardzo ciekawy, czy bobry ośmielą się zbliżyć do grobli i dlatego pozostałem jeszcze na miejscu. Po pięciu minutach oczekiwania spostrzegłem, że zwolna i ostrożnie przybliżają się w stronę, w której się znajduję. Podczas gdy się przypatrywałem ich pływaniu i komicznym podskokom, uszu moich doleciał szelest, a kilka liści spadło z góry na powierzchnię grobli. Spojrzałem w kierunku, w którym leciały i spostrzegłem wolwera, który szybko się zbliżał. Gdy już doszedł do końca tamy, pazury jego uchwyciły pień jednego ze stojących tam drzew, a zwierzę drapało się po nim w górę, kierując się po jego gałęziach ku stronie jeziora. Jedna z gałęzi tego drzewa zwieszała się prostopadle nad tamą; uchwycił się jej wolwera i wisząc tak w powietrzu, spoglądał na dół.

Bobry, ufając zapewne, że ich nieprzyjaciel jest już daleko, pozbywały się obawy i coraz bardziej zbliżały się do grobli. Za chwilę ich szerokie ogony uderzały o wodę tuż pod gałęzią, na której zawieszony wolwera oczekiwał tylko stosownej chwili, aby się rzucić na swą zdobycz. Oczy jego błyszczały dziko — uszy wyteżone sterczały — łapy uzbrojone zakrzywionymi pazurami, były już gotowe i wysunięte, aby pochwycić łup... Przy-

szła kolej na mnie. Przyłożyłem do ramienia broń i zmierzyłem w piersi zwierzęcia. Na huk wystrzału bobry znikły pod wodą, a wolwerek spadł na miejsce, nad którym wisiał. Był raniony. Pobieglem ku niemu, aby uderzyć go kolbą swej broni; pochwycił ją silnymi zębami i część jej zdruzgotał na miazgę; wówczas zadałem mu kilka uderzeń kamieniem, które on odpierał pazurami z nieporównaną zajadłością. Pochwyciłem siekiere i dobiłem go. Była to straszliwa poczwara, podobna do owego karkazu, które nam zabiło naszego wołu, ale o wiele mniejsza. Trupa tego dzikiego stworzenia zostawiłem na miejscu jego śmierci, bo byłby nieużytecznym tylko ciężarem. Co więcej, wydawał on tak szkaradny odór, że odsunąłem się od niego jak najprędzej. Zostawiłem go tam, gdzie leżał, sam zaś bez zwłoki udałem się w drogę, aby powrócić na pole.

XVIII.

Dom z bali drzewnych.

Nie potrzebuję wam zapewne opisywać radości i zajęcia żony i dzieci, z jakim słuchali opowiadania mego o tem, com widział i o zdarzeniu z wolwerek. Kwestya pozostania i osiedlenia się w dolinie, stanowczo rozwiązana została. Dolina nietylko mogła nas wyżywić, ale nawet wzbogacić... Polowanie na bobry mogło nam zape-

wnić stokroć większe korzyści, niż praca w mi-
nach, którą projektował mi Mac-Knight. Przepo-
wiednia Maryi co do wzbogacenia się nabierała
pozorów prawdopodobieństwa. Futro każdego bo-
bra warte jest mniej więcej czterdzieści franków.
Widziałem ich na jeziorze ze sto. Nie było to
wiele, ale ponieważ zwierzęta te mnożą się szybko,
mając za każdym razem czworo lub pięcioro ma-
łych, przypuszczać zatem można, że w ciągu pe-
wnego czasu rozmnożą się na tysiące. Potrzeba
je tylko ochraniać, strzedz, dostarczać im poży-
wienia, bronić od napaści wolwrenów, których
zapewne mnóstwo znajduje się w dolinie. W taki
sposób liczba ich zwiększy się szybko, co nam
da możliwość zabijania tylko starych, a konserwo-
wania najtroskliwiej ich potomstwa. Po kilku la-
tach takiego życia, moglibyśmy wrócić do świata
ucywilizowanego, przynosząc ze sobą wielkie
zbiory bobrowych futer, które spieniężone, dałyby
nam znaczny majątek.

Zastanowiwszy się nad widokami, jakieśmy
mieli na przyszłość, pozostając w tych miejscach,
postanowiłem nieodwołalnie się tu osiedlić. Cho-
ciażbym posiadał parę tęgich wołów, jużbym się
teraz stąd nie oddalił. To, co Marya wypowie-
działa w żarcie o naszym wzbogaceniu się w pu-
styni, zaczynało stawać się prawdopodobnem. To
też wszyscy jednogłośnie zgodziliśmy się na to,
że musimy tu pozostać.

Gdy już stanęło na tem, należało pomyśleć

o zbudowaniu sobie odpowiedniego mieszkania. Nie mogliśmy marzyć o czemś więcej, jak tylko o domu z bali drzewnych, który zresztą Kudzo mógł wystawić z największą łatwością. Podczas naszego pobytu w Wirginii postawił on kilka domków w mojej osadzie, a nikt mu w tej robocie dorównać nie mógł. Nikt lepiej od niego nie umiał ociosać bali, przypasować ich i umieścić jak należy; nie miał sobie równego w łupaniu klepek i gontów, w połączeniu wszystkich części budowy i w ostatecznem urządzeniu jej na mieszkanie. Umiał on nadać ścianom niezwykłą trwałość i moc, umiał także z gliny stawiać piece i kominy, a nadto umieścić drzwi... Patrząc na poprzednie jego roboty nabrałem przekonania, że niema pod słońcem budowniczego, któryby lepiej niż on, potrafił wystawić dom z bali drzewnych.

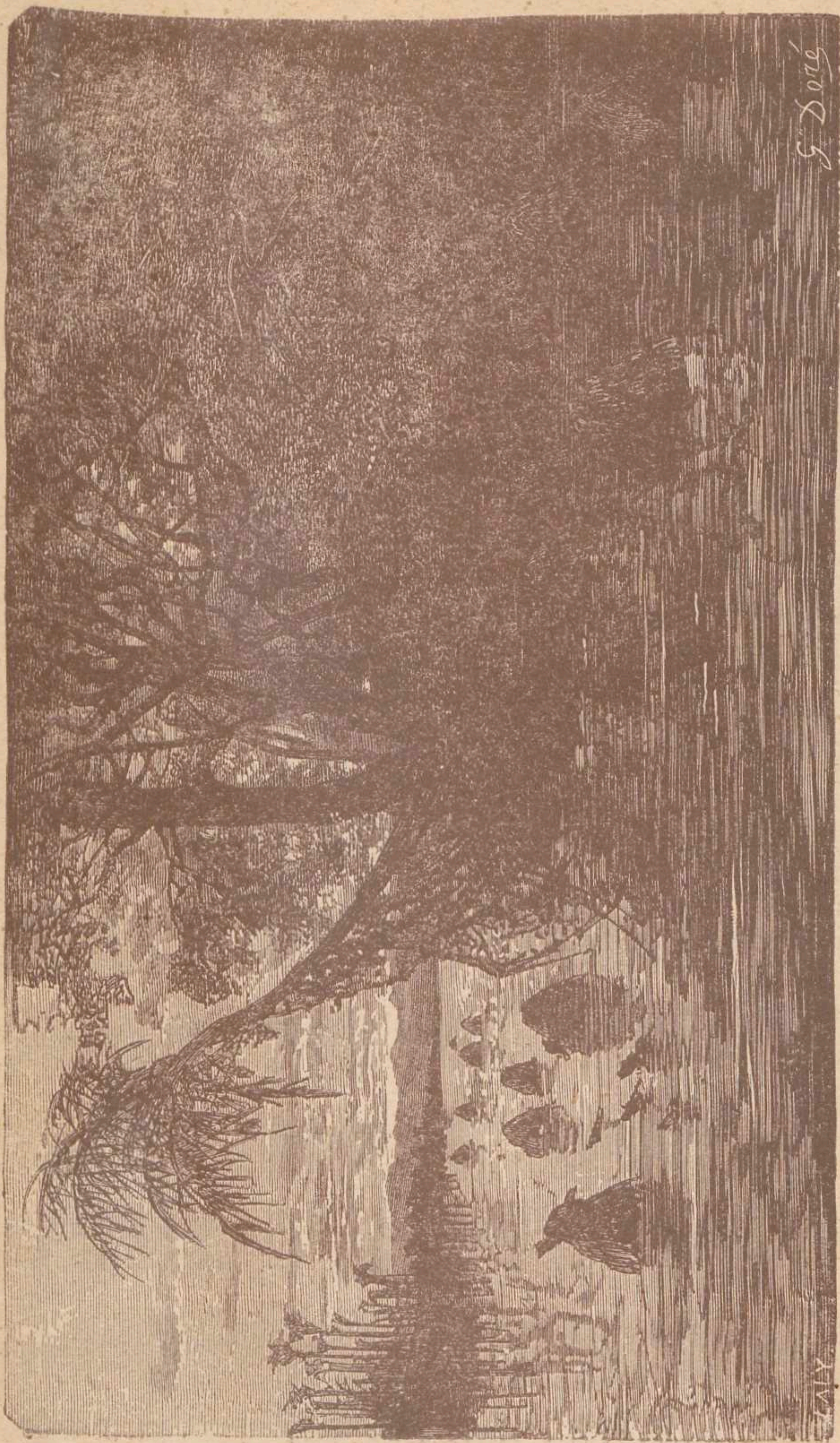
Najprzydatniejszym dla nas gatunkiem drzewa były tu wysmukłe *liriodendrony*, czyli drzewa tulipanowe; pień ich po większej części długim był na pięćdziesiąt stóp i prosty, a nie skrzywiony przez żadną gałąź z boku wyrastającą. Siekiera Kudza przez dwa dni pracowała nad ścinaniem tych długich, prostych pni, a skrzywienie, dolatujące nas od strony lasu, dawało nam znać, że lada chwila pień z hałasem runie na ziemię. Franciszek, Henryk i ja przy pomocy Pompa, naszego poczciwego konia, pracowaliśmy nad zwożeniem bali na miejsce wybrane pod budowę domu.

Trzeciego dnia Kudzo zabrał się do ociosania drzewa, a nazajutrz ułożyliśmy w czworobok podwaliny. Piątego dnia zabraliśmy się do umieszczenia belek i bali.

W ciągu szóstego dnia Kudzo pracował nad przyrządzeniem klepek na pokrycie dachu. W tym celu ściał on pień upatrzonego dębu jeszcze dawniej, skorośmy tylko rozpoczęli pracę nad zbudowaniem domu. Teraz drzewo to już było dostatecznie suche i dawało się z łatwością łupać na drzazgi. Kudzo dzielnie pracował siekierą... gdy słońce zachodziło miał już obok siebie stos desek tak duży, że go zaledwie objąć mogło wnętrze naszego wozu. Zdawało się, że ilość to dostateczna do pokrycia dachu. Co do mnie, zajmowałem się tego dnia przygotowaniem gliny na komin.

Siódmego dnia nie pracowaliśmy wcale, ponieważ dzień ten był niedzielą. Postanowiliśmy jeszcze poprzednio uroczyście obchodzić niedzielę. Oczy ludzkie wprawdzie nie śledziły nas, nikt nie mógł rachować się z naszym postępowaniem, ale wiedzieliśmy dobrze, że nad nami istnieje oko Boże, widzące wszystko i wszędzie, nawet w tym samotnym zakątku ziemi.

Rano podnieśliśmy się ze skromnych posłań o zwykłym czasie i po śniadaniu czytaliśmy Pismo święte. Ofiarowaliśmy Bogu to, co w tej chwili jedyne mogliśmy ofiarować: oto gorącą i pełną uczucia modlitwę. Po cichem tem nabożeństwie



G. Dore

Domki te wystawały nad powierzchnią wody.

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

wśród gór i skał, niby pośród świątyni, której dachem wspaniałym było samo niebo, postanowiliśmy użyć przechadzki. Marya zajęta pracami przez cały tydzień, potrzebowała wypoczynku, dzieci zaś święta, któreby im dało naszą obecność, zupełnie im poświęconą.

Udaliśmy się w stronę jeziora. Bobry już powznosiły swoje domki... uprzedziły nas w tem! Domki te wystawały nad powierzchnię wody, jedne bliżej brzegu, inne zaś na małych wysepkach. Mogliśmy podejść bardzo blisko do jednej takiej budki; rozpatrywaliśmy ją z niezmierną ciekawością. Wznosiła się ona zaledwie o kilka kroków od brzegu, ale w miejscu, w którym woda dostawała aż do jej wejścia. Miała kształt ostrokągowy, koniczny, co ją czyniło na pierwszy rzut oka podobną do ula pszczolego. Była zbudowana z kamieni, gałęzi, liści i gliny. Część jej znajdowała się pod wodą, ale chociaż niepodobna było zajrzeć do jej wnętrza, mogliśmy jednak odgadnąć z budowy zewnętrznej, że znajduje się w niej piętro wyższe nad wodą wystające. Wejście było na pół w wodzie, może dlatego, że bóbr, wchodząc do swego domku, ma zwyczaj pluskać się w niej, co widocznie sprawia mu wielką przyjemność. Od strony brzegu nie widzieliśmy żadnego wejścia, któregośmy umyślnie szukali, przypomniawszy sobie to, co mówiono nam niegdyś, że wejście to z tej strony zwykle się znajduje. Byłoby to dowodem nieroztropności ze strony

bobrów, gdyby tak miało być w istocie. Ich zacięty wróg wolweryn mógłby wówczas z łatwością wdzierać się do wnętrza domków, nie mogąc tego uczynić, gdy wejście znajduje się od strony wody. Wszystkie budki pokryte były mułem, który ubity ogonami zwierzątek i udeptany ich nóżkami, stał się jedną masą, jakby kielnią najrzęczniejszą wygładzoną. Zdaje się, że i wewnątrz domków było w taki sam sposób otynkowane, co zabezpieczało je od zimna i czyniło ich budowę niezmiernie silną.

Niektóre z tych domków nie tworzyły regularnego ostrokągu; były więc owalne. Pomiedzy nimi znajdowały się dwa, umieszczone jakoby pod jednym dachem, zbudowane jakoby w celu silniejszego oparcia się wpływowi szkodliwym wody i wykonane ze szczególniejszą starannością. Były one bardziej obszerne. Mnóstwo innych wznosiło się nad wodą prawie na wysokość dorosłego człowieka, z dość szerokimi dachami, na których bobry lubią spoczywać po trudach lub wygrzewać się na słońcu. Każdy domek był zbudowany przez swych mieszkańców i był przeznaczony dla jednej ich pary, samca i samicy. Czasami rodzina zamieszkująca taki domek składała się z czterech lub pięciu członków. W tej chwili te, które zdołały w budowie swego siedliska uprzedzić towarzyszy pracy, zajmowały się starannym gromadzeniem zapasów na zimę. Przynosiły do swoich domków liście i miększe gałązki drzew i krze-

wów takich jak wierzba, brzoza lub morwa. Można im się było przypatrzeć, płynącym ze swymi ciężarami na wodzie jeziora, które wskutek tego zdawało się niezmiernie ożywione i ruchliwe.

Póra roku obecnie była już dosyć późną i dziwiło mnie, że bobry zbudowały w niej swoją tamę. Czynią one to zazwyczaj na wiosnę, a skoro postąpiły wbrew zwyczajowi, musiało je coś do tego zmusić. Domyślałem się, że liczna ich osada, niepokojona przez Indyan i łowców, zmuszona była porzucić dawne miejsce swojego zamieszkania i wynaleźć inne. Wskutek tego zapewne tu przybyły i to tłumaczyło, dlaczego, pomimo jesieni, przedsięwzięły budowę tamy. Przypuszczałem, że zwierzęta te przybyły od wschodu, kierując się ciągle za biegiem łożyska rzeki, płynącej ku tamtej właśnie stronie.

Bezwątpienia przybyły one tutaj na kilka dni przed mojem odkryciem, czego dowodziła budowa tamy, na którą należało przygotować odpowiednie materiały. Niektóre z drzew, do tej budowy użytych, miały około stopy średnicy, można sobie przeto wyobrazić ciężką pracę zwierzątek, które jeszcze musiały dźwigać kamienie, nieraz do dwudziestu funtów wagi mające. Pracowały one zapewne tem ciężej im spieszniej, bo jesień groziła im smutnymi następstwami opóźnienia.

XIX.

Roztropne wiewiórki.

Rozmawialiśmy właśnie o ciekawych obyczajach bobrów, przypatrując się z zajęciem ich ruchom, gdy niespodziewany wypadek, jeszcze bardziej zajmujący i ciekawy, dowiódł nam, że bobry nie są jedynymi stworzeniami, które natura obdarzyła wyjątkową roztropnością.

Prawie na środku jeziora wznosiła się kępa drzew, których pnie pogrążone były w wodzie na dwie lub trzy stopy głębokości. Przed utworzeniem się jeziora, drzewa te stały nad brzegiem strumienia, teraz zaś otoczone były ze wszystkich stron wodą i tworzyły tym sposobem odosobnioną wysepkę. Były one przeznaczone na zatracenie, należały bowiem do rodzaju topoli, która umiera, skoro woda pokryje jej korzenie.

Na wierzchołkach tych drzew spostrześliśmy mnóstwo zwierzątek, skaczących żywo i niespokojnie z gałęzi na gałąź, z drzewa na drzewo. Były to wiewiórki. Zdawały się być ofiarami jakiegoś niespodziewanego wydarzenia, które znowu spowodowało między nimi niezwykłą ruchliwość, zdradzającą wielkie zaniepokojenie. Przebiegały z drzewa na drzewo, a nawet drapały się na dół tak nisko, jak tylko pozwalała na to woda. Następnie, wpatrując się przed siebie, na powierzchnię wody i jej okolice, zdawały się przygotowane

na to, aby wskoczyć w fale jeziora; po chwili biegły znowu na wierzchołek drzewa. Było ich może z tuzin, ale niezwykła gwałtowność ich ruchu, ciągła bieranina i skoki, powodowały, iż wydawało się jakby ich tam było ze dwa razy więcej. Gałęzie i liście drzew były w ciągłym ruchu, jakby cała chmara ptaków latała i gnieździła się wśród nich.

Zauważyliśmy to wszystko, to prawda, ale nie widzieliśmy w tem nic nadzwyczajnego. Po chwili jednak niespokojność wiewiórek doskonale się nam wyjaśniła. Ich ruchy gwałtowne, ich ciągłe zbieganie na dół i drapanie się do góry, żądały w oczach naszych wytłumaczenia. Domyśliśmy się, że biedne zwierzątka zostały uwieszone na drzewach przez niespodziany wylew, i że teraz, strwożone swoją przyszłością, szukają nadaremnie sposobu, aby się z więzienia wydostać.

Spostrzegliśmy także, że drzewa na których się znajdowały, niewiele miały już na sobie liści i pozbawione były delikatniejszych latorośli. Wiewiórki to tak je obdarły, żywiąc się tem, co było najbliżej... co jednak uczynią teraz, gdy im nawet takiego pożywienia zabrakło?... Był też to najważniejszy powód, dla którego chciały porzucić swoje więzienie, nie mogąc tego uczynić mimo szczerych chęci.

Odkryliśmy wkrótce przyczynę ich niespokojności. Nieopodal od grupy drzew, na których się znajdowały uwieszone zwierzęta, płynął po wo-

dzie pień drzewny, niezbyt gruby, ani długi. Jakim sposobem pień ten spadł w wodę, mniejsza o to, dosyć, że z biegiem wody przybliżał się ku wiewiórkom, podpływał jednak wolno, ponieważ bieg wody ku środkowi jeziora bardzo się zwalniał. Ten to pień właśnie zajmował tak biedne zwierzątka, które niezawodnie postanowiły go użyć jako tratwy.

W tej chwili wyteżyliśmy swoją uwagę na najmniejsze poruszenie wiewiórek. Pień przybliżał się spokojnie i wolno. Zwierzątka spoglądały wyteżonym wzrokiem w stronę, w której się znajdował, a zamiast zejść do stóp drzew, na których się kręciły, przeciwnie, zbiegły się na najdalej sięgających gałęziach, jakby sądziły, że pień znajdzie się tuż pod nimi.

Nareszcie przyplłynął do punktu najbliższego drzew, poza który przepłynąć już nie mógł, boby na to prąd wody nie pozwolił. Znalazł się nieopodal od gałęzi, to prawda, ale o kilkanaście jeszcze kroków od drzew samych. Jedna z najdłuższych gałęzi zwieszała się ku niemu, unosząc się dosyć wysoko nad powierzchnię jeziora. Wiewiórki obległy ją tłumnie, a ta, która siedziała pierwsza od strony jeziora, zdawała się przygotowywać do skoku.

Doprawdy, te zręczne stworzenia miały zamiar skakać z tak wysoko!... Moja żona, przypatrująca się temu wszystkiemu z zatrzymanym oddechem, rzekła półgłosem:

— Czyż to podobna!... one skakać będą!

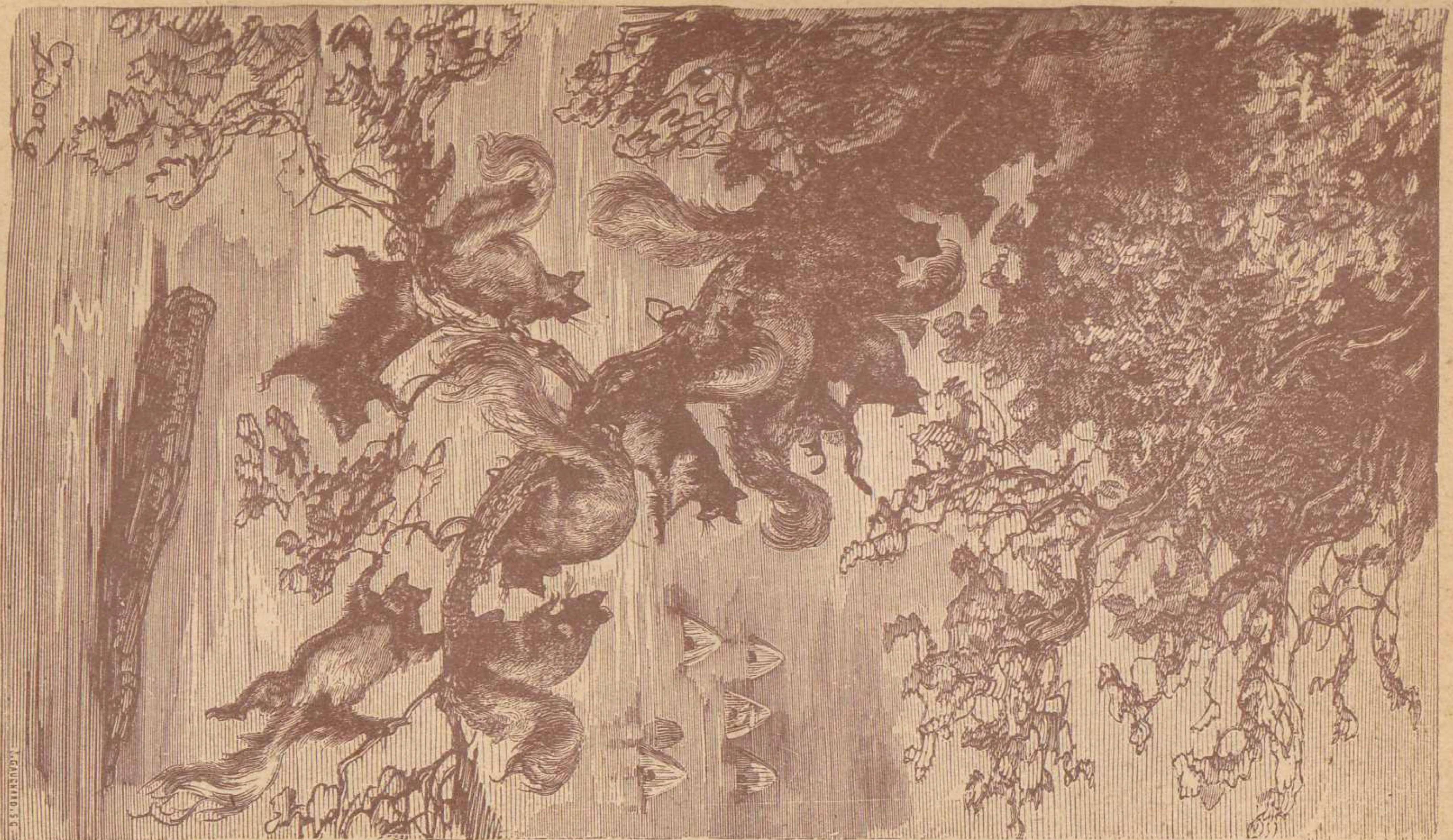
— Tak, pani — rzekł na to Kudžo — one mają zamiar to uczynić. Cóż w tem dziwnego?... Widziałem w Wirginii wiewiórki skaczące jeszcze wyżej. Ale otóż rzuca się!... o!... hop!...

Zaledwie Kudžo wyrzekł ostatni wyraz, już jedna z wiewiórek skoczyła i znalazła się na pływającym drzewie. Druga natychmiast poszła za jej przykładem, później trzecia, czwarta i tak dalej, aż pień w wodzie pokrył się wiewiórkami tak, że na nim zwierzęta tłoczyć się musiały. Z tym ciężarem dosyć ruchliwym, zaimprovizowana tratwa posunęła się z biegiem wody dalej.

Sądziliśmy, że tym sposobem wszystkie zwierzątka zostały wyswobodzone ze swojego więzienia, ale byliśmy w błędzie. Spojrzawszy ku osamotnionej grupie drzew, spostrześliśmy wśród ich gałęzi wiewiórkę, która tam pozostała. Przypuszczalnie nie zdążyła ona skoczyć na pień, który uniósł jej towarzyszkę, ażeby ją skazać na groźną samotność. Zapewne także i skoki zwierzątek wpłynęły bardzo na przyspieszenie biegu pnia, który odpłynął za wcześnie i tym sposobem jedna z nich nie mogła już umieścić się na nim. Pień odpłynął, a biedna wiewiórka patrząc na to, okazywała najwyższą niespokojność i trwogę. Widziała, że jest samą, i że niepodobna gonić towarzyszek, które z każdą chwilą znajdują się coraz dalej. Była opuszczona, samotna... przestraszona tą samotnością, biegała z gałęzi na gałąź, z drzewa

na drzewo, w górę i na dół i we wszystkie strony, próbując, czy jej się nie uda dogonić odpływające towarzyszki... napróżno!

Zatrzymała się wreszcie na jednym z drzew, którego kora była niezmiernie grubą i zwieszającą się, a raczej odstającą od pnia w dużych kawałkach, niby łuskach, jeżących się na drzewie. Łuski te kory, większe i w jednym tylko końcu dotykające pnia, miały niektóre po kilka stóp długości i zdawało się, że lada chwila odpadną od drzewa. W jednym szczególnie miejscu, kawał takiej odstającej kory zaledwie się trzymał przy pniu i zdawało się, że najmniejsze trącenie sprawi, iż spadnie. Osamotnione zwierzątko postanowiło użyć go za czółno i w tym celu zabrało się do niełatwej pracy. Jego zęby ostre i mocne, poczęły przegryzać część kory, łączącej ją z pniem; pazurki dopomagały im dzielnie. Po chwili kora opadła, ale zatrzymała się jeszcze na kilku włóknach, z którymi wiewiórka miała najcięższą przeprawę. Wreszcie i ta przeszkoda usuniętą została, a kawał kory, obiwszy się z łoskotem o gałęzie drzewa, spadł w wodę. Jeszcze to czółenko nie przestało się chwiać w rozkołysanej fali, a wnet znalazła się na niem wiewiórka. Jej skok był szybki i pewny. Szło tylko o to, czy kora, spadłszy nazbyt blisko brzegu, a raczej kępy drzew, popłynie z biegiem wody, który w tem miejscu był niezmiernie mały. Wiewiórka znać zastanowiła się nad tem także, bo wyprawiać poczęła ruchy, mające na celu wpra-



Jedna z wiewiórek skoczyła i znalazła się na pływającym drzewie.

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

wienie w bieg jej czółenka. Chcąc to uskutecznić z większą pewnością, podniosła swój rozłożysty i szeroki ogon i wystawiła go przeciwko wiatrowi, niby żagiel. Patrzyliśmy na to wszystko z niezmiernem zajęciem i widzieliśmy, jak mały żeglarz, który był zarazem doskonałym skoczkiem, począł się zwolna oddalać. Po chwili, płynąc w kierunku, w którym się udały jej towarzyszki, wiewiórka popychana łagodnym wiatrem i unoszona pędem wody, znikła nam z oczu.

Cała gromadka tych zręcznych stworzeń udała się ku tamie. Henryk chciał im przeciąć drogę i zerwał się już, aby pobiedz w tamtą stronę, ale Marya kazała mu zaniechać zamiaru, mówiąc, że wiewiórki zasłużyły na wolność i życie, skoro je osiągnęły zręcznością, która nas tak bardzo zajęła.

XX.

Dom zbudowany bez gwoździ.

Nazajutrz zabraliśmy się z Kudzem do dalszej roboty nad budową naszego domu. Dnia tego użyliśmy do położenia dachu. Dach ten składać się musiał z desek, bo nie mieliśmy ani blachy, ani dachówki. Pierwszy rząd desek ułożyliśmy tak, aby wystając po bokach ścian, stanowił tak zwany okap, i aby tym sposobem woda, w czasie deszczu na dach spadająca, mogła spływać na ziemię, nie lejąc się po ścianach. Przymocowaliśmy te deski

do żerdzi, przechodzących przez całą szerokość dachu, a przymocowaliśmy je za pomocą rzemieni z jeleniej skóry. Rzemienie te moczyliśmy pierwszej, licząc na to, że gdy wyschną na słońcu, skurczą się i tem silniej ściągają będą ułożone deski.

Drugi rząd desek był tak ułożony, że pokrywał w części pierwszy, jak się to dzieje przy układaniu dachówek, w celu zakrycia szpar zachodzących jedna na drugą. Trzeci, czwarty i następne rzędy umieściliśmy tak samo, przymocowując wszystko rzemieniami. Gdyśmy skończyli jedną stronę dachu, druga szła nam już łatwiej, bośmy robili rzecz z planem i pewnem doświadczeniem. Sam grzbiet, to jest wierzchołek dachu pokryliśmy także deskami, odpowiednio ułożonemi, aby nigdzie nie było najmniejszej szpary.

Mieszkanie nasze było tedy zbudowane i przykryte, ale było stokroć podobniejsze do klatki, niż do domu. Ściany nie były wykończone i belki sterczały jak szkielet... trzeba było zapełnić puste przestrzenie między niemi tak, aby się klatka na dom zamieniła. Zanim do tego przyszło, wzięliśmy się do umieszczenia drzwi i okna. Zrobiliśmy najpierw otwór na drzwi, przez stosowne ustawienie belek; okno chcieliśmy mieć tylko jedno, bo i wielkość naszego domku i bezpieczeństwo tego wymagały. Na szczęście mieliśmy narzędzia, bez których nie byłoby podobna ani pomyśleć o całej tej pracy. Deski z drzewa tulipanowego posłu-

żyły do urządzenia okiennic i drzwi; dobrze przy-
rzuńnięte i przypasowane, zostały następnie zbite
ze sobą kołkami z drzewa akacyi. Rzemienie
posłużyły znowu za zawiasy... Trzeba było ko-
rzystać z tego co jest i nie wybredzać, bo z tem
niezawodnie nie zaszlibyśmy daleko.

Robotę tę uskuteczniliśmy pod koniec dwóch
dni; nad samym wieczorem, pragnąc korzystać
z dachu, przenieśliśmy tu wszystkie nasze sprzęty
i pościel. Pierwszy to raz wówczas spaliśmy pod
dachem.

Nazajutrz zabraliśmy się do budowy ogniska
i komina. Trzeba go było umieścić tuż przy ścia-
nie; obraliśmy odpowiednie miejsce obok ściany
północnej i poczęliśmy trudną pracę zdunów z bar-
dzo prostym materiałem, bo z gliną i kamieniami.
Budowa komina szła nam niesporo. Cegły nale-
żało zastąpić drzewem układanem coraz wężiej
ku górze i oblepionem gliną tak, aby się od
ognia zająć nie mogło. Rura kominowa sterczała
wysoko nad dachem, aby iskry nie opadały na
deski, które z łatwością zająćby się mogły. Gdy-
śmy to wszystko zrobili, nie mogliśmy się po-
wstrzymać od zobaczenia ognia na ognisku i dymu
kominem wychodzącego. Słońce zachodziło, gdy
na ognisku chróst podpalony zajaśniał żywym
płomieniem, a nad kominem ukazały się kłęby
dymu. Praca nasza udała się!

Następnego dnia wzięliśmy się do zapelnienia
próżnych przestrzeni pomiędzy belkami w ścia-

nach. Posłużyły do tego przeważnie kamienie i glina. Gliną także zalepiliśmy wszystkie dziury na dachu, tak, że nie została najmniejsza szparka, mogąca przepuszczać zimno lub wilgoć. Co się tyczy podłogi, zrobiliśmy ją nie z desek, lecz z palmowych liści, kładzionych na glinę. Gdy ta wyschła, podłoga naszego domu wyglądała, jak wykwinna i szczególna posadzka.

Tak tedy dom nasz został ukończony bez użycia żadnego gwoźdźca. Szczęśliwi z dokonanego dzieła, rozlokowaliśmy się jak najprędzej w naszym siedlisku, zabezpieczeni dostatecznie od szkodliwych wpływów pory nocnej lub niepogody. Skorośmy się urządzili w mieszkaniu, nie wykwinem, ale dosyć wygodnem i aż nadto wystarczającym, wzięliśmy się do budowy stajenki dla konia. Poczciwy Pompo nie potrzebował się wprawdzie obawiać zimy, która jeszcze była daleko, ale należało go zabezpieczyć od wilków i innych dzikich zwierząt, bardzo łakomie czyhających w okolicy na zdobycz. Smutna śmierć ostatniego wołu była dla nas wskazówką, że w każdej chwili biedne zwierzę może zginąć — a przypadek zawsze do przewidzenia trudny. Stajenka kosztowała dwa dni pracy; zbudowaliśmy ją z pozostałych bali i desek, pokryli silnym dachem i jako tako zabezpieczyli ściany, których w klimacie, w jakimśmy się znajdowali, zbytecznie od zimna chronić nie potrzeba. Postawiono Pompowi żłób z pnia tulipanowego drzewa, wyrobiony przez Kudza. Od

tego czasu nasz koń co wieczór zamykany w stajni, był zabezpieczony od napadu.

Po dokonaniu tych wszystkich dużych robót, należało pomyśleć o zapewnieniu sprzętami mieszkania, ze względu na to, że miało nam ono służyć na długo, jeśli nie na zawsze. Postanowiliśmy zrobić sześć krzesel i stół. Robota szła niesporo. Brak nam było wprawy i narzędzi. Na szczęście miałem z nich niektóre, inne trzeba było zastępować, czem się dało. Po długich próbach mogliśmy robić fugi i zagięcia, potrzebne do połączenia pojedynczych części, a gdy się to udało, klej wygotowany z kopyt i rogów jelenia, dokonał reszty. Nie mieliśmy hebla, aby wygładzić i zrównać powierzchnię naszych sprzętów, ale zastąpiliśmy go kamieniami, które wygładziły naszą robotę jak najlepiej. Ostre te, łupliwe kamienie przekonały mnie swoją obecnością w tych okolicach, że góry, wśród których żyjemy, są formacyi wulkanicznej, i że najprawdopodobniej były kiedyś gorejącymi wulkanami.

Nie zapomnieliśmy też o swoich bobrach. Praca ich nad gromadzeniem zapasów z każdym dniem postępowała. Można je było w każdej prawie chwili widzieć płynące po jeziorze i pchające przed sobą do swoich domków to, co im na zimę jako żywność posłużyć miało. Oswajały się one z naszym widokiem, a zdawało się nawet, że podpływały aż pod sam brzeg, na którym zazwyczaj stawaliśmy, aby się przypatrywać. Ta

ufność ujęła nas niezmiernie, postanowiliśmy więc wyprawić im ucztę, jakiej się nie spodziewały.

Zauważyłem w lasku, nieopodal od naszego mieszkania, piękne drzewa, cienkie, krzywe i nie wyższe nad trzydzieści stóp, z liśćmi owalnymi zielono-niebieskiej barwy i długimi na sześć cali. Kwiaty ich miały kształt róż, były jednak wszystkie białe, a ich zapach był bardzo przyjemny; Marya codziennie zrywała je na bukiety, które stawiała w pokoiku. Wytłumaczyła mi ona własności tego wonnego drzewa. Był to rodzaj *magnolii*, nie tej, która jest sławną przez swe wielkie i wspaniałe kwiaty, ale innej, zwanej przez botaników *magnolia glauca*. Nazywają ją niekiedy *sasafrasem bagnistym*, ale powszechniej znaną jest pod nazwą *bobrowego drzewa*, bo bobry tak je lubią, że bardzo często myśliwi zwierzątka te wabiają gałązkami drzewa, aby je tak zwabione chwytąć.

Wyrwaliśmy z Kudźem kilka takich drzewek, które w całości, z korzeniami i gałęzmi, zanieśliśmy nad brzeg jeziora. Rzucone w wodę, w krótkim czasie zaostrzyły apetyt bobrów. W pół godziny potem mądre te zwierzątka obległy ulubione drzewka, aby je po kawałku przenieść do swoich zimowych składów. Bobrowe zębki pracowały pilnie, bo pod wieczór nie było ani śladu z uczt, którąśmy im zastawili.

XXI.

Polowanie na czarne-ogony.

Nie wypadło nam nic innego czynić dla naszych bobrów, jak tylko strzedz ich bezpieczeństwa... lub właściwiej powiedziawszy, całości ich skóry. Co się tyczy własnego pożywienia o to nie potrzebowaliśmy się troszczyć; ślady zwierząt niezmiernie liczne dowodziły nam, że trzeba tylko sięgnąć, aby mieć co potrzeba.

Podczas gdyśmy byli zajęci budową domu, resztki jeleniego mięsa wyczerpały się. Należało urządzić polowanie, a ze względu na bliską zimę, polowanie wielkie. Miało ono zarazem być rekoniesansową wycieczką, bo dotąd, Bogiem a prawdą, nie znaleźmy okolicy. Zastęp myśliwych składał się tym razem ze mnie, z Franciszka i Henryka; Kuzdzo pozostał w domu, przeznaczony do strzeżenia bezpieczeństwa kobiet.

Gotowi do drogi, puściliśmy się z bronią w rękę w górę doliny. Przechodząc przez gęste zarośla, widzieliśmy wszędzie gromady wiewiórek; jedne z nich siedziały na tylnych łapkach, obłupując migdały, inne skakały wesoło po gałęziach, inne zaś wydawały rodzaj skomlenia, które przypominało szczenięta. Ich zwinność i bystrość czyniła je podobnymi raczej do ptaków, niż do czworonogów. Gdy nas ujrzały nadchodzących, powstał między nimi popłoch, który jednak nie trwał długo.

Poczęły skakać z gałęzi na gałąź, wdzierając się na wierzchołki drzew, ale co chwila wyglądały na nas z pośród liści, potrząsając swymi puszystymi ogonkami. Mogliśmy ich nabić bardzo dużo, ale podobna zdobycz wcale nas nie pociągała. Szkoda byłoby życia ładnych stworzeń i ołowiu, którego oszczędzać należało. Postanowiliśmy nie strzelać do mniej grubej zwierzyny, niż daniel albo jeleni.

Skorośmy uszli z półtora kilometra drogi, spostrzeżliśmy, że drzewa coraz bardziej się przerzedzają, i że z postępem naszego pochodu, okolica jest coraz więcej otwarta. Nie doszliśmy jednak do żadnej odkrytej płaszczyzny, bo drzewa formowały tylko grupy i szeregi, wśród których znajdowały się mniejsze lub większe ustępy. Były to przepyszne miejsca do spotkania się z daniem; musiał on tu przebywać, ze względu, że na tego rodzaju otwartych łąkach daleko trudniej o napad dzikiego zwierza, a tem samem i bezpieczniej. Szliśmy przez ustępy leśne, spotykając na każdym prawie kroku świeże ślady zwierzyny. Nie były to jednak ślady daniela; podobne do śladów świni, były one jednak większe i zdradzały raczej jelenia.

Postępowaliśmy ostrożnie, kryjąc się wśród drzew i krzaków, i tak doszliśmy do łąki o wiele rozleglejszej niż poprzednio widziane ustępy; dotarliśmy do niej, nie sprawiwszy najmniejszego szelestu, i z wielką radością spostrzeżliśmy stado

zwierząt, spokojnie się pasące na bujnej trawie łąki.

Zwierzęta, któreśmy ujrzeli, należały niewątpliwie do rodziny danieli, czego dowodziły ich gibkie nogi i rogi kręcone, ale różniły się od nich tak samo jak i jelenie. Były one większe od zwykłego daniela, jakkolwiek podobnemi były do niego z kształtów i barwy. Najszczególniej jednak odróżniały je od tego zwierzęcia ich uszy i ogony. Uszy te były długie, niby u muła i dosięgały prawie połowy długości rogów. Ogony były zato bardzo krótkie i wełniste, białe z pod spodu, ale czarne kruczają czarnością z boków i na wierzchu. Miały one czarne piersi i czarne pręgi na szyi i na łopatkach, nosy zaś barwy popielatej. Cechy te odróżniały niezmiernie wyraźnie te zwierzęta od danieli wirgińskich i angielskich.

Słyszałem niegdyś o nich, teraz więc, zebrawszy wszystko co pamięć przyniosła i porównawszy z tem, co było przed oczyma, nabrałem przekonania, że są to daniela o czarnych ogonach, właściwe górcom Skalistym. Uczeni zwą je po łacinie *cervus macrotis*.

Zatrzymaliśmy się na chwilę, aby się im przyjrzeć. Pragnęliśmy jak najprędzej rozpocząć polowanie, ale zastanowienie radziło się wstrzymać. Gromadka zwierząt, złożona z siedmiu sztuk, była od nas oddalona na jakie trzysta kroków, strzały więc mogły być bardzo niepewne i raczej mogliśmy zwierzęta spłoszyć, niż upolować.

Po chwilowym namyśle rozejrzałem się wokoło i ujrzałem z przeciwnej strony przejście, prowadzące pośród drzew. Było to zapewne przejście do drugiego ustępu i byłem pewny, że daniela spłoszone i poranione tędy niezawodnie uciekać będą. Udałem się w tę stronę, aby w razie danym przeciąć zwierzętom ucieczkę. Franciszek pozostał na poprzednim miejscu, Henryk zaś przeszedł ostrożnie na przeciwną stronę i ukrył się za drzewem. Tym sposobem daniela znalazły się w trójkątnym otoczeniu, a nam łatwiej było działać skutecznie i w razie spłoszenia zwierząt nie dozwalać im uciekać.

Skorom zajął swe stanowisko, ujrzałem jak daniela poczęły się zwolna przybliżać w stronę Franciszka. Niezadługo znalazły się tuż koło drzewa, poza którym on się ukrywał. Natenczas z pośród krzaków i gałęzi wybuchł obłok dymu i rozległ się huk; strzał padł, a odgłos jego był hasłem dla naszych psów; rzuciły się one natychmiast. Jeden z danieli podskoczył i runął na ziemię bez życia, inne zaś biegały bezładnie, przerażone niespodzianym napadem. Po chwili jednak zwierzęta, jakby odzyskały utraconą przytomność, rzuciły się ku niemu. Gdy przebiegały obok Henryka, drugi strzał z zarośli padł między nie i drugi daniel bez życia został na placu.

Przygotowywałem się do ataku, starając się, abym nie był zawstydzony przez synów, których strzały były tak pewne i stanowcze. Strzeliłem do

zwierzęcia, które biegło obok mnie i zwałem je na ziemię. Natychmiast też Kastor i Polluks, nasze psy, biegnące śladami stada, rzuciły się na nie, ale zostały odparte. Rzuciłem się im na pomoc, a zbliżywszy się do daniela, który walczył z psami, zadałem mu śmiertelny cios nożem. Wówczas łączka się opróżniła — pozostałe zwierzęta uciekły, a my wszyscy trzej zeszliśmy się nad zdobyczą, zaiste wspaniałą. Polowanie było podług wszelkich zasad... z obławą, z zasadzką, z kordelasem wreszcie, a nadewszystko cieszyło nas, że nam przyniosło w rezultacie ogromną ilość świeżego mięsa. Chłopcy cieszyli się, że żaden z znanych strzałów nie był daremny. Co do mnie wolałbym pozostawić przy życiu biedne zwierzęta, gdybyśmy się bez nich obejść mogli. Polowanie nasze było następstwem konieczności, bo inaczej nie byłbym na nie zezwolił.

Trzeba przyznać Henrykowi, że jego strzał był najlepszy, bo trudny, a pewny. Zwierzę które zabił było trafione w biegu, a trzeba wiedzieć, że *czarne-ogony* nie biegną jak daniela, ale skaczą, przez co też niezmiernie trudno dosięgnąć je kulą.

Po starannem opatrzeniu karabinów, oparliśmy je o najbliższe drzewo i wzięliśmy się do oprawienia ubitej zwierzyny. Podczas gdyśmy dokonywali tej wcale trudnej pracy, Henryk począł się uskarżać na pragnienie. Prawdę powiedziawszy byliśmy porządnie zmęczeni, bośmy uszli spory kawał drogi przy straszliwie piekącym słońcu. Nie

byliśmy daleko od strumienia, przeciwnie, płynął on zaledwie o kilkadziesiąt kroków, Henryk więc z kubkiem cynowym w dłoni udał się ku niemu, aby zaczerpać i napić się wody. Po kilku minutach usłyszeliśmy go, wzywającego nas z całych sił głosu. Porwałem za karabin, Franciszek uczynił to samo i pobiegliśmy bezzwłocznie. Gdyśmy przybyli nad strumień, ujrzelśmy Henryka siedzącego najspokojniej na jego brzegu, z kubkiem pełnym wody w ręku.

— Co się stało?... dlaczego nas wołałeś?... — zapytał go Franciszek.

— Skosztuj tej wody — odrzekł — jest ona słoną tak, jakby pochodziła z morza.

— Ależ to prawdziwa solanka!... — wykrzyknął Franciszek, dotknąwszy ustami kubka.

Odkrycie to przyniosło niespodziewane szczęście. Chłopcy, którzy przedewszystkiem chcieli ugasić pragnienie, nie rozumieli mojej radości. Spodziewali się znaleźć wodę czystą i świeżą, tymczasem niepodobna jej było wziąć do ust. Staralem się im wykazać całą ważność odkrycia. Cierpieliśmy oddawna niedostatek soli, nie posiadaliśmy jej ani szczypty, a od chwili przybycia na dolinę, straciliśmy wszelką nadzieję, że ją kiedyś posiadać będziemy. Ci, którzy nigdy nie byli pozbawieni soli, niezdolni są pojąć, czem jest brak tej niezbędnej przyprawy. Sprawia on przykrość niesłychaną, całą żywność zamieniając w coś podobnego do wygotowanej trawy bez smaku.

Tłumaczyłem swoim chłopcom znaczenie soli w życiu ludzkim, wobec tych szczególnie, którzy do używania jej przywykli. Przyznali jednogłośnie, że mięso jelenia, zakonserwowane bez soli, zaledwie się jeść dało. Powiedziałem im dalej, że teraz, znalazłszy wodę przesyconą solą, z łatwością, wygotowawszy ją w kotle, otrzymamy samą, czystą sól.

— Otóż to będzie radosna nowina dla mamy! — zawołali z wyrazem zadowolenia.

Przekonani o tem, że rzeczywiście wiadomość taka bardzo ucieszy Maryę, z całą niecierpliwością wyczekiwaliśmy chwili powrotu. Podwojona gorliwość w pracy dokazała wkrótce, że nasze *czarne-ogony* były opravione, zawieszane na drzewach i najzupełniej zabezpieczone od żarłoczności wilków. Gdy się to już stało, wzięwszy karabiny na ramię, puściliśmy się szybkim krokiem w kierunku naszej osady.

XXII.

Szczególne zwierzę.

Skorośmy za powrotem zwiastowali dobrej naszej mateczce szczęśliwą nowinę, radość jej była niezmierna. Mogliśmy się zaraz nazajutrz zaopatrzyć w zapasy soli i odtąd nie potrzebowaliśmy cierpieć jej niedostatku. Mieliśmy zamiar zaniesie-

nia kotła nad brzeg strumienia słonego i robienia, a raczej wygotowywania soli na miejscu, co się nam wydawało daleko wygodniejszym, niż sprowadzanie wody do domu.

Ponieważ do nocy było jeszcze daleko, wzięliśmy zatem Pompa z jego zaprzęgiem i udaliśmy się do *czarnych-ogonów*, zawieszonych na drzewie, aby je przywieźć do osady. Trzeba było powracać kilka razy, ponieważ mięsa z każdego daniela było dużo i wszystko na jeden ładunek zmieścić się nie mogło. Zanim słońce zaszło, cały transport mięsa był już pod dachem; co się tyczy skór, te zostawiliśmy na drzewach.

Gdyśmy byli zajęci z chłopcami przewożeniem zapasów, Kudzo ze swojej strony był także bardzo czynnym. Ściawszy wielki pień drzewa tulipanowego, zrobił zeń rodzaj koryta, w którym miało się przechowywać nasolone mięso danieli. Porobił także półmiski, cebrzyk i inne tego rodzaju naczynia, w taki sposób, w jaki je zwykle robią murzyni przy plantacyach pracujący. Było to wszystko proste, ale bardzo mocne i niemniej wygodne.

Nazajutrz rano, zaraz po śniadaniu, udaliśmy się wszyscy nad strumień. Szliśmy razem — Marya prowadziła spokojnego i łaskawego Pompa, ja z Kudzem nieśliśmy dziewczynki, Franciszek zaś i Henryk, trzymając jedną ręką swe fuzye, w drugiej nieśli na gałęzi zawieszony kocioł. Psy szły obok nas, a nasz dom pozostał na opiece Opatrzności.

Marya zachwycała się obrazem, roztaczającym się przed jej oczyma. Bardzo uważnie rozglądała się po drzewach, a raz nawet, przypatrując się jednemu ze szczególną uwagą, wydała okrzyk radosny, jak gdyby odkryła coś nadzwyczaj ważnego i przyjemnego.

Zapytaliśmy zaraz, co takiego spostrzegła, ale odpowiedź jej wcale nie zaspokoila naszej ciekawości.

— Jest to coś tak ważnego i pożytecznego — odrzekła — jak sól... wstrzymajcie się jednak i niech wasza niecierpliwość i ciekawość tym razem powściągnąć się potrafi. Gdy będziecie bardzo zmęczeni pracą lub zniechęceni trudami, powiem wam, co mnie w tej chwili ucieszyło, a jestem pewna, że wiadomość ta podwoi waszą wytrwałość i sił wam doda.

Cóż robić?... trzeba było wezwać cierpliwość na pomoc, skoro Marya wręcz oświadczyła, że teraz nie powie nic. Szliśmy więc dalej; przechodziliśmy właśnie przez gąszcz leśny, pełen powabów natury, śmiejąc się i żartując, gdy naraz z zarośli wyskoczyło jakieś zwierzę, które szło wprost na nas. Było to piękne małe stworzenie, wielkości średniego kota, z popielatą sierścią, ciemniejszą na główce i szyi. Kilka pręg białych przebiegało po jego grzbiecie. Szło ono coraz dalej, nie zatrzymując się ani razu; rzuty jego ogona, niespokojne i silne, czyniły je podobniejszym jeszcze do kota. Niecierpliwy Henryk, nie mogąc powściągnąć swej

myśliwskiej żyłki, rzucił gałąź z kotłem, niesionym na ramionach i pobiegł naprzeciw zwierzęcia.

Chciałem krzyknąć na niebacznego chłopca, ale pobiegł tak szybko, że zapewne nie zechciałby się wracać bez pomyślnego rezultatu. Psy też, spostrzegłszy niespodzianego gościa, rzuciły się ku niemu i poczęło się istne polowanie, które wszakże długo nie trwało. Zwierzę napadnięte skreśliło w stronę, z której przyszło i puściło się najszybszym biegiem ku zaroślom, widząc jednak, że niepodobna będzie umknąć przed pościgiem, odwróciło się ku nieprzyjaciołom i przyczaiło się, jakby oczekując odważnie stanowczego napadu. Henryk, ciągle w biegu, widząc to, poszczuł psy. Chciał on zwierzę wziąć żywcem i był pewnym, że zdobycz go nie minie. Tymczasem stało się inaczej. Zwierzę, w chwili gdy już psy miały się na nie rzucić, odwróciło się nagle tyłem i zarzuciło sobie ogon na grzbiet. Ruch ten, pełen pogardy dla następujących, niesłychanie nas rozśmieszył. Nagle psy stanęły... ich zwycięskie szczekanie zamieniło się na wycie; ukryły nosy w trawie i konwulsyjnie poczęły drapać pazurami ziemię. Henryk stanął także pełen zdumienia, ale niedługo stał tak nieruchomy i bezczynny. Podniósł ręce do nosa, wydał krzyk gniewu i zwróciwszy się, biegł do nas jeszcze szybciej, niż się oddalił.

Zwierzę, które taki cud sprawiło, było *mephitischinga* w terminologii naukowej, pospolicie zaś zwiąże *śmierdzielem amerykańskim*. Wypuściło ono

swój płyn cuchnący, który zatrzymał psy i odpędził Henryka, a potem przez chwilę popatrzywszy na prześladowców swych w ucieczce, poczęło ruszać ogonem w sposób zdradzający zadowolenie i w kilku skokach znikło wśród zarośli.

Nie zdążyliśmy się jeszcze oddalić z łąki gdy się po niej rozszedł zabijający odór. Zawołałem na Henryka, aby pospieszał coprędzej i skoro tylko stanął wśród nas, biegnąc opuściliśmy te miejsca. Psy trzeba było zapomocą rzucania kamieniami trzymać w odpowiednim oddaleniu, bo odór fatalny, którym przeszły, włókł się za nimi i sprawiał przykre wrażenie. Toż samo byłoby z Henrykiem, gdyby zwierzę nie skierowało pocisku swego na psy. Ucierpiał on tylko o tyle, że nos jego uderzony był jak pałką, ale nie przesiąkł przynajmniej odstręczającym wyziewem.

Idąc ku słonemu źródłu i korzystając z zdarzenia, opowiadałem dzieciom o szczególnem zwierzęciu, które tylko co wywołało ucieczkę śmiałka i dwóch psów.

— Widzieliście — mówiłem — że jest ono prawie wielkości kota, ciało jednak jego jest silniejsze, a członki dłuższe; futro jego jest cieńsze od futra kota. Zwierzęta tego rodzaju mają zresztą pokrycie bardzo rozmaite. Są mięsożerne i żywią się stworzeniami żywcem upolowanemi. Mają silne kły, a oprócz tego trzy inne gatunki zębów, z których jedne właściwie przeznaczone do szarpania mięsa, dostatecznie świadczą o ich mięsożerności.

Zwierzęta, które się nie żywią mięsem, zębów takich nie mają, jak na przykład konie, owce, króliki i daniela. Śmierdziel posiada ich po dwa w każdej szczęce, a są one bardzo silne i ostre. Zwierzę to z żarłocznością zjada jaja; rabuje je ono po gniazdach wszystkich ptaków, do których się tylko zdoła wedrzeć. Ma ono zaciętych wrogów w wilkach i wolwerenach. Nie biega nadzwyczaj szybko, to też bezpieczeństwo jego nie zależy bynajmniej od jego nóg, ale od owego cuchnącego płynu, który zapomocą ściągnięcia swych mięśni, umie rzucać w kierunku swego napastnika. Płyn ten znajduje się w dwóch małych woreczkach, umieszczonych z tyłu pod ogonem zwierzęcia. Woreczki te mają przewody objętości pióra gęsiego, które otwierają się w chwili, gdy zwierzę chce płyn wypuścić. Jest to płyn gazowy, którego po dniu nie widać, w nocy jednak, w chwili, gdy go zwierzę wyrzuca, przedstawia się jak dwie świecące smugi. Siła rzutu wyrównywa mniej więcej pięciu krokom, a odór rozchodzący się, zdolny jest zmusić do ucieczki wilka, psa a nawet i człowieka. Bardzo często sprawia on rozmaite przypadłości i wymioty; opowiadają, że Indianie rażeni nim, tracą wzrok. I psy ulegają szkodliwemu wpływowi tego płynu, po kilka tygodni nie mogą się pozbyć odoru, który je otacza i prześladowuje. Miejsce, w którym śmierdziel został zabitym, cuchnie przez kilka miesięcy, chociaż czasem gruby śnieg pokryje ziemię. Jeżeli jednak zabito go od-

razu, nim zdołał, jak mówią, *dać ognia*, odór zabójczy wcale się czuć nie daje.

Śmierdziel jest zwierzęciem ziemnym; w krajach zimnych, podczas zimy, przebywa on głęboko zakopany w swej jamie i pogrążony w śnie letargicznym. W okolicach gorących nie zasypia na zimę, ale poluje przez cały rok, głównie w nocy, jak wszystkie drapieżne zwierzęta. Żyje on w swojej norze, głębokiej na kilka stóp, w towarzystwie dziesięciu albo dwunastu innych. Samica oddala się w miejsca bezpieczne, okryte trawą i kwiatami, aby tam wychowywać swoje młode, których liczba naraz wynosi od pięciu do dziewięciu. Zapewniają że mięso tego stworzenia, zabitego w odpowiednich okolicznościach, jest tak prawie delikatne i smaczne, jak najlepsza pieczona wieprzowina.

Wróćmy jednak do naszej soli.

XXIII.

Źródło słone.

Przybyliśmy wreszcie do miejsca, pośród którego mieliśmy rozpocząć naszą warzelnię soli. Przed nami rozciągała się wyżyna, która świadczyła, że źródła, zasilające strumień, znajdują się nieopodal; poszliśmy więc dalej, aby dotrzeć do źródła, które nas tu sprowadziło.

U stóp wyniosłości spostrzegliśmy mnóstwo małych wzgórków, zaokrąglonych, podobnych do

półkuli. Były one białawej barwy i przedstawiały niejaki podobieństwo do ułamków białego kwarcu. Wielkość ich przedstawiała się najrozmaiciej, jedne wyrównywały rozmiarami wielkości pieca do pieczenia chleba, inne zaś były o wiele mniejsze. Na wierzchołku każdego znajdowało się zaokrąglone wydrążenie, podobne do krateru małego wulkanu; w wydrążeniach tych bulkotała niebieska woda, wrząc, jakby pod spodem rozpalono silny ogień.

Było tych wzgórków ze dwadzieścia na bardzo małej przestrzeni, ale większa część nie miała wydrążeń w wierzchołku. Te najniezawodniej były wyschniętymi źródłami, które przestały zasilać strumień napływem wody. Należały one zapewne do najdawniejszych.

Obejrzawszy okolice, bardzo piękną i nadzwyczaj malowniczą, wzięliśmy się do przygotowania naszej małej warzelnicy solnej. Franciszek i Henryk poczęli rąbać drzewo do rozpalenia ognia potrzebne, Kudzo zaś zawiesił na zrobionych naprędce koziołkach kocioł. Następnie zaczerpnięto wody z najbliższego źródła i zlano ją w kocioł, poczem wypadało nam tylko oczekiwać pomyślnego rezultatu.

Nie potrzebuję zapewne mówić, że oczekiwaliśmy z niecierpliwością. Co do mnie, przyznam się, że byłem bardzo niespokojny. Nie wiedziałem jeszcze czy źródła są rzeczywiście solnemi, i czy z wygotowanej wody otrzymamy sól, czy też co innego. Woda miała wprawdzie smak słony, ale

mogła być zarówno przesiąknięta solą, jak siarczanem magnezyi, lub siarczanem sody. Po ukończonej waporacyi, czyli po wygotowaniu wody, jedna z trzech tych substancyi powinna się osadzić na dnie kotła.

— Co to jest siarczan magnezyi?... — zapytał Franciszek.

— Bardzo być może, że go znasz lepiej pod nazwą soli epsońskiej — odrzekła matka, śmiejąc się.

— Bah!... — rzekł z miną niezadowolenia — znam ją doskonale i nie potrzebuję bliższych objaśnień. Ale co to jest siarczan sody?

— To naukowa nazwa soli glauberskiej¹⁾.

— Tak!... znam ją także i sądzę, że się tu bez niej doskonale obejdziemy. Co ty na to, Henryku?...

— Ani odrobineczki!... — zawołał Henryk, krzywiąc się okrutnie na samo wspomnienie tych specyałów. — Wolałbym sto razy spotkać się z siarką i saletrą, z których przynajmniej zrobilibyśmy proch, którego mamy bardzo mało.

Na tego rodzaju rozmowie przepędziliśmy czas, potrzebny do wygotowania wody, ciekawi, czy ona nie zawiedzie naszej nadziei.

Co do mnie, ufałem w pomyślny rezultat, wierząc, że Stwórca substancję tak nieodbicie potrze-

¹⁾ Sól epsońska i sól glauberska używają się jako lekarstwo przeciwko przypadłościom żołądkowym. Stąd to Franciszek znał je pod temi nazwami.

bną do zwierzęcego życia, bardzo obficie rozmieścił po wszystkich okolicach ziemi, czy to w postaci skał, w źródłach, w jeziorach, czy wreszcie w krystalizacyi lub nawet w wodzie oceanu. Zauważyłem w wewnętrznych okolicach Ameryki, że tam, gdzie morze jest za bardzo oddalone, bardzo wiele znajduje się solnych źródeł. Przy takich źródłach, położonych w lasach lub pośród łąk, zbiegają się z okolicy wszystkie dzikie zwierzęta, aby korzystać z ich wód. Miejsca takie noszą popolicie nazwę *licks*, czyli lizawek. I nasza przeto dolina, obfitująca w różne zwierzęta nie, mogła być pozbawioną źródła solnego, bo natura, uczyniwszy sól potrzebną do życia zwierzęcego, nie mogła mu jej uskąpić. Gdyby więc źródło, przy którym siedzieliśmy, nie było rzeczywiście słonem, to nieochybnie znaleźćby się musiało inne w tej okolicy, inaczej bowiem zwierzęta nie mogłyby tu przebywać.

Mniemanie to trafne i ostatecznie sprawdzone, wypowiedziałem swym towarzyszom, po części, aby im dodać ufności, a po części, aby wykazać mądrość Opatrzności, tak przewidująco rządzącej światem.

— Mój ojcie, — rzekł Franciszek, który był zawsze wielkim zwolennikiem historii naturalnej — pragnąłbym się dowiedzieć, jakim sposobem w strumieniu, który mamy przed sobą, może się znajdować solanka?

— Takim sposobem, że wypływa on z miej-

sca, w którym się znajduje żyła solna, i któreby mogło być kopalnią soli, gdyby ją ktoś zapragnął wydobywać z wnętrza ziemi.

— Żyła solna!... Cóż to jest?...

— Jest to jakby arterya skał solnych, ukryta w ziemi i rozciągająca się czasem w rozmaitych kierunkach na wielkiej przestrzeni.

— Więc jest sól, którą się wydobywa z takich skał solnych?

— Nie wszędzie i nie zawsze, ale w wielkiej ilości. Sól taka znajduje się także w pustyni, w której obecnie przebywamy. Najwspanialsze kopalnie takiej soli znajdują się w Polsce, w okolicach Krakowa, tuż pod miastem Wieliczką. Mówią o nich, że są ciekawe do widzenia i że oświecone we wnętrzu za pomocą lamp w wielkiej ilości rozpalonych, sprawiają widok tak precudny i pełen czaru, jak bajeczne pałace Aladyna.

— Jakżebym je pragnął obaczyć!... — zawołał w uniesieniu Henryk.

— Ja jeszcze nigdy nie widziałem soli w bryłach — wtrącił Franciszek, który miał zwyczaj przeczyć przy lada okazji. — Czy zawsze trzeba sól warzyć, tak jak to my teraz czynimy?...

— Broń Boże. Gdy się ją znajduje w bryłach, dosyć ją niekiedy rąbać, aby oddzielić od całej skały solnej; jest ona wówczas czysta. Bywa jednak zmieszana z innemi substancjami, najczęściej z niedokwasem żelaza lub gliną; w takim razie najpierw ją się rąbie; następnie zaś czyści

za pomocą wyparowania, właśnie tak, jak to robimy w tej chwili.

— Jakiego koloru jest sól skalna?

— Jeśli jest czysta, wtedy jest zupełnie biała, zwykle jednak nabiera barwy tych substancji, z którymi jest pomieszana. Czasem jest żółta, to znowu niebieska, lub blado-różowa.

— Jak to musi być piękne! — zawołał Henryk — musi to być podobne do drogich kamieni.

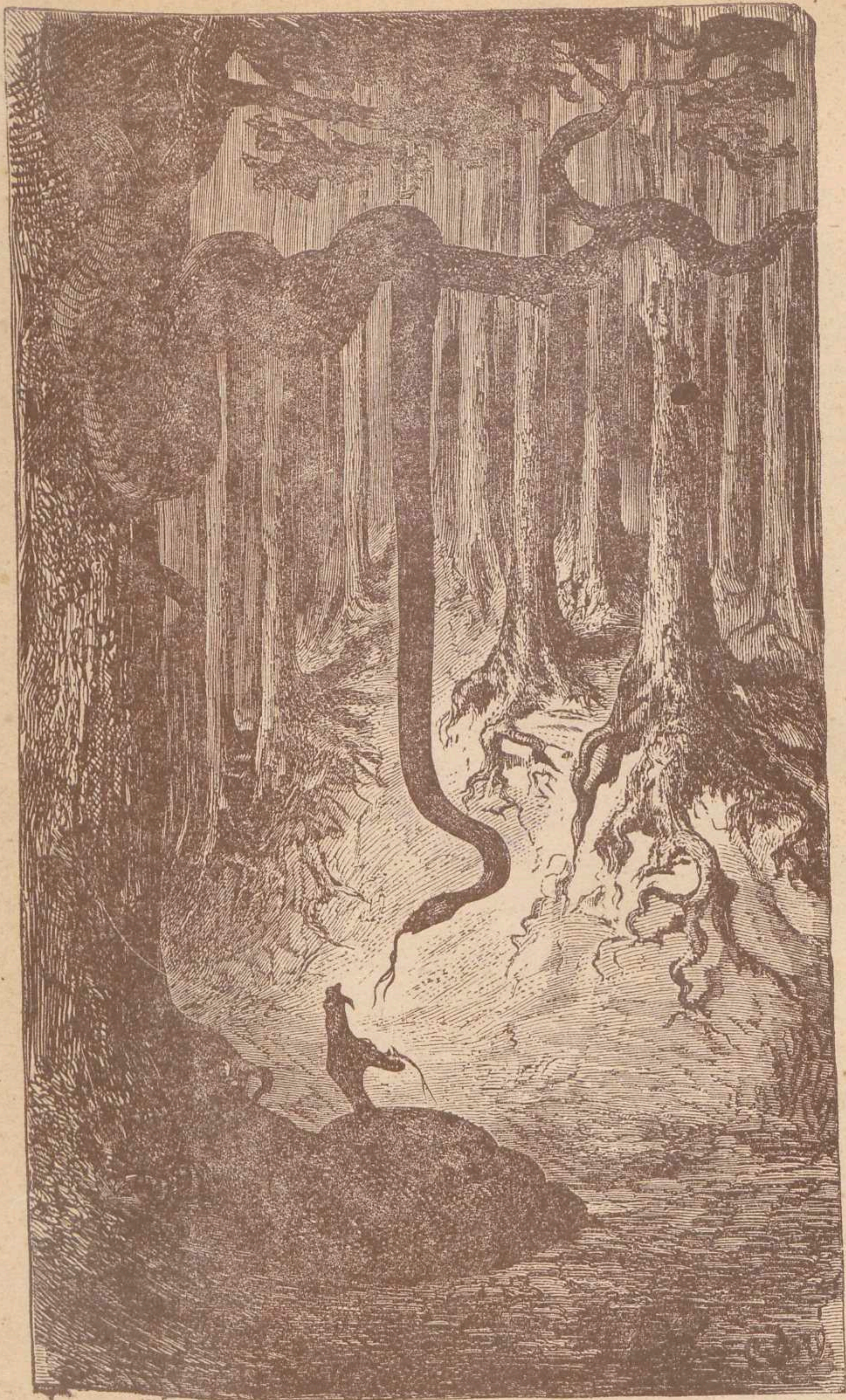
— Niezawodnie, z tą tylko różnicą, że sól jest najpożyteczniejszym kamieniem, a w pewnych przypadkach pożądańszym, niż wszystkie dymanty ziemi.

— A proszę ojca, — rzekł Franciszek, który pragnął dowiedzieć się wszystkiego o rzeczach, o których się mówiło — czy to prawda, że sól znajduje się w wodzie morskiej?...

— Najzupełniejsza prawda.

— Jakże się ją otrzymuje?

— Służą do tego trzy sposoby. W krajach gorących, gdzie słońce mocno dogrzewa, woda morska, wpuszczona do umyślnie przygotowanych płytkich stawów, paruje pod działaniem słonecznych promieni. Urządzone na ten cel służą, czyli zastawy, podnoszą się, skoro trzeba wypuścić wodę, która nie wyparowała, a raczej jej resztki, a wówczas na spodzie znajduje się sama tylko osiadła sól. W taki sposób otrzymują ją w krajach nadmorskich, jak na przykład w Hiszpanii, we Francji,



J. GAUCHARD, SC.

zawisł nad grzechotnikiem tak, że głowa jego znalazła się
wprost głowy niespodziewanego gościa.

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

w Portugalii i w innych okolicach morza Śródziemnego.

Drugi sposób jest najzupełniej podobny do poprzedniego i jedyną różnicę stanowi to, że zamiast schnąć w przyrzadzonych stawach, woda paruje w poustawianych na brzegach morza naczyniach, które się napełnia w chwili jego przyływu. Sól, w taki sposób otrzymana, jest również dobra, chociaż i jedna i druga nie mogą iść w porównanie z solą, wydobywaną z kopalni. Nazywają ją solą siwą, czyli szarą, dla odróżnienia od soli kopalnianej, zupełnie białej. Naturalne żyły soli siwej znajdują się na wyspach Zielonego Przylądka, na wyspie Świętego Marcina, w Indjach zachodnich i w innych jeszcze wielu krajach.

Trzeci sposób otrzymania soli z wody morskiej jest taki sam, jak ten, którego używamy sami w obecnej chwili: zależy on na wygotowaniu wody, ale jest najkosztowniejszy ze wszystkich trzech i najmniejszy przynosi rezultat.

— Dlaczego woda morska jest słoną?...

— Jest to zjawisko, któremu uczeni różne naczynają przyczyny. Jedni utrzymują, że na dnie każdego morza znajdują się miejsca solą napełnione, niby naczynia, z których woda w ciągłym będąca ruchu, sól roznosi po całym morzu. Sądzę, że to twierdzenie nie może się ostać wobec bliższego zastanowienia. Drudzy mówią, że ocean jest słonym od pierwszej chwili swego istnienia, czyli, co na jedno wychodzi, że jest on słonym dlatego,

że jest słonym. Inni wreszcie sądzą, że słoność wody morskiej ma za przyczynę mieszanie się z nią źródeł słonych, wychodzących z wnętrza ziemi.

— Czy całe morze jest słone?... — zapytał Franciszek po krótkiej chwili milczenia.

— Nie; jest ono słodsze pod równikiem, niż w okolicach biegunów. Jest także mniej słonym w odnogach i w pobliżu ziemi, a więcej ku własnemu środkowi. Bądź co bądź, różnice słoności wody morskiej w różnych częściach morza są prawie nic nieznaczące.

— A czy dużo jest soli w morzu?

— Około trzech części na sto, to jest, że ze stu funtów wody morskiej można otrzymać około trzech funtów soli.

— Ale zapewne znajdują się jeziora i źródła, posiadające wodę słodsza, niż woda morska?

— Tak jest. W pustyni wielkiej, wśród której się znajdujemy, w kierunku północno-zachodnim od naszej doliny, znajduje się jezioro, które nosi nazwę Wielkiego Jeziora Słonego. Woda tego jeziora daje dużo stosunkowo soli czystej. Co do naszego źródła, sędzę, że woda jego jest także słodsza, niż woda morska. Ale chodźmy zobaczyć, co się dzieje w naszym kotle!

Podnieśliśmy się z siedzenia i podeszliśmy ku ognisku. Kudźo podniósł pokrywę, a gdy para zebrana pod nią uleciała w górę, na dnie samem spostrzegliśmy grubą warstwę kryształków, podobnych do kryształków śniegu, na pół stopionego.

Wziąwszy po odrobinie w palce, ponieśliśmy je do ust. O radości!... była to wyborna sól!...

XXIV.

Walka węzów.

Wiadomość ta przyjęta była okrzykami radości bardzo szczerej i żywej. Każdy chciał się przekonać o prawdzie, kosztując soli. Skryształizowała się ona w maleńkie rurki i była biała jak śnieg, co było dowodem jej wielkiej czystości. Wleliśmy do kotła około ośmnastu garncy wody, z której po wygotowaniu otrzymaliśmy około sześciu kwart soli, co dowodziło, że solanka z naszego źródła zawierała stosunkowo więcej soli, niż woda morska.

Skorośmy wydostali z kotła sól, która na dnie jego osiadła, napełniliśmy go wodą na nowo i zawiesili nad ogniem. Ognisko posłużyło nam do czegoś więcej, nietylko do warzenia soli; oto do zgotowania obiadu. Tym razem, dzięki odkryciu, które nas zaopatrzyło w najniezbędniejszą przyprawę, żywność nasza była smaczna, a apetyt olbrzymi.

Gdyśmy siedzieli naokoło kotła, oczekując wyparowania zawartej w nim wody, w niedalekiej od nas odległości dał się słyszeć silny krzyk, po którym poznaliśmy niebieską sójkę. Nie było to nic nadzwyczajnego słyszeć tego ptaka, krzyącego wśród białego dnia, bo sójki należały do tego

rodzaju skrzydlatych mieszkańców tych okolic, że je na każdym prawie kroku spotykać było można. Ale krzyk jej był niezwykajny, zdradzający, że się stało coś wyjątkowego w powietrzu. Krzyk taki wydają sójki wtedy, gdy w pobliżu ich zjawia się straszny dla nich nieprzyjaciel, Wiedziałem o tem i wyteżyłem uwagę na okolicę, co także uczynili i moi towarzysze.

Spojrzeliliśmy w stronę, z której krzyk pochodził. Gałęzie drzewa, dosyć nisko wzniesione nad ziemią, drżały pod ruchami ptaka, który niespokojnie przelatywał z jednej na drugą. Nie ujrzeliliśmy nic więcej pod drzewem, ani pośród jego konarów. Spojrzawszy jednak baczenie naokoło drzewa, spostrzeegliśmy to, co wyrwało krzyk trwogi z piersi ptaka. Był to wąż, czołgający się wolno po ziemi, pełznący po zeschłej trawie i wśród ziół, bez najmniejszego szelestu, straszny postacią i odrażający. Jego żółtawe ciało, upstrzone czarnymi plamami, odbijało promienie słoneczne w kratkach swej skóry. Podnosił się ustawicznie i opuszczał, przez ruch powolny ale ciągły, z jakim postępował naprzód. Pełznął prawie w linii prostej, z głową wzniesioną nad powierzchnię trawy i ziół. Co kilka kroków zatrzymywał się, pochylał głowę płasko przed siebie, wznosił ją wysoko do góry i obróciwszy ją w kilku ruchach na obie strony, pochylał znowu, odgarniał kwiaty i liście czerwonym swym językiem, jakby szukał nowej drogi i czołgał się dalej. Ogon jego zakoń-

czała narośl, długa prawie na stopę, podobna z powierzchni do nagromadzonych ziarn różańca, nierównych i żółtawych. Mielśmy przed sobą straszego węża zwanego grzechotnikiem, a u naturalistów *crotalus horridus*.

Ostrzegłem swoich towarzyszków i skupiłem rodzinę, zwoławszy psy, aby je uchronić od niebezpieczeństwa. Słyszałem niegdyś, iż grzechotnik ma władzę czarowania stworzeń, na które napada. Mielśmy sposobność przekonać się o prawdzie podobnych pogłosek. Czyli przyczołgał się, aby oczarować biedną sójkę?... Obaczymy.

Wąż przybliżył się do ptaka, który znajdował się nad nim. Sójka przelatywała z gałęzi na gałąź, z drzewa na drzewo, krzycząc z całych sił. Ani ona, ani wąż nie spostrzegli nas.

Grzechotnik przyczołgał się do stóp jednej z magnolii. Obszedłszy ją naokoło, jakby dla rozpoznania miejsca, zwinął się zwolna w kłęb kształtu konicznego, tuż przy pniu drzewa. Jego ciało w takiej pozycji podobnem się stało do zwiniętej liny, jaką zawsze widzieć można na pokładach okrętowych. Ogon jego wystawał ze swą naroślą z pod spodu, głowa zaś, wywinięta ku górze, spoczywała na ostatnim skręcie cielska. Oczy jego pokryły się powieką mglistą... zdawał się zasypiać.

Sądziłem, że nie ujrzymy nic więcej nad to, cośmy dotąd widzieli, podniosłem się więc, aby wziąć karabin i strzelić do węża, gdy ruch tej straszliwej gadziny, ruch prawie niedostrzegalny,

przekonał mnie, że grzechotnik bynajmniej nie zasypia, lecz czuwa i czyha. Na co?... Spojrzałem na drzewo i spostrzegłem, że na jednym z nich, na tem właśnie, przed którym leżał grzechotnik, wiewiórki przygotowywały sobie gniazdo. Miało ono dziurę w pniu, na znacznej wysokości nad ziemią. Kora pod tą dziurą była jakby wygładzona i zdrapana, co stało się zapewne przez wdrapywanie się do otworu gniazda biednych zwierzątek. Takie same ślady wdrapywania się widoczne były na drzewie od samej jego podstawy aż do pierwszej gałęzi. Wiewiórki to najniezawodniej obrały sobie tedy drogę do gniazda, a droga ta przechodziła właśnie tuż przed splotami grzechotnika, tak że wiewiórka nie mogłaby przejść tedy, nie będąc napadniętą przez groźnego nieprzyjaciela. Stałem nieporuszony, aby wiedzieć, do czego doprowadzi czajenie się gadu... Przyznam się, że oczekiwanie tego, co nastąpić mogło, sprawiło, że uderzenia serca mego były silniejsze i żywsze. Moi towarzysze w głębokim milczeniu spoglądali to na drzewo, to na węza, a wszyscy czuliśmy instynktownie, że ujrzemy coś niezwykłego.

Na drzewie było cicho i spokojnie. Po kilku chwilach z otworu gniazda pokazała się główka zwierzątka, które jednak nie wyszło. Bardzo być może, że wiewiórka ta spostrzegła nas, co zresztą było łatwym, bo z góry dobrze nas widzieć było można. Jeśli nas spostrzegła, niezawodnie tedy

widok nasz zatrzymał ją na drzewie i sprawił, iż się nie odważyła zejść niżej.

Tymczasem o jakie kilkadziesiąt kroków od drzewa dał się słyszeć szelest, który zwrócił naszą uwagę. Spojrzeliśmy w tę stronę i spostrześliśmy inną wiewiórkę, biegnącą w kierunku drzewa. Biegła ona z całych sił, to przeskakując przez zwalone na ziemi pnie, to omijając rosnące na drodze krzewy i krzaki. Zdawało się, że ucieka przed gwałtownym pościgiem. W istocie była ona ściganą, i w kilka chwil spostrześliśmy inne zwierzę, które usiłowało ją dogonić. Zwierzę to było długie, zwinne, dwa razy większe niż wiewiórka, a futerko miało żółte, świetnej barwy. Poznałem w niem łasicę.

Obadwa zwierzęta biegły z całą najmożliwszą szybkością.

Wąż tymczasem rozwarł swą szeroką paszczę. Jej niższa część dotykała się jego piersi, gdy tymczasem wyższa sterczała wysoko. Język wysunął naprzód; oczy jego błyszcząły jak dwa dymanty, a całe ciało drgnęło ruchem, zdradzającym, że gad gotowym jest rzucić się na swą ofiarę. W tej chwili zdawał się dwa razy większym niż zwykle.

Wiewiórka biegła do drzewa, rzucając spojrzenia pełne trwogi poza siebie. Przebiegała z szybkością błyskawicy, gdy naraz głowa węża, rzucona z siłą i gwałtownością, uderzyła ją w biegu.

Uderzenie to było tak szybkie, że zdawało się iż wiewiórka nie została nawet dotkniętą.

Dosięgnąwszy pierwszej gałęzi, zwierzątko poczęło się wdzierać coraz wolniej; po krótkiej chwili zatrzymało się ono. Jego tylne nóżki zachwiały się i ześlizgnęły po gładkiej korze. Ciało wiewiórki poczęło drgać i zawisło na krótko na gałęzi, ale wnet przednie łapki straciły władzę i zwierzątko spadło w otwartą paszczę grzechotnika.

Łasica, spostrzegłszy węża, zatrzymała się w biegu na pewną od niego odległość. Ciało jej, cofnięte w tył, zdawało się gotować do rzutu. Mruczenie gniewu i wściekłości, że jej odebrano należną zdobycz, zdawało się przepowiadać walkę bliską i krwawą. Wąż, spostrzegłszy niespodziewanego przeciwnika, oczekiwał napadu z rozwartemi szczękami. Ciało nieżywej wiewiórki leżało tuż przy nim, a łasica, gdyby jej przyszła ochota porwać zdobycz grzechotnika, musiałaby pierwej spotkać się z jego paszczą, uzbrojoną w ostre, miażdżące zęby.

Do walki jednak nie przyszło. Łasica ulękła się groźnego nieprzyjaciela i po chwili, zawróciwszy się w ruchach ostrożnych i kocich, zniknęła pośród drzew i krzaków.

Wąż wkrótce rozwinął sploty swojego ciała i, zbliżywszy się do zabitej wiewiórki, począł ją przygotowywać do pożarcia. Rozciągnąwszy ją na ziemi w całej jej długości, w taki sposób, że



J. GAUCHARD. SC.

Był to widok równie ciekawy, jak przejmujący.

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

jej głowa znajdowała się naprost jego paszczy, poczał ją gładzić śliną, którą obficie wydzielal jego język.

Podczas gdyśmy się z ciekawością przyglądali przygotowaniom do uczyty grzechotnika, szelest jakiś, wychodzący z pośród drzew i liści, nieopodal od miejsca, na którym znajdował się wąż, zwrócił naszą uwagę. Na dwadzieścia stóp nad głową grzechotnika olbrzymia *liana* przerzuciła swą gałąź z drzewa na drzewo. Była ona gruba jak ręka ludzka, okryta liśćmi zielonymi i klinowatymi kwiatami karmazynowej barwy, które zdawały się do niej należeć. Z tymi kwiatami i liśćmi mieszały się inne, pozwijane i pokręcone nawzajem, a wśród nich mogłem rozpoznać kwiaty cyprysu. Pośród nich poruszało się jakieś ciało żywe. Wyteżyłem wzrok, aby rozpoznać ten poruszający się przedmiot. Było to cielsko węża, tak grubego, jak olbrzymia *liana*.

Byłby to drugi grzechotnik?... Nie, ponieważ grzechotniki nie czołgają się po drzewach. Co więcej — barwa ciała nowego przybysza była zupełniej niepodobna do barwy ciała grzechotnika; była ona czarna, połyskliwa i jednostajna. Był to więc czarny wąż *boa, constrictor* północny.

Gdyśmy go ujrzeli, ciało jego otaczało lianę spiralnymi splotami, niby olbrzymia lina, okręcona na drągu. Po chwili poczał się on odkręcać, w taki sposób, iż ani na chwilę nie puścił się gałęzi, ale na niej wciąż zostawał. Po kilku obrotach stra-

szny wąż trzymał się gałęzi jednym tylko spletem, a wówczas gałąź liany wyglądała tak, jakby była podwójna, zrosnięta z dwóch połączonych razem. Wszystkie te ruchy wykonane były z największą ostrożnością i bez najmniejszego szelestu. Zdawało się, że czarny wąż uważał ciągle na to co się dzieje nisko, pod drzewami, i aby nie spłoszyć uczującego grzechotnika, zachowywał się jak najciszej.

Przez ten czas poprzedni wąż przygotował do pożarcia nieżywą wiewiórkę i poczynił biesiadę. Po kilku chwilach głowa i połowa ciała zwierzątka znalazły się w jego paszczy.

Ale szkaradny i straszny żarłok doznał niespodziewanej przerwy w ucztach, którą sobie zastawił z tak małym trudem. Czarny wąż, spuszczać zwolna swoje ciało z gałęzi, na której był zawieszony z pomocą jednego splotu ogona, zawisł nad grzechotnikiem tak, że głowa jego znalazła się wprost głowy niespodziewanego gościa.

Po małej chwili ujrzeliśmy, jak czarny wąż, puściwszy się — spadł na ziemię, i szybki jak myśl, porwał w uściski swoich zwojów centkowane ciało przeciwnika.

Był to widok równie ciekawy, jak przejmujący. Dwie te straszne gadziny, splecione razem, wściekle i zajadle, tarzały się wśród trawy i krzaków, wyprawiając nam krwawe widowisko. Nie było wielkiej różnicy w rozmiarach ich ciała. Czarny wąż był może dłuższy o jaką stopę, ale

ciało jego było miększe, zwinniejsze. Posiadał on wyższość, która się też bardzo prędko objawiła; grzechotnik był w ruchach powolniejszy, cięższy, kiedy tymczasem jego przeciwnik szybki i gwałtowny. Zwijał się i rozwijał z prędkością zadziwiającą, uderzając z siłą ciałem i krępując niemwroga. Za każdym nowym uściskiem jego splotów zdawało się, że grzechotnik słabnie i omdlewa. Ciało jego kurczyło się, ściągało konwulsyjnie i widocznie ulegało ciosom czarnego węża.

Grzechotnik miał jedną tylko broń skuteczną: zatrute kły. Tej broni nie mógł on w tej chwili używać, bo uwięzła w ciele wiewiórki, sterczącem w jego gardle. Ogon napół pożartego zwierzątka chwiał się ciągle nad paszczą węża.

Ruchy walczących płazów stawały się co chwila powolniejsze. Pierwsze chwile gwałtownego napadu przeszły — ale walka uporna toczyła się ciągle. Zęby czarnego węża zatapiały się w ciele grzechotnika; jego ogon wznosił się ustawicznie do góry i opadał, zadając mu z niesłychaną szybkością powtarzane razy. Ciosy te, jak się pokazało, były wymierzane silnie i trafnie... Walka się skończyła, a grzechotnik był bez życia.

Mimo to przez kilka minut wąż czarny uderzał jeszcze... nie był pewny zwycięstwa. Zdawało się nadto, że czuje rozkosz w zadawaniu ciosów... Gdy się wreszcie przekonał, że jego przeciwnik naprawdę nie żyje, — rozplątał się z jego martwych uścisków i przyczółgał się do jego paszczy.

Straszny płaz, zwyciężywszy wroga, sięgał po jego łup i chciał pożreć zastawioną przez niego ucztę, ale Kudzo, który był pogromcą węzów, rzucił się i przebił go swoją lancą.

XXV.

Drzewo cukrowe.

Okolo wieczora wróciliśmy do swej osady, przywożąc ze sobą, na grzbiecie Pompa, znakomitych rozmiarów wór soli białej i czystej. Zapas jej mógł nam wystarczyć do nasolenia upolowanego mięsa, a nawet na codzienne potrzeby w ciągu wielu tygodni. Gdyby nam jej zabrakło, wiedzieliśmy, że z łatwością dostać jej można.

Wieczorem, gdyśmy siedzieli przy wieczerzy, Henryk, który przez cały dzień cierpiał czyścowe męki ciekawości, niecierpliwiąc się, że matka nie chce udzielić nam wiadomości o swem odkryciu — prosić ją począł bardzo gorąco, ażeby dłużej nie zwłóczyła.

— Moja droga mamó — rzekł, przysuwając się do Maryi niespodzianie — co to może być, o czem rano wspomniałaś? Coś takiego znalazła, co możnaby porównać z mojem odkryciem soli?

— Wszak wyraźnie powiedziałam, że uwiadomię was o tem w chwili, gdy zobaczę, że myśli wasze są smutne i że jesteście zniechęceni niepowodzeniem, a to dlatego, by was wtedy rozradować i ożywić.

— Och!... więc powiedz to natychmiast, moja mammo!... — rzekł błagająco. — Zresztą — dodał, spoglądając niby smutnie — myśli moje są właśnie skolatane... jestem zniechęcony niepowodzeniem...

— Aha!... — zawołał, śmiejąc się, Franciszek — dopiero się teraz do tego przyznajesz. To niezawodnie dzisiejsze polowanie tak cię zgnębiło. Dodaj też co i o swoim nosie, który zapewne bardziej jest skolatany, niż twoje myśli.

Słowa Franciszka, przypominające bratu ranne zdarzenie ze zwierzęciem, przed którym uciekać musiał, popsuły mu dobry humor. Teraz rzeczywiście był smutny, co widząc, matka poczęła mówić.

— A więc dobrze, powiem wam wreszcie com odkryła, choćby dlatego, by ucieszyć Henryka, ofiarę niepowodzeń i zawodów. Podczas gdyśmy przechodzili dolinę nieopodal od lasu, spostrzegłam liście drzewa niezmiernie pięknego, a jeszcze bardziej pożytecznego. Należy ono do gatunku, rosnącego najzwyczajniej w pasie umiarkowanym, a najobficiej rośnie w krajach najcieplejszych tego pasa. Czyście zauważyli te proste drzewa, z liśćmi barwy czerwonej i świetnej?

— Tak, mammo, — odrzekł Franciszek — wiem nawet o jednej okolicy doliny, gdzie takich drzew rośnie bardzo dużo. Jedne z nich są karmazynowe, innych znów liście są koloru pomarańczowego.

— To zapewne te same drzewa, o których

i ja mówię. Kolor liścia karmazynowy pochodzi stąd, że teraz jest jesień, i że pod jesień barwa liści schnących zawsze się zmienia. W porze wcześniejszej liście te są barwy zielonej przepysznej z wierzchu, z pod spodu zaś są białe.

— I ja także zauważyłem te drzewa — odezwał się niespodziewanie Henryk. — Są to drzewa bardzo piękne, to prawda, ale mimo to...

— Ale?... — pochwyciła matka.

— Ale są dla nas całkiem nieużyteczne. Najpierw są za grube, żebyśmy je ścinać mogli, a potem, o ile zauważyłem, nie wydają żadnego owocu. Cóż możemy mieć z tych przepysznych napozór drzew?

— Cierpliwości, panie Henryku, — nie śpiesz się tak bardzo z sądem o rzeczy, o której nic a nic nie wiesz. Rośliny mają rozmaite rzeczy, z których można korzystać, oprócz drzewa i owocu.

— A więc z liści?... — rzekł niecierpliwy chłopiec. — Cóż za pożytek z tych liści?

— Z liści tych drzew nie odniesiemy żadnego pożytku, to prawda, — rzekła matka — ale nie mówiliśmy jeszcze o innych częściach.

— A więc i nie z kwiatów, tego jestem pewny; z owoców także nie, jeżeli tak można nazwać małe ziarnka w błonce zamknięte, niby muchy w pajęczej sieci.

— A jednak są to rzeczywiście owoce tego drzewa.

— A cóż można z nich zrobić? Całe to drzewo zdaje się podobne do zwykłego jaworu.

— Masz najzupełniejszą rację, bowiem drzewo, o którym mowa, należy do tej samej rodziny, co i pospolity jawór. A czy nic więcej godnego nie posiadają drzewa?

— Nic — tak mi się zdaje, chyba... chyba sok?...

— A!... więc sok! — odrzekła matka z naciśnięciem.

— A więc to ma być klon cukrowy?... — wykrzyknął Franciszek.

— Tak klon cukrowy — potwierdziła matka — I cóż ty na to, panie Henryku?

Ostatnie wyrazy Maryi sprawiły niesłychane wrażenie na całym towarzystwie. Franciszek i Henryk rozprawiali o klonie cukrowym, którego nie widzieli nigdy w życiu, dając mu nazwę drzewa najpożyteczniejszego ze wszystkich drzew na świecie. Najmłodsze dzieci, Marya i Ludwika, nie wiedziały wprawdzie co to znaczy klon, ale uderzył je wyraz cukier, który im był bardzo znany i budził najmiłsze wrażenia. Wyraz ten wywołał w ich fantazyi miły obraz łakoci i lodowatego cukru. Kuzdzo nawet, który nigdy się nie spotkał z klonem, ponieważ drzewo to nie rośnie w krajach, w których dotąd przebywał, lubiąc cukier tak jak i małe nasze dziewczęta, wiadomość o klonie przyjął z oznakami radości.

Skoro oznaki najżywszego zadowolenia zaczęły

przycichać, Marya zabrała głos, aby nas obznajomić z naturą i użytecznością drzewa.

— Klon cukrowy — mówiła ona — odróżnia się bardzo wyraźnie od innych drzew przez świetną barwę swej kory i przez liście dzielące się na pięć części, które są wśród lata najprzepyszniejszej zieloności, w jesieni zaś, jakście to widzieli, zmieniają barwę na karmazynową lub pomarańczową. Jest on podobny do wielkiego dębu angielskiego z pnia, z gałęzi i z gęstego pokrycia liśćmi. Jego drzewo jest niezmiernie twarde; używają go na meble i do budowy okrętów, młynów i różnych maszyn. Ale największa użyteczność tego drzewa polega na jego soku. Przez cudowne rozporządzenie natury znajduje się on w krainach, w których nie rośnie trzcina cukrowa, a tym sposobem mieszkańcy ich nie są pozbawieni przyprawy, prawie równie jak sól potrzebnej. Każde drzewo klonowe wydaje od trzech do czterech funtów wybornego cukru. Sok cukrowy najkorzystniej zbierać na początku wiosny, ponieważ w zimie lub w lecie wcale ciec nie chce. Ciecze także w jesieni, ale nie tak łatwo i obficie, jak na wiosnę. Możemy jednak zaopatrzyć się jeszcze w zapasy cukru, które nam wystarczą do nadejścia przyszłej wiosny.

— Ale, proszę mamy, — rzekł pytająco ciekawo Henryk — jakim sposobem będziemy zbierali ten sok?

— Sposób zbierania soku i otrzymywania

z niego cukru jest nadzwyczaj prosty. Należy wywiercić dziurę w pniu drzewa, na wysokości około trzech stóp nad ziemią. W każdą taką dziurkę wkłada się trzciniowa rurka, która służy jako rynienka dla ściekającego soku. Pod tą rynienką stawia się naczynie, w które sok spływa. Spływa on kropla po kropli, a gdy się uzbiera odpowiednia ilość we wszystkich naczyniach, płyn tym sposobem otrzymany zlewa się do jednego naczynia i gotuje się w niem zupełnie tak, jak to robiliśmy z solą.

— A teraz, panie Henryku, — dodała moja żona na zakończenie swych słów — trzeba cokolwiek cierpliwości. Skoro nadejdzie pora, sam się przekonasz naocznie i dotykalnie o prawdzie wszystkiego, com mówiła.

Henryk nie potrzebował długo czekać. W trzy dni potem cienka warstwa śniegu pokryła ziemię, a pogoda była prześliczna, chociaż powietrze nieco się ochłodziło. Był to czas stosowny do zbierania soku z cukrowego klonu, i postanowiliśmy zeń korzystać.

Kudzo przygotował już ze dwadzieścia kilka naczyń zrobionych z drzewa tulipanowego, które było najodpowiedniejsze do tego celu. Rurki trzciniowe były także przygotowane, co przyszło z wielką łatwością. Udawszy się więc do drzew, porobiliśmy w każdym z nich otwory zapomocą świdra, powkładaliśmy w nie rurki i podstawiliśmy pod nie naczynia. Po jakimś czasie sok drzewny zaczął

spływać rurkami kropla po kropli; później trochę płynął już wolnym i cienkim strumieniem i zaczął się coraz obficie zbierać w podstawionych naczyniach. Zlaliśmy go niezadługo do kubła. Smak tego płynu był przepyszny; dzieci piły go chciwie, a szczególnie dziewczęta, które nie myślały powiedzieć »dosyc«. Podpaliliśmy pod kotłem żywy ogień i sok klonowy zaczął się gotować, jak poprzednio solanka. Dolewany ciągle do naczynia, wypełnił je wkrótce.

Każdy z nas miał powierzony sobie do spełnienia obowiązek. Kudźo biegał z wiaderkiem od drzewa do drzewa, zbierając i znosząc płyn zebrany w podstawionych naczyniach, Marya zaś i ja pilnowaliśmy ognia i gotującego się klonowego soku. Skoro sok wygotowywał się, trzeba go było mieszać, aby zapobiedz zawczesnemu krystalizowaniu się. Dolewaliśmy wówczas płynu i gotowanie szło dalej. Gdy cukier poczynął się osadzać, wybieraliśmy go łyżkami z kotła do mniejszych naczyń, w których gęstniał. Miał kolor bardzo ciemny. Część płynu, która się nie dała skrytalizować, wkładana była także w naczynia, mogła bowiem być używaną i pożyteczną, jak najlepszy syrop przyjemniejszy w smaku niż wyrabiany w fabrykach.

Franciszek i Henryk przeznaczeni byli do odbywania placówki z bronią w ręku, i do strzeżenia naczyń podstawionych pod drzewa. Gdyby to było na wiosnę, moglibyśmy zebrać daleko więcej

cukru klonowego, w porze jednak obecnej było to niemożliwem, z przyczyny, że płyn klonowy płynął krócej daleko niż na wiosnę.

Nie wzięliśmy zresztą z domu nic więcej nad to, co nam do naszego zajęcia nieodzownie było potrzebnem. Mieliśmy ze sobą rodzaj namiotu, zrobionego naprędce z płóciennej budy naszego wozu, i namiot ten służył nam jako jedyne schronienie pośród chłodnych jesiennych nocy.

Miejsce, w którym się to wszystko działo, otrzymało nazwę *Pola cukrowego*. Pobyt wśród lasów i puszczy przechodził nam bardzo przyjemnie; natura precudna w swojej krasie i bogactwie niesłychanem, otaczała nas ze wszystkich stron. Nad głowami mieliśmy gałęzie olbrzymich drzew, splątane i zagęszczone tak bardzo, że promienie słońca nie dochodziły nas. Wśród tych gąszczów nieprzebytych, miliardy ptactwa rozrywały nas swoim śpiewem. W nocy ta muzyka pełna życia i radości zmieniała się... słyszeliśmy zewsząd wycia wilków, wspaniały ryk lwa, albo krzyk szakali. Dla odstraszenia tych dzikich, strasznych zwierząt paliliśmy całymi nocami suty ogień; był to najlepszy środek zabezpieczenia się od napadu.

Robota wreszcie nasza w tych stronach kończyła się: sok klonowy płynął coraz wolniej, a wkrótce płynąć przestał. Wówczas porzuciliśmy *Pole cukrowe*, zebrawszy około stu funtów cukru.

XXVI.

Kawa i chleb.

Jednego wieczoru, gdyśmy siedzieli przy stole, spożywając ostatni dzienny posiłek, Marya oświadczyła, że nie mamy już ani jednego ziarnka kawy. Nowina ta sprawiła na wszystkich przykre wrażenie. Ze wszystkich zapasów, jakie wywieźliśmy z Saint-Louis, zapas kawy okazał się dla nas najużyteczniejszym.

— To trudno — rzekłem — wysłuchawszy niezbyt przyjemnej wieści, postaramy się obchodzić bez kawy. Ponieważ mamy mięso, z którego można robić dobry rosół, przeto kawa nie jest wcale nam potrzebna. Iluż ludzi zazdrościłoby nam mogło zbytku, który nas otacza!

— Proszę ojca — rzekł Henryk po chwili — w Wirginii zdarzyło mi się nieraz widzieć, jak nasi czarni gotowali kawę z palonej kukurudzy. Nie była ona zła, zapewniam państwa, bo ją piłem. Niechaj Kudžo zaświadczy.

— Tak, panie Henryku — rzekł Kudžo — nasza kawa była paradna!...

— A widzisz, drogi ojcze!

— Co widzę?

— Co?... alboż nie możemy naśladować czarnych i gotować kawę z kukurudzy?...

— Chłopcze — rzekłem surowo — naucz się przedewszystkiem myśleć nad tem, co masz powiedzieć. Kawa jest dla człowieka częstokroć rzeczą

zbytku, ale zastanowienie nad wyrzeczonymi słowami jest nieodzowną potrzebą wszystkich ludzi, a szczególnie rozsądnych. Gdybyśmy mieli kukurudzę, nie byłoby trudno palić ją i gotować w miejsce kawy, — na nieszczęście nie mamy ani ziarnka tej użytecznej rośliny. Na dwieście kilometrów wokoło nie znajdziesz ani jednego ziarneczka jakiegokolwiek zboża.

— Ależ ojcze, ja je znajdę tutaj i to niejednemu. Nie będę potrzebował iść nawet stu kroków, aby to uczynić.

— Zdaje ci się chłopcze, i niezawodnie wzięłeś jakąś roślinę za zboże, którego niema ani źdźbła na całej naszej dolinie.

— Ojcze!... zboże, o którym mówię, nie wyrosło w tej dolinie, przywędrowało ono z nami z Saint-Louis... znajduje się w głębi wozu.

— Co ty mówisz?... ziarna kukurudzy w głębi naszego wozu!... Henryku, czy ty jesteś tego pewny?...

— Najpewniejszy, kochany ojcze. Widziałem je dziś rano w starym skórzanym worku.

— Chodźmy, chodźmy!... — zawołałem na Kudza — dajcie światła!...

Za chwilę stałem obok wozu, który znajdował się nieopodal od drzwi naszego domu. Wdrapałem się do jego wnętrza; serce biło mi gwałtownie. Wewnątrz znajdowała się stara bawola skóra i zaprząg naszego wołu. Odrzuciłem to wszystko, a wówczas ujrzałem spory i gruby worek, taki

właśnie, jakiego się używa w Stanach Zjednoczonych do przechowywania kukurudzy. Poznałem go; był to ten sam, w którym zabraliśmy z Saint-Louis ziarno dla konia i wołów; zapomniałem o nim od chwili, w której zwierzęta nasze mogły mieć świeżą paszę na zawołanie. Wziąłem go, a sięgnąwszy ręką do jego wnętrza, wydałem okrzyk radości... ręka moja poczuła pod dotknięciem ziarna kukurudzy!... Prócz tego, po staranych poszukiwaniach, ujrzyliśmy ziarna tej rośliny porozsypywane na dnie wozu i po wszystkich jego zakątkach. Pozbierałem je bardzo troskliwie i wysypałem je do worka; nie chciałem stracić ani jednego ziarneczka. Następnie zaniósłszy worek do domu, wypróżniłem go na stół. Jak Henryk zapewniał, ujrzyliśmy z radością, że posiadamy z kilkanaście garncy kukurydzy!

— Teraz więc — rzekłem — mamy istotnie chleb!

Było to wielkie szczęście dla mojej żony; doład piekliśmy żołądź bukowe; zbieraliśmy strączki akacyi kolczastej i zastępowaliśmy nimi chleb, którego nie posiadaliśmy wcale; staraliśmy się także i innymi roślinami zastąpić zboże... to wszystko jednak nie przypominało nawet chleba!...

Zima pod szerokością, w jakiejśmy się znajdowali, jest niezmiernie krótka. Wkrótce mogliśmy siać swoje zboże. Mieliliśmy ziarna tyle, że można będzie zasiać kilkanaście prętów ziemi. Dojrzeje na gruncie w przeciągu ośmiu tygodni. Gdy

przyjdzie następna zima, będziemy go mieli i na zapas i na zasiew.

Podczas gdyśmy siedzieli naokoło stołu, wybierając ziarna kukurydzy, jeden z chłopców zawołał:

— Pszenica, pszenica!...

Spojrzałem, aby się zapewnić, że mówił prawdę. W istocie, wśród dużych złotych ziarn kukurydzy, znalazły się drobne pszeniczne ziarnka. Przetrzęsawszy bacznie worek, znaleźliśmy ich jeszcze więcej. Po starannem rozdzieleniu ziarn obu gatunków zboża, przekonaliśmy się, że liczba ziarenek pszenicy, które posiadamy, przechodzi sto! Było to niezawodnie bardzo mało, aby z tem rozpocząć uprawę, ale musieliśmy się rządzić zasadą: ziarnko do ziarnka, a będzie miarka.

— Widzicie — rzekłem do swej rodziny — że Opatrzność opiekuje się nami. Tutaj, wpośród niezmierzonej pustyni, Bóg nam daje wszystko, bez czego życie ludzkie obejść się nie może. Teraz, z odrobiną cierpliwości, sami możemy zopatrywać się w zapasy żywności i sami je wytwarzać.

— Będziemy jeszcze mieli ciasto owocowe — rzekł Henryk. — Owoców nam nie zbraknie. Znalazłem dzikie śliwki, wiśnie i jeżyny tak wielkie, jak mój palec.

— Tak!... a zatem obejdziemy się bez kawy!

— Nie, nie!... — odrzekli chłopcy.

— Ależ będziecie ją mieli — odezwała się z uśmiechem matka.

— Jakto?... czy znowu jakie drzewo?... — zapytał Henryk.

— Tak jest, znowu drzewo.

— Ale niezawodnie nie kawowe.

— Nie, ale drzewo z owocem, który kawę doskonale zastąpi.

— Drzewo z owocem, który kawę zastąpi!... Ja sędzę, mamó, że podobne drzewo rosnać mogłoby tylko w krajach bardzo gorących.

— Nie zapominaj, Henryku, że nie mówię o małym drzewku, wydającym ziarnka kawy — przeciwnie, drzewo, o którym mówię, jest drzewem wielkim, zaopatrzonym w ziarna, z których mamy użytkować. Oto próbka tych ziarn.

Mówiąc te słowa, Marya położyła na stole strąk niepospolitych rozmiarów, około dwunastu cali długości, zakrzywiony w kształcie sierpa, który zdawał nam się podobnym do strączka akacyjowego, ale różnił się od niego rozmiarami. Jak tamten, zawierał on ziarna otoczone miąższem; ziarna były duże, szare. Wysuszone, upalone i ugotowane, dały napój, który w zupełności przypominał kawę i mógł ją bardzo dobrze zastąpić.

— Drzewo — rzekła Marya — z którego zebrałam te strączki, rośnie w większej połowie krajów Ameryki; czyście je zauważyli?

— Zauważyłem je — odrzekł Franciszek; — jego kora jest różowa i tu i owdzie okryta jest

wielkimi łuskami. Gałęzie są dziwne... tu i owdzie kończą się pieńkami, jakby umyślnie powyrzynanymi, co nadaje drzewu pozór niepospolitej grubości. Czy tak, mamó?

— Najzupełniej. Jest to drzewo nazwane w Stanach Zjednoczonych *stumptree*, jego zaś nazwa botaniczna jest *gymnocladus*, co znaczy odarte gałęzie, ponieważ w czasie zimy, drzewo to pozbywa się swoich liści, jak się zresztą o tem możecie teraz przekonać. Znane jest także pod nazwą drzewa kawowego, ponieważ pierwsi podróżnicy, jacy zawitali w tej części świata, nie mogąc się zaopatrzyć w prawdziwą kawę, używali jego ziarn, ażeby ją sobie niemi zastąpić.

— Ach — zawołał Henryk — i my mamy perspektywę zastąpienia jej sobie, ale jakże ona daleko!...

— Panie Henryku — rzekła matka — sądzę, że nie należysz do ludzi, których niczem zadowolić nie można, i którzy wreszcie nie warci są, aby się nimi niebo opiekowało. Pomyśl tylko, ilu to jest takich na świecie, którzy widzą chleb, patrzą na niego, mają go tuż przed oczyma, a jednak nigdy go nie posiadają i wiedzą o tem! Bardzo być może, że w tej chwili jakie nieszczęśliwe dziecko, na ulicach dalekiego miasta błądzące, staje przed sklepem z chlebem i widzi za szybami jego rozłożone bochenki. Głód je dręczy... trzeba tylko wyciągnąć rękę, aby posiąść to, bez czego nikt się obejść nie może... a jednak biedne dziecko nie do-

tknie ustami chleba, który pożerają jego oczy. Patrzy na niego dlatego tylko, aby uczuć straszną rzeczywistość wzmagającego się głodu! Henryku, moje dziecko, zastanów się nad tem i powiedz, czy nie masz prawa być zadowolonym ze swego stanu?...

— Tak mam, to prawda — rzekł cichym głosem Henryk; — powinienem cieszyć się... przebac mi!

— Dobrze, przebaczam, a ponieważ widzę, że czujesz to, co w tej chwili wyrzekłeś, powiem ci jeszcze w nagrodę o innym drzewie, równie ciekawem i pożytecznem, którego jednak dotąd nie znasz.

— Drzewo chlebowe zapewne — odrzekł. — Nie, to nie to, ponieważ je znam.

— Można je tak nazywać, ponieważ podczas długich dni zimy zaopatruje ono dzikich mieszkańców swoich okolic w chleb, nie jest to jednakże chleb, ale substancja, która ma do niego wiele podobieństwa.

— Nie słyszałem nigdy o czemś podobnem.

— Bardzo wierzę. Drzewo to jest sosną.

— Jakto?... sosną z owocami?

— Alboś nie widział owoców na sośnie, szczególnie w odpowiedniej porze?

— Więc mama mówi chyba o szyszkach?

— Tak, i to są właśnie owoce sosny. Są to ziarnka, które i na drzewie, o którym mowa, stanowią także jego owoc. Na orzechach naprzykład

ziarnka, które są zarazem nasieniem, są zarówno owocem. To samo należy rozumieć o roślinach jarzynowych, naprzykład o fasoli i grochu. Na innych roślinach owoc jest substancją, otaczającą ziarnka nasienne, co zresztą widzieliście niejednokrotnie na jabłkach, gruszkach lub pomarańczach.

— Ale, droga mammo, nie powiedziałaś dotąd, jak można jeść te różowe rzeczy, które są owocem sosny.

— Te różowe rzeczy, o których mówisz, są szyszkami, osłoną kryjącą ziarnka nasienne przez pewną część roku. Otwierają się one jak orzechy, a wówczas wychodzą z ich wnętrza migdały, które są rzeczywistym owocem.

— Kosztowałem tych migdałów; są one niezmiernie gorzkie.

— Kosztowałeś owoców sosny pospolitej i masz zupełną słuszność pod tym względem; ale istnieją jeszcze inne gatunki, które wydają owoc bardzo przyjemny w smaku.

— Jakież są te drzewa?

— Jest ich wiele odmian. W żadnej części ziemi drzewa te nie znajdują się w takiej liczbie i takiej różnorodności, jak w okolicach i miejscach Wielkiej pustyni, wśród której przebywamy. W Kalifornii znajduje się sosna, nazwana przez Hiszpanów *colorado* czyli *czerwona*, dlatego, że pień jej przepiłowany jest koloru czerwonego. Są to jedne z największych drzew na świecie; dosięgają trzystu stóp wysokości. Góry Śnieżyste są pokryte la-

sami tych drzew. W górach tych znajduje się inny gatunek (*pinus Lambertiana*), jeszcze szczególniejszy przez niezmierną obfitość owoców, długich do półtorej stopy. Wyobraźcie sobie, co za przepyszny widok lasu tych drzew, zawieszonych olbrzymimi owocami, niby głowami cukru.

— To musi być wspaniałe!... — zawołali jednocześnie Henryk i Franciszek.

— Istnieje znowu inny gatunek — mówiła dalej matka — bardzo różniący się od poprzednich. Jest to małe drzewko, które dochodzi zaledwie czterdziestu stóp wysokości, i którego liście są o wiele żywszej barwy, niż liście innych gatunków sosny. Jej szyszki są większe, niż szyszki sosny pospolitej, ale ziarna albo migdały są tłusto-soczyste, jak orzech amerykański i mają bardzo przyjemny smak. Są one jadalne i stanowią pożywienie wielu ludzi przez część roku. Można je jeść surowe. Gdy są pieczone albo wysuszone, miele się je lub miażdży w moździerzu. Tym sposobem otrzymuje się z nich mąkę, która na pozór jest gruba i ordynarna, ale z której chleb wypieczony jest delikatny i smaczny. Drzewo to Meksykanie nazywają *pinia*, uczonym zaś znane jest pod nazwą *pinus monophyllus*.

— A czy drzewo to istnieje na tutejszej dolinie?...

— W dolinie nie, o ile mi się zdaje, ale spodziewam się, że je znajdziemy w górach. W dniu,

w którym przyszlismy na pole Antylopy, zdawało mi się, że je widziała rosnące w parowie.

— A zatem — rzekł Henryk — dlaczegoż nie udaliśmy się w góry, ażeby się o tem zapewnić?

— Uczynimy to wkrótce, pierwej jednak potrzeba wozu, któryby z łatwością dał się prowadzić po górach i rozdołach. Trzeba to uczynić jak najprędzej.

Ostatnie słowa znalazły potwierdzenie w ustach całego towarzystwa, ponieważ wszyscy pragnęli poznać otaczające nas okolice, a szczególnie góry, tak wspaniałe, tak majestatycznie wznoszące się przed nami.

XXVII.

Linia śniegów.

Wóz był skończony po upływie trzech dni. Nie mieliśmy żadnych trudności w jego budowie; najgłówniejsza jego część, to jest koła, były już gotowe, bo stary nasz wóz miał ich dwie pary. Większe, jako będące w lepszym daleko stanie, bardzo dobrze nam posłużyły. Kudzo zrobił korpus i dysze, zaprząg zaś mieliśmy także gotowy.

Wyjechaliśmy zaraz po wschodzie słońca, z sercem pełnem wzuszeń. Cała rodzina wyruszyła w podróż, oddalając się na jakiś czas, bynajmniej z góry nie oznaczony, od domu, do któregośmy już przywykli.

Marya z dwiema dziewczętami zajęła miejsce w wozie, na siedzeniu przygotowanym z siana i przykrytem palmowymi liśćmi. Pompo, który okazywał wyraźne zadowolenie, ciągnął wóz tak lekko, jakby w nim nie było żadnego ciężaru i zdawało się, że to jest dla niego prawdziwą zabawką. Kudzo kierował nim, co chwila wykrzykując swoje »wio! wio!...« Kastor i Polluks biegały na wszystkie strony, opatrując wszystkie nadbrzeżne krzaki i parskając nozdrzami nad każdym zagłębieniem ziemi.

Przeszliśmy wkrótce dolinę i wkraczaliśmy na wyżyny. Wierzchołek najwyższej góry wznosił się majestatycznie przed nami: promienie słońca, które się odbijały na jego czole tysiącznemi barwami, zlewały się precudnie w złoto i purpurę. Wyglądało to, jak gdyby deszcz róż spadł na śniegową powierzchnię. Śnieg teraz leżał na górze w większej ilości, niż wówczas, gdyśmy po raz pierwszy te strony ujrzeli, i opuszczał się niżej po bokach. Franciszek prosił, aby mu wyjaśniono tego przyczynę, co też matka uczyniła bardzo chętnie, tem bardziej, że ją doskonale znała.

— Im wyżej wznosimy się — rzekła — tem powietrze staje się rzadsze i zimniejsze. Na pewnej bardzo znacznej wysokości niepodobna jest żyć człowiekowi i zwierzętom. Jest to fakt niezaprzeczony i dowiedziony przez wszystkich, którzy się wdzierali na góry; wysokość tę oznaczają na trzy mile. Wielu odważnych ludzi, którzy chcieli do-

sięgnąć wyżej, znalazło śmierć. Tak samo jest we wszystkich okolicach ziemi, ale pod równikiem można się wznieść wyżej bez uczuwania takiego zimna, niż w sąsiedztwie biegunów. Toż samo odnosi się i do lata, w którym wyżej wznosić się można po górach, niż w zimie. Otóż jeżeli jest tak zimno na pewnej wysokości, że ludzie marzną w niej i umierają, cóż tedy dziwnego, że w niej śniegi nie topnieją? Bardzo prosty z tego wyprowadzić można wniosek, że musi być pewna granica, poza którą śnieg leży wiecznie i nigdy nie topnieje. Na takiej wysokości nawet nic innego nie pada, jak tylko śnieg. Gdy deszcz pada w dolinach, zauważono, że na górach warstwy śniegu rosna. Można się też domyślać, że deszcz, zanim upadł w dolinach, był pierwotnie na pewnej wysokości kryształkami śniegu, i że ten śnieg stopił się, gdy spadł w warstwy cieplejsze atmosfery i wówczas przybrał postać kropel deszczowych. Gdyby był śnieg nie napotkał w spadku swym gór, które go zatrzymały na wysokości, byłby spadł na ziemię w postaci deszczu.

— A zatem, mamó, — rzekł Franciszek — ta góra musi być bardzo wysoka, skoro na jej wierzchołku leżą cały rok śniegi?

— Czy tak sądzisz?

— Tak, mamó. Wszakże mówisz sama, że śnieg nie topnieje, ponieważ tam jest bardzo zimno, a zatem i bardzo wysoko.

— Ale jeżeli przypuścimy, że zamieszkujemy

okolice bieguna północnego, gdzie śnieg leży przez cały rok naokoło, a zatem i na poziomie morza, czy możemy także twierdzić, że góra jest bardzo wysoka?...

— Aha!... teraz rozumiem!... Obecność wiecznego śniegu na wierzchołku góry świadczy wtedy tylko o wielkiej jej wysokości, gdy się góra znajduje w okolicach gorących.

— Niezawodnie.

— Nasza góra zatem jest bardzo wysoka, ponieważ leży w kraju gorącym, i ponieważ okrywa ją śnieg, który na jej wierzchołku nigdy nie topnieje.

— Teraz masz zupełną słuszność. Pamiętacie zapewne, że gdyśmy po raz pierwszy tę górę ujrzeli, na jej wierzchołku było śniegu bardzo mało, i można nawet przypuścić, że topnieje on zupełnie przy wielkich, wyjątkowych upałach. Wnoszę po tem, że nie jest ona wyższa od wielu innych gór tej części ziemi, i że sięga zaledwie czternastu tysięcy stóp.

— Czy być może!... Wiedziałem jednak góry, które mi się zdawały tak wielkie jak ta, a przecież mówiono, że miały tylko siedm tysięcy stóp wysokości.

— Zapewne, ale to zależy od równiny, na jakiej się wznoszą. Równina, na której się znajdujemy teraz, może być wzniesioną nad poziom morza także na siedm tysięcy stóp.

Rozmowa została przerwana na chwilę. Sta-



4 Dory

Nawet ptak nie przylata ożywić tych samotnych,
martwych miejsc.

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

nęliśmy wszyscy, aby się przypatrzeć przepysznemu wierzchołkowi góry, sterczącemu przed nami. Wszystkich oczy zwróciły się ku niemu z zachwytem, a Franciszek niezadługo rzekł:

— Czyliż nie jest to dziwnem, że śnieg z taką regularnością okrywa wierzchołek góry, poczynając się od dołu na jednej wysokości, jak gdyby mu naznaczono miejsce pobytu linią, nakreśloną wyraźnie i starannie!

— Linia ta — rzekła matka — jest ciekawem zjawiskiem i słusznie to powiedziałaś; stworzyło ją prawo ciepła i zimna, o którym jużśmy mówili. Nazywa się ona *linią śniegów*. Pod równikiem linia ta sięga ogromnej wysokości, ale obniża się stopniowo, im od niego więcej się oddala. Przy biegunach, jak to już mówiłam, linia śniegu ginie, a śnieg pokrywa ziemię. Trzeba też wiedzieć, że sąsiedztwo morza bardzo wpływa na stan atmosfery. Jedna i ta sama góra ma inny klimat z jednej strony, a inny z przeciwnej.

Linia śniegu zmienia się stosownie do pory roku; jest inną w lecie a inną w zimie, jak zresztą widzimy to teraz, że opuściła się niżej z przyczyny zimna. Wszystko to łatwo pojąć i wytłumaczyć, bo przyczyna tego jasna i wyraźna.

Przyszliśmy wreszcie do stóp góry. Przy wejściu do parowu stanęliśmy. Należało dać wytchnąć koniowi i posilić się. Po godzinnym odpoczynku puściliśmy się na poszukiwania *pinii*. Marya wkrótce spostrzegła drzewo, o które nam cho-

dziło i wskazała nam je. Zdawało się ono być okryte przepyszną zielonością, a w każdym razie żywzzą i wspanialszą niż inne drzewa, które je otaczały. Z sercem rozradowanem pobiegliśmy ku niemu, znajdując zaraz tuż kilka, a nawet kilkanaście drzew podobnych.

Stanęliśmy wreszcie pod ich cieniem. Ich widok, ich zapach, wszystko zdawało się mówić, że są to drzewa, których szukamy. Ziemia okryta była owocami blisko na półtora cala długimi, ale były one otwarte, a ziarna wewnątrz ich nie było. Widocznie jakieś zwierzęta uprzedziły nas w zbieraniu owoców; było to najlepszym dowodem, że były one zupełnie dojrzałe. Mnóstwo owoców wisało jeszcze na gałęziach; postaraliśmy się kilka z nich zerwać.

— To właśnie jest czego szukamy! — zawołała z radością moja żona — to jest sosna z orzechami... Będziemy mieli z nich chleb, zanim zbiory naszej kukurudzy i pszenicy nie będą dostateczne do jego wypiekania.

Pobiegliśmy do grupy tych dobroczynnych drzew; wkrótce nasz wóz był naładowany ich owocami. Tym sposobem uczyniliśmy zapas, po który trzeba było spieszyć tak daleko. Wieczorem wróciliśmy do domu i tego samego jeszcze dnia jedliśmy chleb, którego nie mieliśmy w ustach od wielu tygodni.

XXVIII.

Menażerya, ptaszarnia i ogród botaniczny.

Codzień prawie przybywało nam jakieś nowe zajęcie. Zrobiliśmy drewnianą podłogę w domu i ogrodziliśmy pola pierwszej naznaczone i rozmierzone. Jedno z nich miało służyć do uprawy zboża, inne zaś jako okólnik dla Pompa, aby z niego nie wychodził na niebezpieczne miejsca, gdzie mógłby się spotkać z dzikimi zwierzętami.

Najbardziej był czynnym Kudžo. Robił on mnóstwo sprzętów, które w codziennym użytku okazywały się niezmiernie pożytecznymi. Zbudował także pług z drzewa, bardzo odpowiedni do roboty w gruncie, jakiśmy musieli uprawiać.

Niepokojeni coraz szybszem wypotrzebowaniem się zapasów prochu, musieliśmy polować z bronią, równie tym razem użyteczną jak karabin, zachowywany na szczególne przypadki. Mówię tu o łuku. Naśladując Indyan, zrobiliśmy trzy łuki, tak jak u nich naciągane zapomocą kiszek danielich. Strzały porobiliśmy z prostych trzcin, w które Kudžo poprawiał zaostrzone gwoździe, wyjęte z części niepotrzebnej dawnego wozu. Wprawialiśmy się w strzelanie z nich po całych dniach, wiedząc o tem, że może wkrótce innej broni używać nie będziemy mogli. Henryk z wielką radością matki, zastrzelił wkrótce z łuku małą wiewiórkę, upatrzoną na samym wierzchołku drzewa. Niezadługo tak już wprawnie używał no-

wej swej broni, że przez całą zimę zaopatrywał domową spiżarnię w zwierzynę. Codziennie prawie znosił kuropatwy, wiewiórki najrozmaitszych gatunków, zające i dzikie indyki.

Moja żona ze swej strony zwiększała także codziennie nasze zapasy. Przy końcu jesieni odbyła wielkie wycieczki, w celu botanicznych poszukiwań. Towarzyszyliśmy jej za każdym razem w celach obrony, a ona zawsze przynosiła ze sobą coś nowego. Znalazła bardzo dużo gatunków owoców, jak na przykład porzeczki, wiśnie i jarzębinę. Nabieraliśmy tego bardzo dużo do smażenia. Co się tyczy roślin okopowych, znaleźliśmy tak zwaną *białą jabłoń*, czyli rzepę indyjską, a co najważniejsza: dzikie ziemniaki. Roślina ta niezawodnie jest swojską w wyższych krajach amerykańskich. Bez znajomości rzeczy mojej żony, niezawodnie nie odkrylibyśmy tej pożytecznej rośliny. Owoce jej nie były większe jak jajko, a gdyby były jeszcze cokolwiek mniejsze, nie byłoby poco zajmować się ich uprawą.

Strączki akacyi służyły nam do fabrykacyi piwa, bardzo przyjemnego w smaku; robiliśmy także napój i z winogron dzikich, których niezmiernie mnóstwo rosło w okolicy. Winobranie udało nam się cudownie. Wino to nieraz, podczas długich zimowych wieczorów, rozweselało nasz umysł; wówczas rozmowa, prowadzona przy płonącym stosie dREW na kominku, toczyła się żywiej i raźniej.

Około tego czasu powziąłem nową myśl, którą

wypowiedziałem towarzyszom, i którą oni przyjęli z wielkiem zadowoleniem. Zależała ona na tem, by chwycić żywe dzikie zwierzęta i tak je przyswajać, by potem mogły nam być odpowiednio pożyteczne. Można było ten zamiar przyprowadzić do skutku, a tysiące okoliczności, jakie temu towarzyszyły, jeszcze nas bardziej zachęcały. Przekonałem się naocznie, że w dolinie żyje mnóstwo dzikich rozmaitych zwierząt; było ich po kilka z każdego gatunku, ale to pewna, że w przyszłości jeszcze bardziej rozmnożyłyby się mogły. Na przeszkodzie jednak temu stawały inne dzikie, drapieżne zwierzęta, które tępiły je i wyniszczały. Co więcej, z naszym przybyciem liczba ich nieprzyjaciół wzrosła, a podobno walka, jaką toczyliśmy z danielami, była dla nich niebezpieczniejszą, niż napady innych zwierząt. Od pewnego czasu stały się też one bardzo ostrożne i podejrzliwe, a to do tego stopnia, że nie mogliśmy ich podchodzić, jak to dawniej bywało, pomimo największej przebiegłości. Wiedzieliśmy o tem doskonale, że zapasy prochu niezadługo nam się wyczerpią, i że nasza palna broń stanie się dla nas zupełnie bezużyteczną. Nasze łuki i strzały nie były bronią dostateczną do odparcia napadu dzikich zwierząt. Bardzo być może, że w przyszłości, nachwytawszy i przyswoiwszy pewną liczbę tych mięsożernych stworzeń, przy ich własnej pomocy zdołamy tępić inne, dla nas szkodliwe. Wzięliśmy się też niebawem do tej pracy, która się wkrótce stała najważniejszą.

szem z naszych zajęć, a zarazem i najużyteczniejszym.

Była też i inna przyczyna, dla której z wielkim zapalem oddałem się temu zatrudnieniu. W młodości jeszcze z zamiłowaniem studyowałem historję naturalną, teraz zaś nadarzyła się sposobność poznania nietylko zwierząt, zamieszkujących te strony, ale i ich obyczajów. Nie miałem też zamiaru w naszym zoologicznym ogrodzie chować tych tylko zwierząt, które nam mogły dostarczyć pożywienia, ale wszystkie, jakie tylko uda się złowić, spokojne czy dzikie, swojskie czy drapieżne.

Główne źródło naszego przemysłu i naszego bogactwa: zapasy skór bobrowych, w niczem nie stawało na przeszkodzie urzeczywistnieniu zamiarów co do połowu zwierząt, który też nawzajem w niczem nie przeszkadzał pielęgnowaniu bobrów. Bobry zresztą nie wymagały wiele zajęcia i nie mogły nam uczynić nic złego. Nie należało się przed nimi zabezpieczać, a robota około skór i futerek bobrowych zajmowała nas tylko przez małą część roku.

Henryk wziął się do pracy nad wykonaniem mych planów z największą pilnością. Jak ja, był on także wielkim amatorem czworonożnych zwierząt. Franciszek znowu był wielkim myśliwym na ptaki. Przyjął on na siebie obowiązek dostarczania ptactwa do naszej menażeryi. Marya przedstawiła ze swej strony zamiar założenia ogrodu botanicznego,

w którymby się pomieściły wszystkie rośliny rosnące w tych okolicach, ciekawe pod względem użytku i przeznaczenia.

Każdy z nas miał swój wydział. Henryk i ja łowiliśmy zwierzęta, Franciszek ptaki, Marya zaś była naczelną ogrodniczką. Kudźo miał niemało do roboty z przygotowaniem miejsca dla zwierząt i dla roślin. On robił sidła, on także budował klatki i kurniki, a we wszystkich tych robotach dawał dowody niepospolitej zręczności. Bez niego nie bylibyśmy doprowadzili do skutku powziętych zamiarów. Każdy go potrzebował, każdemu on pomagał.

Takim sposobem przyszłość zapowiadała nam się pod dobrą wróżbą.

XXIX.

Polowanie na zwierzęta i ptaki.

Henryk zabrał się najpierw do polowu; schwycił parę szarych wiewiórek, które znalazł w głębi ich gniazda. Zrobiono im wielką klatkę, a wkrótce małe te zwierzątka tak się oswoiły, że brały z naszych rąk pożywienie bez oznak żadnych bojaźni. Nie mieliśmy z nich wprawdzie pożytku, ale nieraz potrafiły nas one zabawić i rozerwać — a i to było coś warte. Patrzyliśmy z przyjemnością na ich obroty i skoki — gdy igrały jak młode małpki, lub gdy gryzły orzechy, trzymając i obracając je zgrabnie w przednich łapkach.

Cokolwiek później przyszła kolej na Franciszka; owoc jego zabiegów był nierównie ważniejszy. Od pewnego czasu śledził on dzikie indyki, a czynił to z zamiarów ujęcia którego żywcem. W tym celu, nieopodal od domu, zbudował rodzaj sideł, znany w Ameryce pod nazwą *pułapki drewnianej*. Budowa jej jest niezmiernie prosta. Składa się ona z drążków, takich samych jak Kudzo używał na płoty; kładzie się je na sobie w kształcie czworoboku, warstwami, przez co wewnątrz formuje się próżnia, zamknięta u góry za pomocą innych drążków. Zamknięcie to tak jest urządzone, że może niem zwierzę wejść do środka, ale wyjść z niego nie może. W taki sam prawie sposób, budują się pułapki na szczury.

Franciszek, nauczony doświadczeniem, potrafił tak dobrze naśladować gulgotanie indyków, że niepodobna było rozróżnić jego głosu od wołania tych ptaków. Tym sposobem umiał je wabić i przynęcać do miejsca, w którym był ukryty, ale gałęzie i drążki, z których była zbudowana pułapka, niebardzo zachęcały te stworzenia do wejścia wewnątrz. Trzeba było szukać jakiegoś na to sposobu; wkrótce go Franciszek znalazł. Zabił on indyka wystrzałem z łuku, położył go wewnątrz sideł i nadał mu taką postawę, że ptak zdawał się być żywym i zajadającym rozsypane nisko ziarno. Gdy to zrobił, wrócił się natychmiast w krzaki i ukrył się w nich bardzo starannie. Po chwili głos jego począł udawać krzyk indyka. Nie uszło

pięć minut, gdy na takiego wabia dały się złapać inne, które w liczbie trzech wyszły z zarosli. Jak wszystkie dzikie indyki, szły one z głową spuszczoną i zdawały się tem przypominać strusie. Wkrótce spostrzegły sidła, a obaczywszy jednego z towarzyszków zajadającego w najlepsze w ich wnętrzu, zbliżyły się bez bojaźni i poczęły chodzić naokoło, jakby szukały wejścia. Franciszek śledził każde ich poruszenie, a serce biło mu w piersi gwałtownie. Jego niepokój trwał jednak niedługo; w parę minut potem ujrzał indyki we wnętrzu pułapki; wtedy wyszedł ostrożnie z ukrycia i zamknął ją, a ptaki znalazły się niespodzianie w więzieniu bez wyjścia. Wyjawszy ptaki z sideł, pozwiązywał im nogi, i obciążony tym obfitym łupem, wrócił do domu, powitany radośnie i tryumfalnie.

Nazajutrz Franciszek odbył jeszcze świetniejsze polowanie. Skoro udał się ze świtem do sideł, od wczoraj nanowo zastawionych, spotrzegł przy nich chodzącego indyka. Zdawało mu się że około tego ptaka biegały inne, mniejsze o wiele, podobne do kuropatw. Skoro jednak przyjrzał się baczniej, ptaki, które wziął za kuropatwy, przedstawiły mu się wyraźnie jako dzieci indyka, a raczej indyczki, wodzone przez swoją matkę. Ujrzał też wkrótce jak weszły za nią do środka pułapki... Stara indyczka złapała się w sidła — ale co się tyczy jej małych, te swobodnie mogły przechodzić między prętami klatki. Widocznie zaniepo-

kojone były uwięzieniem niespodzianem matki, i biegały przy niej, piszcząc i kręcąc się, jakby podlegały najżywszej bojaźni.

Franciszek, nie mogąc pochwytać małych sam, a wiedząc, że nie odejdą od sideł, póki w nich się matka znajduje, pobiegł zażądać pomocy Kudza, Henryka i mojej. Wzięliśmy natychmiast płachtę z naszego wozu i inne dwa okrycia i pobiegliśmy na miejsce polowu, śpiesząc się o ile można, bo owoc jego był dla nas zbyt ważny, by go można było lekceważyć. Skoro znaleźliśmy się nieopodal sideł, rozdzieliliśmy się tak, aby każdy z nas stanął z innej strony. Następnie poczęliśmy się zbliżać do sideł, ścieśniając tym sposobem koło, któremśmy je otaczali, a skoro małe indyki usiłowały uciekać, zarzucaliśmy na nie płachtę i okrycia, i tym sposobem, przeszkadzając im w ucieczce, pochwytailiśmy wszystkie.

Cóż za świetne polowanie!

Zbudowaliśmy dla indyczki z małemi nową klatkę, postawiwszy ją obok pierwszej, dla pierwszych trzech brańców zrobionej. Trzeba ją było wystawić bardzo starannie, umieszczając szczególniej pręty tak, aby pomiędzy nimi nie mogły małe indyki przechodzić.

Franciszek nachwytał jeszcze mnóstwo indyków, używając na wabia trzy najpierwej złowione. W tym celu przywiązywał je za nogi do klatki, tak, że zdawały się swobodnie obok niej chodzić. Wszystkie jednak sposoby stały się wkrótce nie-

wystarczające; ptaki nie dały się podchodzić — były ostrożniejsze i nieufne.

Nasza ptaszarnia zwiększała się z każdym dniem. Franciszek spostrzegł, że kora *ostrokrzewu* amerykańskiego, *ilex opaca*, moczona długo w wodzie i odpowiednio przygotowana, wydaje doskonały klej. Przy jego pomocy zrobił ogromną klatkę, podzieloną na wiele przedziałów, ażeby w każdym z osobna pomieścić oddzielny rodzaj zwierzęcia. W krótkim bardzo czasie w klatce tej znalazły się takie ptaki jak wirgińskie różne gatunki skowronków, gołębie i inne. Były tam także karolińskie papugi, a nadto Franciszek schwycił niezmiernie rzadkiego ptaka, o ile sobie przypominam znanego u Indyan pod nazwą *wakon*. Jest to rajski ptak Ameryki, i tak samo jak jego brat wschodni, ma on ogon przyozdobiony w ogromne pióra, które nosi z pychą i chlubą, wlokąc je daleko poza sobą. Klatka nasza zawierała także inne małe ptaszki o bardzo świetnym pierzu; był tam ptak zielony, był inny, który miał czerwone podgardle, był kogut leśny, jakiś maleńki niebieski ptaszek i gil z czerwonymi skrzydłami. Była także inna klatka, zrobiona dla stworzeń, które nie potrzebowały siedzieć oddzielnie, jak na przykład pliszki, a przynajmniej ptaki do nich niezmiernie podobne, koloru szarego, z długimi czarnymi nóżkami i pazurkami brunatnymi; ptaszki te nie były wcale powabne, i zdawały się tak pospolite, jak wróble. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że nie warto

na nie zwracać uwagi, gdy jednak te upośledzone ptaszyny otworzyły swoje dziobki, a z gardziółka ich wydobyło się kilka dźwięków ich śpiewu, natychmiast zapominało się o ich skromnem ubraniu. Piękne skrzydła papugi, wdzięczne kształty skowronka i innych ptaków, traciły naraz swój powab i nie zwracały już uwagi; zapominało się wszystkiego, tylko nie spojrzeń rzucanych małym śpiewakom, spojrzeń, w których było wiele zapowolenia i nawet zachwyty. Gdy się wśluchiwałem w ich śpiew, zdawało mi się, że słyszę w nim powtarzane wszystkie dźwięki, które ptaszyna nokoło siebie posłyszeć mogła. Gdy inny ptak począł śpiewać, szare nasze ptaszyny natychmiast chwytaly jego ton i dźwięk, i wydając z gardziółka dźwięk podobny, tylko o wiele silniejszy i sympatyczniejszy, zmuszały do milczenia tego, który zaczął. Po tem, com wam powiedział, domyślacie się zapewne co to był za ptak; był to słowik amerykański.

Podczas gdy Franciszek codziennie zbogacał swoją kolekcję ptaków, Henryk nie zostawał bynajmniej w tyle co do czworonogów. Miał już w klatce pięć gatunków wiewiórek, szarą, czarną i czerwoną, które gnieźdzą się na drzewach, i dwie ziemne, z których jedna złowioną została na pustyni, między korzeniami *artemisii*. Było to śliczne, małe zwłozątko, nie większe od myszy i mające po sobie pręgi, jak zebra. Nie przypominaliśmy sobie żadnego opisu tego stworzenia przez natu-

ralistów, ale mimo to małe to zwierzątko było ulubieńcem wszystkich, a szczególnie Maryi i Ludwiki. Przyswoiło się ono bardzo prędko, i bez najmniejszej bojaźni dało się brać w rękę; zasypiało też na kolanach u dziewczątek, niby oswojona myszka.

XXX.

Jeżozwierz.

Kudzo odkrył, że strumień, przepływający przez dolinę, pełen jest ryb. Ryby te różniły się wprawdzie bardzo od gatunków pospolitych, któreśmy znali, ale w smaku były o wiele delikatniejsze. Kudzo nieraz już chwycił je i przynosił.

A nadto, poczciwy nasz i wierny sługa wynalazł miejsce w strumieniu, najobficiej w ryby zaopatrzony. Postanowiliśmy odbyć połów. W tym celu porobiliśmy sznurki z dzikiego lnu, który rósł w dolinie. Trzcina posłużyła nam za oprawę naszych wędek, haczyki zaś porobiliśmy z pozakrzywianych cierni, na których za przynętę powtykaliśmy robaki.

W dzień połowu Franciszek i Henryk nieśli wędkę, Kudzo i ja zaś nieśliśmy dziewczęta, a Marya, idąc z nami, czyniła po drodze botaniczne poszukiwania. Kastor i Polluks były naturalnie z nami. Kudzo służył nam za przewodnika, a prowadził nas wprost przez las na miejsce, które uważał za najodpowiedniejsze do połowu.

Uszliśmy już z kwadrans drogi, gdy nagle głos Maryi zatrzymał nas w pochodzie. Zwróciliśmy w jej stronę spojrzenia; wskazywała ona palcem jedno z drzew, rosnących na drodze.

— Co to znaczy mamó? — spytał Henryk.

— Zdaje mi się, że musi tu być wpobliżu zwierzę, które się lubi podkopywać.

Marya wskazała nam krzak młodego bawełnika, którego kora i liście były obgryzione, odarte, jakby to uczyniła owca, albo jakby gałązki zostały oskrobane nożem. Niektóre z gałęzi były już zupełnie zniszczone, inne zaś, świeżo odarte, zdawały się skazane na taki los.

— Och! teraz rozumiem co mama chce powiedzieć — rzekł Henryk — jest to dzieło zwierzęcia toczącego (strzyżaka). Ale co to za zwierzę... Bobry nie uczyniłyby tego, a jestem pewny, że ani wiewiórka, ani *opossum* nie są zdatne do ogołocenia drzewa z kory tak, jak się to stało tutaj.

— I mnie się zdaje, że zrobiło to inne jakieś zwierzę. Wasz ojciec powie wam, które to zwierzę mogło to zrobić, a do tego z bawełnikiem najpiękniejszego gatunku, zwanym przez botaników *populus angulatus*.

Obeszliśmy wokół odarty krzak. Po kilku krokach zrobionych ostrożnie i cicho, ujraliśmy wreszcie zwierzę, o które nam chodziło. Siedziało ono na ziemi, zaledwie o kilka stóp od nas. Zdawało się długie na trzy stopy, grube, niezgrabne, centkowane szaro, z powierzchownością wogóle bar-

dzo nieprzyjemną, a nawet odrażającą. Miało głowę i nos niezmiernie małe, w porównaniu do wielkości całego ciała; nogi krótkie, silne, uzbrojone długimi pazurami, wychodzące wyraźnie z pod jego gęstej i długiej sierści. Oczy jego kryły się w niej, a rozważywszy proporcye ciała tego stworzenia, można było powiedzieć, że jest to raczej jakaś nieforemna bryła, niż zwierzę. Wlokło się ono po ziemi i widocznie musiało nas spostżedz, bo usiłowało ukryć się w krzakach. Usiłowanie to jednakże było daremne — zwierzę było ciężkie, powolne i niezgrabne i nie zdążyło się ukryć.

Ujrawszy, a raczej przekonawszy się, jakie to stworzenie mamy przed sobą, cofnąłem się, ażeby powstrzymać psy. Było już za późno. Na ich widok zwierzę się zatrzymało, ukryło swą głowę na pierśsiach i wyprężyło się tak, że zdawało się teraz dwa razy większe, niż poprzednio. Ogon jego z gwałtownością rzucał się na obie strony, co zdradzało gniew i wściekłość zwierzęcia.

W tej chwili spostrzegliśmy, że to, cośmy dotąd wzięli za sierść, było rzeczywiście kolcami, ostrymi i długimi. Henryk, przekonawszy się o tem, zawołał:

— To jeżozwierz!

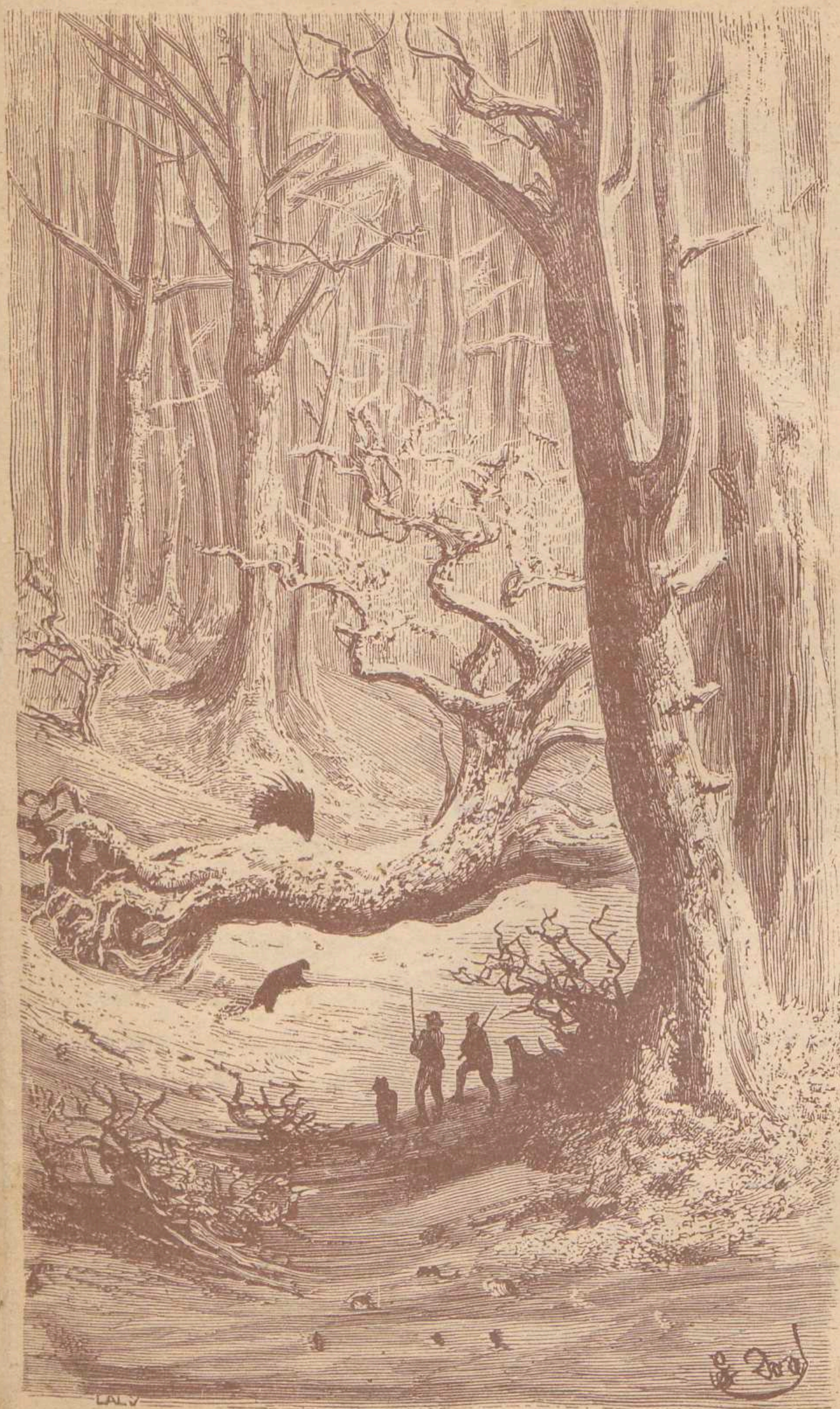
Psy, na własne nieszczęście, nie wiedziały z kim mają do czynienia. Powróciły one do nas z pyskami szeroko otwartymi, wyjąc i skomląc żałośnie. Ich nozdrza, ich szczęki i języki były porozdzierane i pokaleczone ostrymi kolcami.

W tej chwili jeżozwierz czołgał się ku drzewu i poczynął się już po jego pniu wdrapywać, gdy Kudźo, rozgniewany za krzywdę przez psy doznana, podbiegł ku niemu i przebił go swoją lanca.

Henryk, który od czasu niefortunego swego przypadku był ostrożniejszy i roztropniejszy, trzymał się dosyć daleko od jeżozwierza i obojętniej przyjmował całe to wydarzenie. Słyszał on niegdyś, że zwierzę to może rzucać swoje kolce do pewnej odległości i razić nimi swych nieprzyjaciół, jak strzałami. Franciszek spytał mnie, czy to prawda.

— Nie, — odrzekłem — jest to jedna z tych bajecznych dykteryjek, które znakomity zresztą naturalista francuski Buffon lubił opowiadać, a ma się rozumieć i tworzyć. Kolce jeżozwierza mogą uwieźgnąć w innem ciele, jeśli są w niem utkwione i złamane, jak się to zresztą stało i teraz z naszymi psami, które trzeba starannie opatrzyć. Kolce te bywają niekiedy straszną bronią, a jeżozwierz, żyjący wyłącznie liśćmi i latoroślami, więc wogóle spokojny, zapomocą tej broni stać się może niebezpiecznym dla swoich napastników. Ostrowidze, psy i wilki, doznają krwawych następstw swego napadu na jeżozwierza, i znajdowano je czasem martwymi, z kolcami tego zwierzęcia, uwiezionymi w ich paszczy.

Opowiedziałem następnie dzieciom wszystko, com tylko wiedział o jeżozwierzu. Po niejakiem czasie jednak przekonałem się wraz z Henrykiem,



Czolgalo się ono pod pniem rozłożystym i pochyłym bawelnika.

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

że jeżozwierz, pomimo straszego swego uzbrojenia, ma nieprzyjaciela, któremu zazwyczaj ulega, i przed którym martwy pada. Jakkolwiek przypadek, który nas o tem przekonał, zdarzył się w kilka miesięcy po naszym połowie, opowiem wam go teraz, ażeby skończyć z jeżozwierzem.

XXXI.

Walka kuny z jeżozwierzem.

Było to w środku zimy. Lekka zasłona śniegowa pokrywała ziemię. Było to właśnie rzeczą pożądaną do odkrywania śladów zwierząt i dlatego też powzięliśmy zamiar polowania. Udał się tedy z Henrykiem na miejsce, gdzie, jak spodziewaliśmy się, zastaniemy parę jeleni, która poprzedniej nocy przebiegła przez naszą łąkę.

Ślady ciągnęły się przez całą długość jeziora i przeszły następnie na prawą stronę strumienia. Kastor i Polluks były z nami, ale trzymaliśmy je na linie, a to dlatego, by je powstrzymać od wyprzedzania nas i ochronić od jakiego groźnego dla nich spotkania.

W odległości kilometra od domu, spostrzeżliśmy, że jelenie przeszły powtórnie strumień. Przeprawiwszy się na drugą stronę, śledziliśmy z największą bacznością, gdy naraz oczy nasze uderzone zostały niespodzianym widokiem... na śniegu były ślady stóp ludzkich, stóp dziecięcia!

Możecie sobie wyobrazić jak wielkiem było nasze zdziwienie i zarazem niepokój. Ślady te mogły mieć około pięciu cali długości i podobne były do śladów pięcio lub sześćcioletniego dziecka. Zdawało się, sądząc po nich, że dwoje dzieci równego wieku szło jedno za drugim. Co to mogło znaczyć? Czyliż przebywają w tej dolinie jakieś inne ludzkie istoty oprócz nas? Czy to są może ślady młodych Indyan?

Przerwaliśmy polowanie na jelenie, aby rozjaśnić zagadkę, która nas tak bardzo niepokoiła i postępowaliśmy najostrożniej za śladami, które, jak przypuszczaliśmy, zdradzały obecność dzieci. Skorośmy przybyli na miejsce, w którym śnieg leżał grubą warstwą, ślady te stały się dla nas jeszcze wyraźniejszymi. Zatrzymałem się, aby je dobrze rozpatrzyć i przekonać się, czyli to są rzeczywiście ślady ludzkie. Gdym to uczynił, spostrzegłem pewne zboczenia w odcisnięciu pięty i wielkiego palca, a po baczniejszym rozpoznaniu ujrzałem, że przy palcach są ślady pazurów i sierści — co przekonało mnie dostatecznie, że należą one do zwierzęcia, nie zaś do żadnej istoty ludzkiej.

Ciekawi byliśmy teraz odkryć, jakie to zwierzę tak bardzo nas zaniepokoiło. Idziemy więc dalej. Uszedłszy około stu kroków, spostrzegliśmy rozłożystą koronę bawełnika, na którego pniu siedział jeżozwierz. To mi wyjaśniło zagadkę. Był to jeżozwierz należący do tego gatunku, który

ma po pięć palców u nóg tylnych, po cztery zaś u przednich, czego ślady widniały na śniegu.

Ciekawość nasza zatrzymała nas na miejscu, mimo to, że wydarzenie, którego byliśmy następnie świadkami, przeszkodziło nam w polowaniu. Jeżozwierz nie tyle nas zaciekawiał, ile inne stworzenie, któreśmy wkrótce ujrzeli. Czołgało się ono pod pniem rozłożystym i pochyłym bawełnika, o kilka kroków odległości od jeżozwierza. Miało ze trzy stopy długości, licząc od głowy do ogona, ale ciało jego nie było grubsze od ramienia dorosłego człowieka. Głowa jego była szeroka i przypłaszczona, uszy krótkie i proste, pysk ostro przedłużony. Zwierzę to przypominało ruchami kota, układem pyska — psa. Jego krótkie ale silne nogi, jego ciało giętkie i ruchliwe, zdradzały dzikość i chytrość. Jego sierść barwy brunatnej, pokrywała ciało; pierś, grzbiet, nogi, stopy, nos i ogon, były barwy ciemniejszej. Przypominało ono kształtami łasicę, od której jednak było daleko większe. Cała powierzchowność tego zwierzęcia mówiła, że jest to wielka kuna amerykańska. Zatrzymaliśmy się też, aby się jej przypatrzeć.

Jeżozwierz nie spostrzegł jeszcze swojego nieprzyjaciela; był niezmiernie zajęty obłupywaniem kory z gałązek bawełnika. Kuna, przez chwilę go śledząca, wybiegła następnie z pod pnia i poczęła chodzić szybko naokoło. Jeżozwierz ujrzawszy ją wreszcie i wydał natychmiast krzyk, zdradzający przestach. Zamiast pozostać na miejscu, zeskoczył

zaraz na ziemię, co nas niezmiernie zdziwiło. Uczynił to jednak dlatego, że siedząc na gałęzi, nie mógł przybrać pozycji bezpiecznej, to jest skurczyć się; w takim położeniu, w jakim dotąd zostawał, piersi jego, głowa i cały tył były wystawione na napad. W chwili, w której znalazł się na ziemi, skurczył się natychmiast, a tym sposobem ze wszystkich stron wystawił na obronę swój kolczasty pancerz.

Kuna wciąż biegła naokoło niego, rzucając swem ciałem z gwałtownością, pokazując co chwila zęby ostre i groźne, nastawiając swój grzbiet i mrużąc jak kot. Oczekiwaliśmy z niepokojem jej napadu... ale zwierzę to rozumiało doskonale, że jego położenie nie było nazbyt bezpiecznem i dlatego samo oczekiwało zaczepki. Jeżozwierz pozostawał jednak nieruchomy, tylko ogon jego wskazywał ruchami gwałtownymi, że ta nieforemna i dziwaczna, najeżona bryła, która jest jego pancerzem, żyje i czuwa, Ta część ciała jego była jedynie wystawiona na niebezpieczeństwo, głowa bowiem i piersi zwierzęcia były doskonale ukryte w lesie długich kolców. Ogon jego w ciągłym ruchu, przerzucał się na obie strony, zdradzając gwałtowność i gniew.

Cóż zrobiła kuna?

Pobiegawszy naokoło przez kilka minut, jak to już mówiłem, kuna niespodzianie przyczaiła się za jeżozwierzem, tak że pysk jej był zaledwie

o kilka cali oddalonym od jego ogona. Usadowiwszy się tak, pozostała bez najmniejszego ruchu.

Jeżozwierz, który nie mógł widzieć co się dzieje poza nim i który zapewne sądził, że kuna już porzuciła pole walki, uspokoił się zwolna. Ogon jego przestał się chwiać i spoczął w jednym położeniu.

Ruchu takiego oczekiwała właśnie kuna. W tej chwili skoczyła ona i schwyciła nieprzyjaciela zębami za ogon, który był jedynym członkiem jego ciała, niepokrytym kolcami.

Skoro jeżozwierz poczuł się schwytanym za ogon, wydał przeraźliwy okrzyk boleści; kuna przecież nie zważając na jego skargę, poczęła ciągnąć swą ofiarę i zaciągnęła ją do drzewa, którego gałęzie były zwieszane ponad samą ziemią.

Jeżozwierz nie mógł stawiać żadnego oporu. Nogi jego wlokły się po śniegu, nie mogąc przyczepić się do ziemi, co dowodziło, że kuna była silna.

Wkrótce była ona pod drzewem. Wówczas poczęła się wdrapywać na jedną z jego najniższych gałęzi, uważając bacznie na ruchy swej ofiary i strzegąc się jej kolczastej broni. Po chwili zaciągnęła ją na gałąź, nie puściwszy ani razu. Wówczas jeżozwierz zawisł nad ziemią tak, że tylko przednimi nogami mógł jej dotykać. Zawieszony tak głową ku ziemi, krzyczał i jęczał boleśnie, nie mogąc się wydostać ze szponów swojego napaśnika.

Potrzymawszy swą ofiarę w takiej pozycji przez

kilka minut, kuna puściła ją nagle. Jeżozwierz nie spodzianie runął na ziemię, ale upadł grzbietem na dół, Wtedy kuna, zeskoczywszy z gałęzi, rzuciła się na niego, a zatapiając pazury w jego ciele, pochwyciła go zębami za piersi, odsłonięte i bezbronne.

Jeżozwierz usiłował się bronić, ale napróżno Kuna przypięła się do niego, z taką wściekłością zadając mu ciosy, że wkrótce legł bez ruchu. Była to chwila stosowna, abyśmy się wdali w tę sprawę. Zawołaliśmy Kastora i Polluksa, a dzielne nasze psy rzuciły się naprzód.

Napad ich jednak był bezskutecznym. Kuna tak zręcznie unikała ich zaczepki, tak przebiegle potrafiła się wycofać z pola walki, że wkrótce znalazła się przy drzewie; rzuciła się na nie jednym skokiem, a schwyciwszy się jego pnia pazurami, poczęła się wdrapywać na nie ze zwinnością wieiórki. Kula karabinowa powstrzymała jej ucieczkę; zwierzę spadło nieżywe u stóp drzewa. Ciało jego, rozciągnięte na ziemi, wydawało zapach piżma, wcale nieprzyjemny.

Wzięliśmy ze sobą to stworzenie, w celu zdjęcia z niego skóry, i wróciliśmy do domu obciążeni tym niezbyt świetnym łupem. Polowanie trzeba było odłożyć na inny dzień.

Jak to już wam mówiłem, wydarzenie to miało miejsce o wiele później, niż chwila, na której opowiadanie swoje przerwałem. Wracając tedy do

wątku swej historyi, opowiem wam o naszym po-
owie ryb.

XXXII.

Połów ryb i pszczoły.

Skoro się skończyła potyczka z jeżozwierzem, opatrzyliśmy natychmiast nasze psy, które wciąż żałośnie skowyczały, mając pełne szczęki kolców, które je raniły nielitościwie. Powyjmowaliśmy je z największą bacznością, a wówczas psy nasze uspokoiły się i zdawały się uradowane, że się pozbyły dotkliwego cierpienia.

Następnie szliśmy dalej, do miejsca, które Kudzo obrał na połów. Zawiesił jeżozwierza na drzewie, ażeby go zabrać, skoro będziemy wracali. Miał zamiar oprawić go i zjeść, utrzymując, że mięso tego stworzenia jest bardzo dobre, i że nie ustępuje w smaku pieczeni z prosięcia.

Wkrótce stanęliśmy nad brzegiem wody, przy tamie, która wstrzymując wodę w jej biegu, nagromadziła ją w głębokim korycie do znacznej wysokości. Drzewa wysokie ocieniały to ustronne i piękne miejsce, w wodzie zaś leżały zwalone pnie. Po drugiej stronie strumienia rosły także ogromne drzewa, w części zanurzone w wodzie, a ich rozłożyste i splątane gałęzie sprawiały, że ten przepyszny obraz miał za tło ciemną, ponurą głębię lasu.

Zarzuciliśmy swoje wędki i czekaliśmy cierpli-

wie pomyślnego skutku. Mówiliśmy półgłosem, aby nie spłoszyć ryb. Po kilku minutach oczekiwania zauważyliśmy w wodzie lekki ruch, zdradzający się kołami na wodzie, w pośrodku których można było dojrzeć wychylające się głowy, niby głowy węzów. W pierwszej chwili sprawił na nas ten widok wrażenie trwogi, ale Kudzo, który oddawna przypatrywał się przedmiotom ukazanym, i który zresztą znał się lepiej z temi zjawiskami, bo kiedyś w Wirginii namiętnie oddawał się rybołówstwu, rzekł:

— Panie!... staw jest pełen żółwi! Żółwie... to doskonałe jedzenie, lepsze niż ryby, mięso, drób...

Gdy Kudzo mówił, jeden z żółwi przysunął się bardzo blisko do miejsca, na któremśmy siedzieli. Po wydłużonej jego głowie, podobnej do ryja, po jego skorupie wreszcie poznałem, że należał do gatunku *trionyx*, czyli żółwi z miękką skorupą. Nazywają go *trionyx ferox* i jest ze wszystkich żółwi najprzydatniejszym do jedzenia, najulubieńszym przysmakiem łakotnisiów.

Chciałem się właśnie zapytać Kudza w jaki sposób należy łowić żółwie, gdy naraz spostrzegłem, że pływak mojej wędki zanurza się, i że połów się rozpoczął. Jakież było moje zdziwienie, gdy wyciągnąłem za chwilę żółwia, przyczepionego do niej. Zdaje się, że to był ten sam, którego przed chwilą widziałem. Nie był on ani ciężki, ani mocny, z łatwością przeto wyciągnąłem go na zie-

mię. Kudzo położył go zaraz na grzbiecie, aby mu uniemożliwić ucieczkę.

W godzinę potem każdy z nas złowił już po kilka żółwi; stworzenia te, niezmiernie łakome, z chciwością połykały haczyki naszych wędek, które im zamiast przysmaku, przynosiły zgubę. Skorośmy nałowili ich tyle, że ilość ich mogła nam nietylko wystarczyć, ale zapasy nasze zubożać, zaprzestaliśmy połowu, wracając wesoło do domu.

Podczas zimy byliśmy tylko kilka razy u bobrów. W tej porze zwierzątka te siedzą w swoich domkach, kryjąc się w nich przed zimnem i nie trudnią się bynajmniej zdobywaniem żywności jak inne zwierzęta. W ciągu zimy śpią tylko i jedzą. Można było widzieć kiedy niekiedy jak wychodziły, aby się wykąpać i umyć, bo bobry należą do zwierząt najczystszych i najbardziej lubiących porządek a raczej ochędństwo.

Podczas kilkunastu tygodni jezioro było zamrożone, a lód był tak silny, że bez obawy mogliśmy po nim chodzić. Korzystaliśmy z tej okoliczności, aby zwiedzić domki bobrów; były one tak silnie zbudowane, że można było po nich stąpać i skakać bez uszkodzenia ich. Większa część wejść do ich wnętrza ukryta była pod lodem tak, że były zawsze swobodne dla swoich panów. Skoro chodziliśmy koło bobrowych budek, mogliśmy widzieć, jak ich mieszkańcy wystraszeni rzucali się do wody, nie widzieliśmy tylko, aby wracali. To

nas dziwiło, ponieważ wiedzieliśmy doskonale, że bobry długo bez niebezpieczeństwa pod lodem siedzieć nie mogą. Przekonaliśmy się jednak wkrótce, że te roztropne zwierzęta przewidziały to niebezpieczeństwo i zawczasu pomyślały o ratunku.

W jednej części jeziora wznosiła się tama dosyć wysoko wystająca nad powierzchnię wody. W tej tamie bobry wykopały głęboką jamę, do której mogły wchodzić pod lodem. Ilekroć były przerażone lub zagrożone, zwierzątka te opuszczały z pośpiechem swoje domki, aby ukryć się w jamie, z której mogły wydostawać się na powierzchnię jeziora i siedzieć nie pod wodą.

Lód jeziora był tak silny i jednolity, że powzięliśmy zamiar urządzenia ślizgawki. Franciszek i Henryk byli zwolennikami tej rozrywki, co do mnie — przyznać muszę, że podzielałem to ich upodobanie.

Trzeba było przedewszystkiem zrobić łyżwy. Kudźo, który tym razem zdradził swoje zdolności kowalskie, przy pomocy ognia i młota porobił nam łyżwy, niezbyt wykwitne, to prawda, ale wygodne i mocne. Użył do tego żelaza z okucia wozu; nie było ono stracone, pomimo, że do zabawki posłużyć miało, można je było bowiem jeszcze użyć i na coś innego, zdjawszy z drewnianej oprawy łyżew. Rzemienie ze skóry daniela posłużyły nam do przymocowania łyżew do nóg a gdyśmy to uczynili, poczęliśmy używać ślizgawki, bie-

gając po jeziorze około domków hobrowych, zapewne z niemałym zdziwieniem i przestraczeniem ich mieszkańców.

Miła ta rozrywka przyczyniła się do szybszego spędzenia zimy, która, prawdę powiedziawszy, sama przez się była krótką. Skoro nadeszła wiosna, Kuzdzo zabrał się do uprawy roli zapomocą zrobionego przez siebie pługa. Zasiałszy pół morga ziemi ziarnem kukurydzy, co się tyczy ziarna pszenicy, to posialiśmy na kawałku roli osobnym. Marya miała także swój ogród, w którym sadziła dzikie kartofle i inne rośliny okopowe, znalezione w dolinie.

Łąka naszej doliny pokryła się niezadługo mnóstwem kwiatów; były tam malwy, asklepie i heliantusy, oprócz innych, których nie potrafiliśmy nazwać. Czyniliśmy częste wycieczki do miejsc najpiękniejszych naszej doliny, a szczególnie i do takich, które miały dla nas jakieś praktyczne znaczenie. Odwiedzaliśmy strumień, słone źródła i inne miejsca, a nie było wycieczki, która nam nie przyniosła jakiegoś odkrycia, jakiej korzyści. Nie mieliśmy książek, to prawda, ale przyroda wybornie je zastępowała; nauczyliśmy się ją rozumieć, a to uczyniło nam z niej książkę, którąśmy czytali płynnie i z korzyścią.

Pewnego razu wybraliśmy się w drogę w celu przejrzenia interesujących okolic lasu. Było to w pierwszych dniach wiosny. Zasiedliśmy, aby się posilić w pośrodku łączki, która była właśnie le-

śnym ustępem, a naokoło siebie mieliśmy mnóstwo pełnych, rozwiniętych i woniejących kwiatów. Franciszek, ująwszy małą Maryę za rękę, odszedł z nią w zamiarze zbierania kwiatów dla matki. Nie uważaliśmy na nich, gdy naraz dał się słyszeć okrzyk dziewczęcia. Wyjęła ona gwałtownie rękę z pośród kwiatów, a nam przyszło na myśl, że doznała ukąszenia pszczoły lub innego owadu, bo żadnego innego stworzenia pomiędzy kwiatami nie było.

Podczas jesieni mieliśmy tyle zajęcia, że niepodobna nam było myśleć o wynalezieniu pszczół; w zimie byłoby to niepodobieństwem, bo pszczoły wtedy tylko się ukazują, skoro istnieją kwiaty. Można było odkrycie to uczynić teraz.

Gdzie są pszczoły, tam musi być miód, to rzecz pewna. To słowo *miód* uderzyło, jak zaczarowany dźwięk, o uszy naszej młodzieży. Pszczoły i miód stały się w tej chwili najgłówniejszym przedmiotem rozmowy i przez spory przeciąg czasu nie usłyszelibyście ani jednego zdania, któreby nie ściągało do pszczół i do miodu. Mówiono o nich z zapalem, o ich pożywieniu, ich pracach, ulach, i... o ich odkryciu.

Zerwaliśmy się, aby znaleźć to, co tak nielitościwie ukłuło rękę małej naszej Maryi — nie byliśmy jednak pewni, czy to uczyniła pszczoła. Wkrótce przecież Henryk krzyknął:

— Pszczoła!... pszczoła!... — a w tej chwili i Franciszek z innej strony wydał taki sam okrzyk.

— Och!... mamy was!... — wołał także Kudzo. — Oto jeszcze jedna, a jaka gruba, wielka... jak wół!...

To wszystko znaczyło, że skoro są pszczoły, to nieopodal musi być ul.

Należało go odnaleźć. Był on niezawodnie umieszczony w pniu drzewa, ale którego?.. Wszystkie drzewa mają tę samą prawie powierzchność i trudno niezmiernie domyśleć się, że w tem a nie w owem może się znajdować ul. Trzebaby go szukać na każdym drzewie po kolei, a było ich tam tysiące.

Na szczęście mieliśmy pośród siebie bardzo biegłego poszukiwacza ulów, Kudza. W czasach, w których przebywał jeszcze w swojej *starej Wirginii*, zwałił on mnóstwo drzew, w których się znajdował miód. Był do podobnych poszukiwań wprawny jak... niedźwiedź, a to powinno nas było uspokoić i zapewnić, że niezadługo pokosztujemy miodu. Ponieważ jednak dzień się kończył i słońce poczęło się kryć coraz bardziej, odłożyliśmy stanowcze poszukiwania nazajutrz.

XXXIII.

Polowanie na pszczoły.

Prześliczny dzień następny zdawał się zachęcać nas do wykonania poprzednio powziętego zamiaru. Po śniadaniu udaliśmy się na wczorajszą

łączkę, zawczasu ciesząc się z przyjemności, które miały nas spotkać. Henryk bardzo dużo słyszał o polowaniu na pszczoły i ciekawy był niezmiernie obaczyć je, a co więcej, pragnął przyjąć w niem udział. Drzewa z pszczołami nie różniły się w niczem od innych, a otworu, który prowadził do ula umieszczonego wewnątrz pnia, niepodobna było ujrzeć z dołu. Ażeby odkryć taki ul, trzeba było chyba z wielką starannością rozpatrywać korę naokoło otworu, bo pszczoły musiały na niej zostawić ślady nóżek. Jednakże taka robota trwałaby niezmiernie długo i nie prędko doprowadziłaby do pomyślnego skutku. Zresztą prawdziwi łowcy pszczół nie działają na los szczęścia, jak to mówią, ale przedsiębiorą swoje poszukiwania na pewno, a ich znajomość rzeczy ułatwia im wynalezienie tego, czego szukają. Pierwszą wskazówką w takich razach są kwieciste łąki, w sąsiedztwie których niezawodnie pszczoły znajdować się muszą. Na takich łąkach jest dużo słońca i światła, a pszczoły lubią światło i ciepło, kiedy tymczasem w gęstym i ciemnym lesie nigdy nie przebywają.

Przygotowania, jakie poczynili Kudzo z Henrykiem, były bardzo proste; potrzebowali tylko szklanki, którą na szczęście mieliśmy w swej podróżnej skrzyni, naczynia napełnionego syropem klonowym i małej wiązki sierści z królika. „Co on z tem będzie robił?“ myślał sobie Henryk, a nikt z nas nie potrafił mu na to odpowiedzieć.

Udaliśmy się wreszcie na łąkę, Złożywszy swoje rzeczy na boku, w pobliżu pasącego się spokojnie Pompa, postępowaliśmy zaciekawieni za Kudzem, uważając na każdy jego ruch. Henryk śledził go wzrokiem ostrowidza; lękał się nawet przeoczyć cośkolwiek, tak go ta cała robota zajmowała. Spoglądał na Kudza tak, jak się patrzy na ruchy zręcznego sztukmistrza, gdy się chce odkryć tajemnicze sposoby jego sztuczek. Kudzo przygotowywał dzieło swoje w milczeniu, zadowolony z zajęcia, jakie w tej chwili budziła jego osoba, pełna niezwyklej powagi.

Nasz myśliwy, a raczej poszukiwacz, spostrzegł nieopodal łączki pień zwalonego drzewa. Zbliżył się ku niemu i odkroiwszy kawałek kory, starał się ją wygładzić swoim dużym nożem. Był to kawałek kilku kwadratowych cali, na który Kudzo nalał odrobinę syropu klonowego, która formowała plamę okrągłą i niewielką. Obtarł następnie bardzo starannie przyniesioną ze sobą szklankę i rozpoczął właściwe poszukiwania.

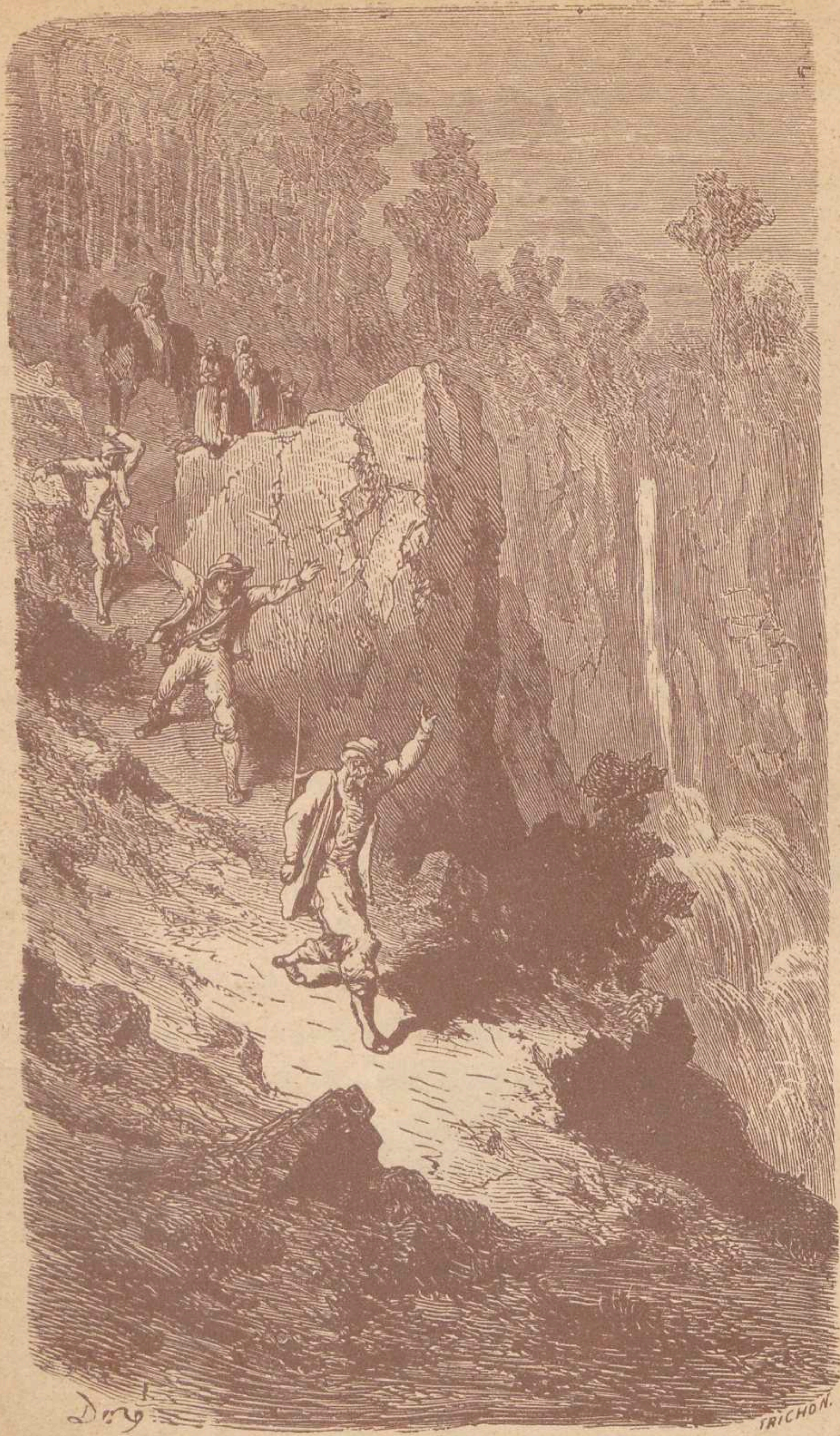
Po chwili Kudzo spostrzegł pszczołę ukrytą w kielichu kwiatu. Zbliżył się zwolna i ostrożnie do krzaka i kwiat razem z owadem nakrył szklanką. Oddzielił następnie kwiat od łodygi i zaniósł go nakryty szklanką do kawałka kory, poprzednio opisanego.

Teraz, gdy już znalazł się przy syropie, odjął zwolna kwiat z pod szklanki, pod którą została

brzęcząca pszczoła. Odrzuciwszy kwiat, już niepotrzebny, nakrył szklanką syrop na kawałku kory.

Pszczoła przestraszona uwięzieniem wcale niespodziewanem, z początku latała w ciasnym obrębie szklanki, jakby szukając wyjścia. Po chwili przecież zmęczyła się, skrzydełka jej omdlaty i spadła na korę z syropem. Znalazła się tym sposobem wobec zastawionej uczty, z której też natychmiast korzystała. Mimo to co chwila przypominała sobie, że jest uwięzioną, i co chwila wzlatując, aby się wydostać z zamknięcia, opadała znowu, aby poić się syropem.

Gdy już owad tak bardzo objadł się zastawionej dla siebie potrawy, że zdawał się coraz bardziej ociężałym, Kudzo zręcznie pochwycił go w palce i ostrożnie, przyklepił mu do brzuszka małą wiązeczkę króliczej sierści, która go wprawdzie nieco obciążyła, ale ruchów skrzydeł w żaden sposób tamować nie mogła. Wówczas Kudzo puścił pszczołę która usiadła na najbliższym pniu i przez pięć blisko minut starała się opamiętać po doznanej przygodzie i uwolnić od króliczej sierści. Po pięciu minutach jednak bezowocnych usiłowań owad wzbił się w powietrze do trzydziestu stóp wysokości. Mogliśmy go z łatwością dojrzeć i śledzić, co zresztą ułatwiała wiązka sierści króliczej, bielejąca z daleka. Pszczoła zakreśliła w polocie kilka kół, jakby szukając odpowiedniego dla swej podróży kierunku, wreszcie jednak musiała



Dziękowaliśmy Bogu za nasze ocalenie!

BIBLIOTEKA
BN
WARSAWA

go znaleźć, bo pofrunęła w prostej linii ku drzewom.

— Aha!... — zawołał Kudzo — to tam znajduje się drzewo z ulem!...

Natychmiast wyjął nóż i naznaczył nim na najbliższym drzewie kierunek, w jakim poleciała pszczoła.

Operacja dotąd opisana powtórzyła się cztery razy. Za drugim i trzecim razem pszczoły poleciały w przeciwnych kierunkach, czwarta jednak pszczoła przybrała ten sam kierunek lotu, co i pierwsza. Nie wiedząc, o ile szkodzić może ta różnaitość kierunków, oświadczyliśmy Kudzowi, że zapewne w błąd go ona wprowadzi.

— Nie — rzekł — to tylko pokazuje, że zamiast jednego ula, znajdziemy trzy; bo jestem pewny, że pszczoły nigdzie indziej polecieć nie mogły, tylko wprost do ulów.

Wiedzieliśmy już kierunki, w których szukać należało drzew z pszczołami, teraz zaś trzeba było te drzewa odszukać. Było to już łatwym. Kudzo wybrał najpierw wskazane drzewo do poszukiwań, a ponieważ pierwsza pszczoła puszczone była z innego miejsca, a czwarta z innego, mimo to jednak ku jednemu punktowi poleciały, przeto trzeba było przedłużyć linie ich polotu oznaczone na drzewach, aż do punktu w którym się one łączyły. Wynalezienie tego punktu było zarazem wynalezieniem drzewa.

Teraz byliśmy już Kudzowi bardzo pomocni,

ten i ów pilnował, aby się nie zmylono w śledzeniu kierunków, a ponieważ linie nie blisko łączyły się ze sobą, nie tak bardzo było łatwym. Kudzo jednak okazał dziwny instykt w swoich poszukiwaniach. Był on w lesie jak w pokoju, szedł naprzód napewno i nie mylił się. Po ujściu kilkadziesiątu kroków w gęstym lesie — zawołał:

— Otóż mamy!... to drzewo z ulem niezawodnie!...

Spojrzeliśmy wszyscy przed siebie, a potem w górę. Pomiedzy gałęzmi drzewa i około jego wierzchołka uwijały się pszczoły. Na pewnej wysokości nad ziemią można było widzieć wyraźne ślady obecności ula. Kora była odmiennego koloru, jakby cokolwiek wygładzona, a po niej chodziły owady; było to drzewo olbrzymich nieledwie wymiarów, cokolwiek zniszczone już wiekiem, ale pień jego był tak gruby, że w jego wydrążeniu mógłby się pomieścić wygodnie człowiek dorosły.

Znaleźliśmy przeto ul, ale ponieważ dzień się kończył, a robota z wybraniem miodu wymagała i czasu i odpowiednich przygotowań, przeto odłożyliśmy ją do jutra.

XXXIV.

Wykradacz miodu.

Podbieranie miodu nie jest wcale rzeczą łatwą; wymaga ono przede wszystkim silnych ramion

i tęgiej siekiery, któreby musiały i mogły zwalić drzewo z ulem. Nie jest także bezpiecznem znalezienie się wobec kilku tysięcy pszczoł rozgniewanych, że się im wydiera własność, a opatrzonych w żądła, które rażą nieprzyjaciela bez litości. Gdybyśmy się do tej pracy poprzednio nie przygotowali, nie moglibyśmy marzyć nawet o zwaleniu drzewa, a gdyby znowu drzewo już było zwalone, to samo wybieranie miodu byłoby dla nas niepodobieństwem.

Na szczęście Kudzo umiał zaradzić trudnościom; umiał on podbierać pszczoły, żartując sobie z ich gniewu i żądał. Przygotował na ten cel dwie pary rękawiczek ze skóry daniela, a zrobił je tak, że miały tylko jeden palec osobny i miejsce na inne cztery palce, wskutek czego można w nich było doskonale władać dłonią. Jedna para przeznaczona była dla niego, druga zaś dla mnie, ponieważ my dwaj tylko mieliśmy pracować nad wybraniem miodu.

Oprócz rękawiczek, przygotowaliśmy sobie maski z jeleniej skóry, które można było przywiązać zapomocą rzemyków. Narzuciwszy na to wszystko płaszcze skórzane, mocno związane w pasie, nie potrzebowaliśmy się lękać chociażby wszystkich pszczoł na świecie.

Wzięliśmy ze sobą także siekiere do ścięcia drzewa i kilka naczyń na miód.

Przybywszy na łąkę, umieściliśmy na niej Pompa i urządziliśmy rodzaj stacyi, na której

miała się zatrzymać moja rodzina, aby być oddaloną od rozwścieczonych pszczół. Następnie zabrawszy wszystko, co nam było potrzebne, udaliśmy się do obranego drzewa, pod którym za chwilę jużśmy stali.

Spojrząwszy w górę, spostrzegliśmy, że pszczoły latające naokoło drzewa, zdradzają wyraźną niepokojność. Ruch między nimi był wielki, a ich brzęczenie dało się słyszeć na kilkanaście kroków wokoło.

— Panie — zawołał półgłosem Kudzo — one wyraźnie muszą być zaniepokojone przez jakiegoś ukrytego nieprzyjaciela.

Żadnego jednak zwierzęcia nie mogliśmy dojrzeć w pobliżu drzewa. Nie istnieje zresztą żadne, któreby miało skórę dosyć twardą, by wytrzymała pociski żądź. Otwór nadto do ula nie miał więcej nad trzy cale średnicy, a tym sposobem żadne zwierzę nie mogłoby się dostać do jego wnętrza.

Dzień był bardzo gorący — dotąd nie mieliśmy ani razu tak podniesionej temperatury. Bardzo być może, że upał wywabił z ula pszczoły. Nie mając lepszego tłumaczenia ich niepokojności, zadowoleni niem zupełnie, wzięliśmy się do ścinania drzewa.

Kudzo uchwycił siekiere, a wkrótce olbrzymia sykomora miała u spodu swego pnia głęboką wyрубę.

Po kilkunastu uderzeniach siekiery naraz Kudzo przerwał swą pracę i nadstawwszy uszu, po-

czał się przysłuchiwać. Uczyniłem to samo. Jakiś ryk, czy wycie, wyraźnie głos zwierzęcia dał się słyszeć... Spojrzeliśmy na wszystkie strony, zarówno zadziwieni, jak i przejęci trwogą. Tak jest, przejęci trwogą, bo głos posłyszany miał w sobie coś strasznego i dzikiego, Skąd on pochodził?... Szukaliśmy napróżno spojrzeniem śladów chociaż obecności jakiegoś zwierzęcia — ale nic jej nie zdradzało.

Głos raz jeszcze dał się słyszeć. Zdawał się wychodzić z ziemi! Nie... pochodził on z drzewa.

— Wielki Boże!... — zawołał Kudzo — to niedźwiedź! Tak!... to niedźwiedź, poznałem jego głos.

— Niedźwiedź — odrzekłem przerażony na samą myśl oczekującego nas spotkania — niedźwiedź w ulu?... Maryo!... strzeżcie się — baczność!

Po chwili moja rodzina, skupiona, stała opodal od drzewa; Franciszek i Henryk pochwycili za broń, a ja pospieszyłem do drzewa, gotowy do spotkania, przygotowany do walki, byle ocalić od niebezpieczeństwa żonę i dzieci.

Teraz dopiero zrozumieliśmy przyczynę niepokojności pszczół. Siekiera Kudza pobudziła niedźwiedzia i lada chwila mógł on spaść na ziemię, aby nas zaczepić.

Chwyciłem za karabin, a jednocześnie Kudzo uzbroił się w swoją siekiere. Byłem przygotowany w każdej chwili dać ognia, skoro tylko niedźwiedź

wytknie głowę z pszczolej jamy, do której się wdrapał. Ale, zamiast pokazać głowę, zwierzę to, na wielkie moje zdziwienie, poczęło wychodzić z dziury tyłem.

Nie było czasu do namysłu; dałem ognia, a Kudzo ugodził niedźwiedzia silnym rzutem siekiery. Ciosy były takie, że mogły go położyć na miejscu; spodziewaliśmy się takiego skutku, gdy tymczasem silna bestya poruszyła się i cofnęła do jamy. Myśleliśmy, że manewr ten ma dać niedźwiedziowi sposobność odwrócenia się w otworze drzewa i napści uskutecznionej frontem. Trzeba się było przygotować do ataku, albo też uniemożliwić go. Wybraliśmy to drugie.

Rzuciłem oczami naokoło i spostrzegłem nasze płaszcze, leżące pod drzewem. Pochwyciłem je natychmiast. Zwinięte stosownie, mogły one posłużyć do zatkania otworu jamy, w której siedział niedźwiedź. Kudzo, zrozumiałwszy mój zamiar, przyszedł mi z pomocą, a w dwie minuty potem dziura jamy była zatkana. Podczas tej operacji spostrześliśmy na sukniach świeżą krew. To dowodziło jasno, że niedźwiedź był raniony. Otwór jamy założyliśmy jeszcze dużymi kamieniami, aby zamknięcie jego było silniejsze i pewne. Uczyniwszy to, obejrzeliliśmy pień drzewa wokoło, aby się zapewnić, że w nim niema innego otworu, któryby mógł niedźwiedziowi posłużyć za wyjście.

Po chwili, skoro istotne niebezpieczeństwo minęło, oznajmiłem o tem żonie i dzieciom; radość

wkrótce przywiodła je pod drzewo, obok którego biegali, śmiejąc się ze złapanego niedźwiedzia.

Trzeba było teraz postanowić, co mamy uczynić ze zwyciężonym zwierzęciem. Czy należało je pozostawić w dziurze drzewa, aby tam zdechło z głodu?... Nie, bo niezawodnie zjadłoby ono wszystko miód, po który przecież przyszliśmy umyślnie. Niedźwiedź nie wydawał głosu, co dowodziło, że był bardzo osłabiony, albo przerażony niespodziewanym spotkaniem. Siedział cicho i nieruchomie... widocznie nie pragnął bliższej z nami znajomości.

Aby zobaczyć, co się dzieje wewnątrz drzewa, którego pień był od góry do dołu pusty, wywierciliśmy w niem dziurę z boku, przez którą można było spojrzeć do środka i w razie potrzeby przesłać niedźwiedziowi kulkę. Pokazało się jednak, że zwierzę trzyma się u góry. Kudźo zaprojektował, aby je zmusić do zmiany miejsca, Ale jak?

— Wykurzmy go dymem!... — rzekł.

Dobrze!... Wzięliśmy się zaraz do urzeczywistnienia zamiaru. Powiększyliśmy dziurę, wyrobioną poprzednio i nakładaliśmy w nią suchych liści, które Kudźo podpalił. Wkrótce dym, wznosząc się ku górze, począł się wydostawać na powietrze przez otwór ula. Pszczoły, wystraszone nową plagą, poczęły się uwijać jeszcze niespokojniej około drzewa. Niektóre z nich po chwili padały na ziemię, odurzone dymem, inne zaś całymi masami uciekały od drzewa, chroniąc się daleko.

Sposób ten odpędzania pszczoł pokazał się bardzo praktycznym, tak że mogliśmy od tej chwili obchodzić się bez masek, rękawiczek i płaszczów.

Niedźwiedź nie kazał długo oczekiwać na oznaki niecierpliwości ze swojej strony. — Usłyszeliśmy wkrótce jego mruczenie, a w odstępach czasu jakby kaszel duszący, coraz słabszy... Po kilku minutach z wnętrza drzewa dał się słyszeć przeraźliwy ryk... a potem nastąpiła cisza. Cisza ta jednak trwała krótko; przerwał ją łoskot głuchy, po którym znowu było cicho. To niedźwiedź spadł wewnątrz drzewa na jego spód.

Czekaliśmy kilka minut — żadnego szelestu, żadnego głosu. Wówczas wygarnęliśmy z otworu drzewa liście niedopalone, a dym kłębamii począł się z jego wnętrza wydostawać. Mogliśmy teraz być pewni, że niedźwiedź już nie żyje. Żadne stworzenie, które oddychać potrzebuje, nie mogłoby żyć pięciu minut w dymie, jaki zalegał wewnątrz drzewa. Włożyłem bagnet mego karabina w otwór jamy i próbując nim, poczułem ciało nieruchomego niedźwiedzia, wówczas wyciągnęliśmy martwe zwierzę, któremu dla pewności Kudzo zadał jeszcze straszliwy cios w samą mózgowicę. Futro nieżywego niedźwiedzia we włosiu swem zawierało mnóstwo pogniecionych i poduszonych pszczoł, które zginęły w walce z napastnikiem lub dymem.

Spostrzegliśmy wkrótce, że drzewo się pali. Kora wewnątrz wyschnięta i krucha, zapaliła się



Ujrzeliśmy olbrzymie drzewa.

LIOTER
BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

w chwili, gdyśmy podpalili liście wewnątrz, i teraz dopiero ujrzelśmy, że ogień rozszerza się z gwałtownością, której niepodobna było powstrzymać. Takim sposobem mogliśmy stracić miód, który nas tyle zachodu kosztował.

Jak go ochronić?... był tylko jeden sposób. Ściąć drzewo i wyciąć ul z pośród płomieni.

Czy jednak wystarczy na to czasu?... Ogień się wzmagał, a wiatr podsyczał go. Nie było się czego namyślać, wzięliśmy się do roboty. Kudźo uderzał w pień drzewa siekierą z wprawą cieśli, wióry sypały się na wszystkie strony, aż wreszcie drzewo zachwiało się. Myśmy wszyscy odeszli o kilkadziesiąt kroków, ażeby uchronić się przed jego upadkiem, Kudźo zaś pracował dalej, wiedząc zgóry, w którą stronę olbrzym się powali.

Po kilku minutach straszliwy łoskot rozległ się po lesie. Gałęzie potężnej sykomory zasłały ziemię, a pień, uderzywszy o nią, rozsypał miliony iskier.

Wkrótce Kudźo dotarł do ula. Na wielką pościechę ujrzelśmy, że to pszczołe gniazdo ocalało od wpływu ognia. Było trochę zadymione, ale to właśnie sprawiło, że je pszczoły opuściły, i że można było miód podbierać bez wszelkich ostrożności. Niedźwiedź skosztował słodczy, nie zjadł jej jednak wcale dużo. Przeszkodził nam właśnie w chwili, gdy rozpoczynał ucztę.

Zaciągnęliśmy nieboszczyka do wozu, ponieważ smaczne jego łapy i jego skóra nie były do

pogardzenia, a pozostawiwszy dopalającą się sykmore, wróciliśmy do domu.

XXXV.

Walka danieli.

Główny cel, któryśmy mieli ciągle na uwadze, nie był jeszcze osiągnięty. Z wyjątkiem gromadki indyków, żadne inne zwierzę, któreśmy trzymali w swoim zoologicznym zbiorze, nie mogło posłużyć nam za żywność.

Pewnego dnia, w którym wybraliśmy się z Henrykiem na polowanie, tropiliśmy młodego jelonka. Ponieważ chcieliśmy go pochwycić żywcem, przeto pokładliśmy naszym psom kagańce, aby w pościgu nie mogły go kąsać. Szliśmy za nim w części doliny, która najobficiej odwiedzana była przez zwierzęta, o jakie nam właśnie chodziło, to jest przez daniele. Naraz spostrzegliśmy ze strony psów objawy niewytłumaczonej niespokojności. Obejrzelismy się naokoło — w tej chwili właśnie przemknął się wśród krzaków ogromny daniel. Poszliśmy za nim w milczeniu, przesuwając się raczej, niż idąc w zaroślach, aby najmniejszym szelestem nie płoszyć zwierząt. Przyszliśmy tak nad brzeg łączki; o ileśmy wiedzieli, było to najulubieńsze miejsce danieli, trzeba więc było powściągać psy i zachować się jeszcze ostrożniej. Niespodzianie jakiś dziwny odgłos uderzył nasze uszy;

odgłos ten pochodził od strony łączki. Słuchając go, można było być pewnym, że ogromne stado zwierząt tłucze o ziemię kopytami. Czasem dawały się słyszeć inne odgłosy, sprawiające uszom wrażenie takie, jakie wywołałaby walka kilkudziesięciu ludzi na kije. W odstępach czasu słychać było także jakby rzenie konia krótkie i dzikie.

— Co to może być?... — zapytał nasłuchując Henryk.

— Są to zwierzęta, a zdaje się, że ich musi być dużo, skoro taki sprawiają hałas.

— Czy ojciec nie odróżnia pośród tej wrzawy krzyku daniela?

— Słyszę... tak, to niezawodnie daniel. Jest także prawdopodobne, że to stado jeleni. Nie rozumiem tylko co znaczy ten hałas, to dziwne zamieszanie.

— Może jakie dzikie zwierzę rzuciło się pośród nich... pantera lub niedźwiedź.

— W takim razie nie czekałyby walki, ale raczej ratowałyby się ucieczką. Jeleń i daniel wolą polegać na swoich nogach w walce z niedźwiedziem i panterą, bo wiedzą, że rogi, choćby najsilniejsze, nie na wiele się przydadzą. Nie, tam niema dzikiego zwierzęcia — pójdźmy dalej, a przekonamy się.

Posunęliśmy się w milczeniu, a gdyśmy uszli kilkanaście kroków, ujrzeliśmy dziwne, ciekawe widowisko, na które patrzyliśmy z zajęciem z pół godziny.

W pośrodku łączki znajdowało się sześć danieli, można je było doskonale rozpoznać po ich olbrzymich rogach. Należały one wszystkie do walki, w której potykały się to pojedynkiem, to gromadą. Czasami rozdzielały się, biegły do pewnej odległości i wracały, aby nacierać z większym rozpędem, rzucając się jeden na drugiego z dzikiem rzeniem. Uderzały się przednimi nogami, atakowały rogami z siłą, jakby chciały wysadzić się wzajemnie w powietrze, a wśród tej dzikiej i zaciętej walki sierść ich sypała się z boków, skóra krwawiła, poprzebijana dobrze wymierzonymi ciosami.

Był to wspaniały widok, któremu przypatrywaliśmy się zdumieni i milczący.

Wszystkie te zwierzęta znajdowały się w takiej od nas odległości, że można je było dosięgnąć kulą karabina. Sądziliśmy, że walka skończy się lada chwila, że gromada ta rozbestwionych zwierząt rozpierzchnie się... gdzie tam!... Słabsi przeciwnicy ulegali, padali pod ciosami, ale tylko dlatego, by podniósłszy się znowu, walczyć jeszcze zacieklej.

Uwagę naszą zwracało szczególnie dwóch walczących, o których z rogów olbrzymich i rozgałęzionych wnosić było można, że są starzy, najstarsi z całej gromadki. Były to dwa ogromne daniela, które co chwila uderzały na siebie, co chwila zaś cofały się i uderzały znowu. Ciosy ich były tak silne, że myśleliśmy, iż rogi ich pójdą

w drzazgi. Gdzie tam!... Ciosy ich były coraz silniejsze. Walczyły przez chwilę, potem stanęły jak wryte, ze zwróconemi ku sobie czołami, bez ruchu, bez głosu, jakby dla nabrania tchu. Za chwilę rzuciły się znowu i znów się zatrzymały, a nozdrza ich zdawały się wzajemnie dotykać, tak blisko jeden drugiego oczekiwał rozpoczęcia zaciętego boju.

Sposób ich walki różnił się najzupełniej od tego, w jaki potykały się młodsze daniele. Te ostatnie walczyły w różnych punktach łączki, biegnąc po niej i goniąc się, kiedy tamte stały prawie na miejscu. Trzeba było wystąpić i nam. Na dany znak lufy naszych karabinów buchnęły dymem, a jedno z młodszych zwierząt padło na ziemię. Trzy inne, spostrzegłszy nas, zaprzestały walki i chroniły się w ucieczce. Po wystrzale wybiegliśmy z ukrycia, a widząc, że zwierzę które padło jest tylko ranione, powstrzymaliśmy psy, aby go nie szarpały. Chcieliśmy je wziąć żywcem.

Dziwna rzecz! Gdyśmy stanęli na łączce tak, że nas doskonale widzieć było można, mogliśmy być pewni, że dwa stare walczące daniele albo uciekną, albo zwrócą się ku nam, aby przyjąć nas ciosami swych rogów. Tymczasem stało się zupełnie inaczej. Walczyły one dalej, jakby zaciekłość ich nie pozwalała im zwracać uwagi na nic w świecie, prócz na siebie samych. Psy, które wybiegły na łąkę, zamiast rzucić się na zranione zwierzę, popędziły ku tym dwom zaciętym zapa-

stnikom, ale i to nie zwróciło ich uwagi. Wówczas i myśmy podeszli ku nim, ale jakież było nasze zdziwienie, gdyśmy widzieli, że te zwierzęta zamiast się rozłączyć i owszem, połączone splątanymi rogami, pchały się wzajemnie głowami, co dawało obraz cichej ale zaciętej, zawziętej walki. Podbiegliśmy jeszcze bliżej i wówczas zrozumieliśmy wszystko. Daniele nie mogły się rozejść, ponieważ gałęzie ich rogów splątane ze sobą, nie chciały ich puścić. Nie walczyły już one, ale pragnęły się rozplątać z niespodzianych sidła, w które się same złapały. Zdawało się, że przed ich wysiłkiem rogi ich potrzaskają, pokruszą się; były one jednak silniejsze od swoich właścicieli. Rozłączenie było istotnie niemożliwem.

Widząc co się z nimi dzieje, posłałem Henryka po Kudza, polecając jak najprędzej sprowadzić konia z wozem i wszystko, czego można było zapotrzebować do pochwylenia zwierząt żywcem. Oczekiwałem na ich przybycie z niecierpliwością, a gdy stanęli na łączce, zabraliśmy się natychmiast do spętania i rozplątania dwóch przeciwników, których zaciętość stała się dla nich samych zgubą. W pół godziny potem, mając trzy daniele na wozie, wróciliśmy zwycięsko do domu, a wszyscy jego mieszkańcy, widząc nasze łupy, witali nas okrzykami radości.

XXXIV.

S i d ł a.

Kudźo skończył już roboty około naszego parku dla danieli. Otoczył on go z trzech stron palisadą, która była tak silną i tak wysoką, że zwierzęta przeskoczyć jej nie mogły. Z jednej strony wejścia do parku broniło jezioro, które się z nim bezpośrednio stykało. Wpuściliśmy tam nasze danielę, które cieszyły się, odzyskawszy wolność, chociaż pozorną tylko.

Trzeba było pomyśleć dla nich o towarzystwie samicy, na którą z kolei należało zapolować.

Wieczorem, usiadłszy naokoło stołu, tworzyliśmy tysiące projektów.

Umyśliliśmy urządzić oddzielne polowanie, a wiedząc, że samica nie porzuca swych małych choćby były zabite, postanowiliśmy, wytropiwszy matkę z dziećmi, pozabijać je, a następnie schwycić ich matkę przy trupach małych. Byłby to środek skuteczny, ale okrutny, przyjęto go też z niezadowoleniem, a Marya i Franciszek błagali o litość dla biednych stworzeń. Przyjąłem te prośby z ochotą, bo i mnie samemu trudnoby było wykonać tak nieludzki zamiar.

Radziłem z Henrykiem nad innymi sposobami pochwylenia danielicy, ale na razie trudno było coś wymyśleć.

— Ojczy — rzekł on — a czy nie dobrzeby

było urządzić ogrodzenie z jednym wejściem, przez które jakby się raz zwierzę dostało, jużby się na zewnątrz wydostać nie mogło. Zdaje mi się, że byłoby to wcale dobre.

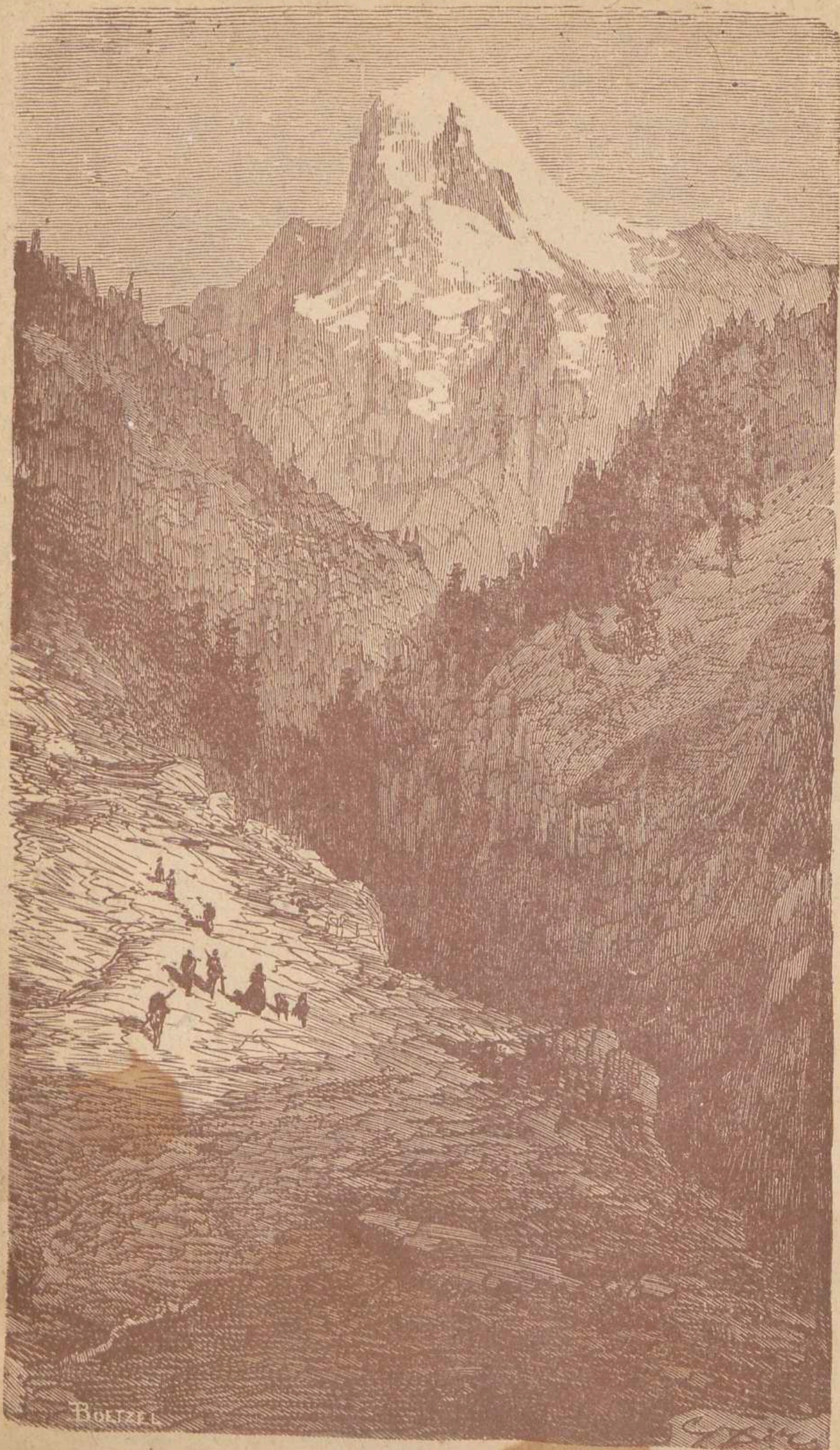
— Tylko, że niepodobne do wykonania. Pomyśl tylko, że trzebaby szczególnego trafu, aby zwierzę weszło w ogrodzenie. A potem musielibyśmy oczekiwać takiego przypadku przez wiele dni i nocy. Gdyby zaś przyszło napędzać zwierzę w takie sidła, trzebaby do tego użyć i ludzi wielu i psów całą gromadę. Ale czy nie przypominasz sobie miejsca, w którym widzieliśmy najliczniejsze ślady danieli?...

— Owszem, pamiętam je; było to w pobliżu słonych źródeł.

— Bardzo dobrze! Droga, którą kroczyły danielle prowadziła pomiędzy dwoma drzewami, których zwierzęta nie mogły w żaden sposób ominąć, mając z obu stron błota i wodę. Otóż pomiędzy temi dwoma drzewami wykopujemy dół, przykryjemy gałęzmi, trawą i liśćmi, a potem... obaczymy! Cóż o tem myślisz?

— Będzie to zatem wilcza jama!...

Nazajutrz udaliśmy się na oznaczone miejsce z Kudzem, mając ze sobą Pompa, wóz, siekiere i łopate. Przybywszy tam, odmierzyliśmy kształt rowu, który miał mieć ośm stóp długości, a szerokość tak wielką, jak wielkim był odstęp między dwoma drzewami. Kudzo zabrał się wnet do kopania, ja zaś do ścinania gałęzi i gromadzenia



Wierzchołek góry wznosił się majestatycznie przed nami.

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

liści. Henryk ze swojej strony zbierał młode gałęzki, któremi trzeba było wysłać wewnątrz dołu. Ziemię wywieźliśmy opodal, aby w urządzeniu miejsca nie zachodziły zbytne zmiany, któreby mogły zaniepokoić nadchodzące zwierzęta. W pięć godzin dół był gotowy, a miał głębokości dziesięć stóp. Było to wystarczającym do schwytania najroślejszego daniela.

Skoro kopanie było ukończone, przykryliśmy dół gałęzmi tak, że za lada stąpieniem mogły się one zawalić do wnętrza jamy. Na gałęziach pokładaliśmy warstwy trawy i liści, posypaliśmy to zlekka piaskiem, aby jak najmniej różniły się od powierzchni drogi i następnie uprzątnąwszy wszystko, co mogło stanowić wyraźne ślady naszej pracy, udaliśmy się z powrotem do domu.

Nazajutrz rano poszliśmy obejrzeć swoją jamę. Skorośmy ją ujrzeli zdaleka, mogliśmy być przekonani, że cel jej urządzenia był osiągnięty. Gałęzie widocznie zapadły się do wnętrza, a że to się stać nie mogło inaczej, jak tylko przez stąpienie zwierzęcia, przeto sądziliśmy, że wewnątrz jamy jakieś stworzenie schwytane znajdować się musi.

— Złapaliśmy coś!... — zawołał Henryk, który szybciej podbiegł ku dołowi. — Ale co to jest?...

Widok, który nas oczekiwał, zdziwił nas niemało. W głębi jamy znaleźliśmy tylko szkielet zwierzęcia, w którym poznaliśmy daniela. Jego rogi i część skóry najwymowniej o tem świadczyły. Naokoło jamy i w samem jej wnętrzu widać było

ślady krwawej uczty, która musiała się tam odbywać podczas nocy; gałęzie i liście pokryte krwią, połamane i pogniecione, okrywały resztki pożartego zwierzęcia. Widocznie, skoro się zapadło do jamy, stało się ofiarą wilków, które zabrały ludziom ich łup i skorzystały z zastawionych przez nas sidła.

Kudzo, po którego posłałem, przybył wkrótce i wzięliśmy się na nowo do powtórnego przygotowania dołu. Ponieważ miał on dziesięć stóp głębokości, był przeto wystarczający do przeszkodzenia chcącemu wydostać się z jamy zwierzęciu, ale brzegi jego były poosuwane, nierówne, trzeba je było zatem poprawić. Zrobiliśmy je więcej prostopadłymi, a nawet u spodu jamy rozszerzyliśmy ją tak, że dno jej zajmowało większą przestrzeń, niż otwór. Uskuteczniwszy to, zakryliśmy znowu dół gałęzmi, liśćmi i trawą.

Nazajutrz rano przybyliśmy wszyscy, aby obejrzeć jamę. Każdy był ciekawy rezultatów naszej pracy. Kudzo przyszedł ze swoją olbrzymią lancą, ja zaś z Henrykiem mieliśmy swoje karabiny, a Franciszek uzbroił się łukiem, z którego strzelał tak wprawnie, jak dziki Indyanin. Przyznam się, żeśmy się spodziewali ujrzeć w jamie wilka.

Stanęliśmy wkrótce nad brzegiem dołu, ciekawie spoglądając do jego wnętrza. Otwór jamy, a raczej dziura przebita w jej pokryciu, była tak mała, że wewnątrz było prawie ciemno. Mogliśmy tylko widzieć dwoje oczu, żarzących się jak wę-

gle. Było ich tylko dwoje... więcej nie dojrzeliliśmy nic. Do jakiego one zwierzęcia mogły należeć?... oto było pytanie, któreśmy sobie wzajemnie zadawali.

Ażeby się o tem przekonać, położyłem się na brzuchu na samym brzegu dołu i spojrzałem bacznie do jego środka. Wówczas ujrzałem sześć par oczu, ale wszystkie te błyszczące pary tak się różniły między sobą blaskiem, wielkością a nawet kształtem, że zdawały się należeć do rozmaitego gatunku zwierząt.

W pierwszej chwili przyszła mi myśl, że to może pantera i jej małe, a lękając się, aby to dzikie zwierzę nie wyskoczyło z jamy, podniosłem się czempředzej. Prosiłem Maryi, aby się udała do wozu wraz z dziećmi i pozostawała tam aż do chwili, w której rozpoznam, co za zwierzęta znajdują się w dole. Wróciwszy nad brzeg jamy i podniósłszy więcej gałęzi i liści, ażeby w niej stało się jaśniej, spojrzałem do jej wnętrza. Jakaż była nasza radość, gdy pierwsze zwierzę, jakie się przedstawiło naszym oczom, było właśnie tem, w celu schwytania którego zarządziliśmy swoje sidła: samicą daniela. Ucieszyliśmy się jeszcze bardziej, gdy obok niej spostrzegliśmy dwoje pięknych stworzeń, cynamonowej barwy, które były młodymi danielkami. Staraliśmy się rozpoznać i inne trzy zwierzęta, siedzące w jamie, ale radość nasza przeszła w zadziwienie, gdyśmy w nich poznali leśne wilki

tych okolic. Kudzo natychmiast pozabijał je swą lancą.

Marya podeszła ku nam, widząc, że niema żadnego niebezpieczeństwa. Kudzo spuścił się do dołu, aby nam podać zwierzęta, które tym sposobem wydostaliśmy z jamy. Wyciągnęliśmy także i wilki, które należało odciągnąć od tych miejsc, aby trupami swymi nie odstraszały innych zwierząt od sideł. Zdobycz nasza sprawiła nam przyjemność i stała się powodem niemałej radości; cieszyliśmy się także z zabicia trzech wilków, ponieważ zwierzęta te, niezmiernie liczne w naszej dolinie, były zawsze dla nas postrachem i powodem ciągłych niepokojów.

Co było najdziwniejszem w tej całej sprawie, to to, że wilki ani tknęły danieli, ale owszem, pozostawiły je w zupełnej spokojności. Mogły z największą łatwością wydusić i rozszarpać te zwierzęta, a jednak nie pozbawiły ich ani włoska z ich skóry. Ze wszystkich zwierząt, znajdujących się w dolinie, wilki bezwątpienia należały do najmądrzejszych, jakieśmy się o tem przekonali niejednokrotnie.

Później, ponieważ chcieliśmy wytepić je jak najwięcej, urządziliśmy przeto sidła podobne do tych, jakie zrobił Henryk na indyki. Kładliśmy w nich na przynętę kawał mięsa, ale chociaż mięso to zostało pożartem, żaden wilk w sidła się nie złapał. Kładliśmy potem przynętę tak, że musiała ona zwabić te dzikie zwierzęta do środka sideł.

Gdzietam!... zastawaliśmy zawsze przynętę pożartą sidła przebite nawskrós, a wilków ani śladu. Urządziliśmy następnie olbrzymi zatrzask, taki, jakiego chłopcy używali do chwytania małych ptaków, ale i to do niczego nie doprowadziło. Zatrzask był najczęściej obalony, połamany, mięso z niego wydobyte, a naokoło tego liczne ślady dowodziły, że sprawcami tych wszystkich figłów były wilki. Trzeba było powrócić do urządzenia dołu. Skoro był wykopany i zastawiony, wilki najwyraźniej chodziły koło niego, zdejmowały i wyciągały pokrycie, zagłędały do środka, ale żaden się złapać nie dał.

Byliśmy zakłopotani temi niepowodzeniami. Niepodobna było porzucić myśli tępienia wilków, które nas każdej chwili nabawiały niepokoju. Z drugiej znowu strony nie chcieliśmy marnować resztek prochu na polowanie, któreby wprawdzie zmniejszyło ich liczbę, ale nie powiększyło naszych zapasów. Na szczęście Kudźo przypomniał sobie sposób używany w Wirginii do chwytania wilków. Zależał on na tem, że z gałęzi jakiegoś krzewu robiło się rodzaj łuku, a raczej cięciwy, która prostując się, gdy przynęta została ruszoną, zrzucała na grzbiet zwierzęcia kłodę drzewa i zabijała je. Była to myszołówka na wielką skalę. Takie urządzenie pułapki sprawiło, żeśmy przy jej pomocy wytepiłi z kilkanaście wilków, po krótkim jednak przeciągu czasu tak te zwierzęta zmądrzały, że się już podchodzić nie dały.

Wszystkie te zajścia dowodziły przebiegłości tych zwierząt, która nam wyjaśniła, dlaczego trzy wilki, znajdujące się w naszym dole z danielicą i jej małymi, nie tknęły ich. Były to niezawodnie te same bestye, które poprzedniej nocy pożarły w dole daniela. Znalazły one tam schwytaną ofiarę, którą pożarłszy, z łatwością z dołu wydostać się mogły. Nazajutrz przyszły na to samo miejsce, a nie ujrzawszy żadnej zmiany, wskoczyły do dołu; zdziwiły się jednak zapewne widząc go daleko głębszym; usiłowały zapewnić sobie odwrót, a widząc, że to jest niemożliwe, przerażone tem, co je może spotkać, wcisnęły się w kąt dołu, nie tykając łupu, po który tam weszły. Skorośmy je ujrzeli w jamie po raz pierwszy, były one stokroć bardziej przerażone, niż młode daniele. Powiecie może, że trochę przesadzam, ale przytoczę wam zdarzenie, które w części potwierdzi to, co mówię. Franciszek schwytał raz kruka wraz z indykiem, które siedziały w jednych siódkach, a jakkolwiek ptaki te zostawały ze sobą przez kilka godzin, sąsiad indykowi nienaruszył mu ani jednego piórka, zostawiając go w zupełnej spokojności.

Słyszałem też kiedyś opowiadających o panterze, która w chwili powodzi znalazła się sam na sam z daniem na jednej maleńkiej wysepce. Pantera zajęta własnem niebezpieczeństwem, ani tknęła daniela. Dzikie to i krwawe zwierzę zrozumiało, że w tej chwili pastwienie się nad jej ofiarą nie wyratowałoby jej od zguby. I z ludźmi dzieje

się tak samo: często wspólne niebezpieczeństwo zamienia wrogów na przyjaciół.

XXXVII.

Oposum i jego małe.

Zdarzenie, które wam teraz opowiem, mogło się być dla nas zakończyć w sposób najzupełniej tragiczny. Tym razem towarzyszył mi Franciszek, Henryk zaś pozostał w domu przy matce. Wyprawa nasza miała na celu zbiór mchu hiszpańskiego, który rósł na karłowatym dębie w niższej części doliny. Mech ten wysuszony na wolnym ogniu i oczyszczony z kory i liści, które się z nim pomieszały, daje się używać doskonale na materace i zastępuje wybornie końskie włosie. Nie wzięliśmy ze sobą wozu, bo Kudźo potrzebował konia i zaprzęgu do roboty około roli, była to bowiem pora drugiego zasiewu. Przynieśliśmy tylko ze sobą sznury, ażeby nimi związać pęki mchu i tak go przynieść na plecach do domu.

Przebiegaliśmy dolinę, poszukując drzewa na którym znajduje się mech i znaleźliśmy je wreszcie na samym prawie stoku góry. Był to ogromny dąb; jego gałęzie były grube i rosły nisko, okryte mchem, o które nam właśnie chodziło. Mech ten zwieszał się z nich, niby końska grzywa z szyi rumaka. Wkrótce zebraliśmy wszystek znajdujący się na pierwszej od dołu gałęzi; następnie wdarł-

szy się na drzewo, chcieliśmy zbierać mech z gałęzi wyższych.

Gdyśmy się zabrali do tej roboty i prowadzili ją z całą gorliwością, uwagę naszą zwróciły ptaki, latające niespokojnie około drzewa i świergocące z widocznym przestraczem. Spojrzeliśmy naokoło i nie ujrzeliśmy nic, coby godnem było zastanowienia. W powietrzu tylko krążył tak zwany ptak baltimorski, tak nazwany dlatego, że jest barwy czarnej z pomarańczową, a taką samą barwę nosili żołnierze księcia Baltimore wówczas, gdy koloniści tych stron ptaka tego ujrzeli. Sądziłyśmy, że ptak ten uwił sobie gniazdo na dębie, na który właśnieśmy się wdrapali i nasza obecność stała się powodem jego trwogi. Ruchy jego jednak wskazywały, że bynajmniej nie zwraca uwagi nato, co się dzieje na drzewie, a to jeszcze bardziej nas zaciekawiło. Zaprzestawszy tedy roboty około mchu, spojrzeliśmy zwysoka na przestrzeń, która rozciągała się pod naszymi stopami.

Po baczmem rozejrzeniu się spostrzeegliśmy wreszcie jakiś przedmiot, który nas jednocześnie i zaciekawił i zdziwił. Na pierwszy rzut oka niepodobna było poznać, co to takiego być może; zwierzę?... nie! Nie widzieliśmy nigdy nic podobnego; jego ciało okryte było oczami, nosami, głowami i ogonami. Posuwało się zwolna, a w jednej chwili głowy te i oczy, i uszy, odłączyły się od całego ciała i z bezkształtnej masy zeskoczyło na ziemię mnóstwo zwierzątek tak wielkich, jak szczury.



Na przeszkodzie jednak temu stawały inne dzikie, drapieżne zwierzęta, które tepiły je i wyniszczały.

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

Zwierzę, od którego się małe oddzieliły, przedstawiło nam się teraz w całej okazałości. Poznaliśmy w tej całej gromadce rodzinę *oposuma*. Był on wielkości kota i miał sierść gęstą koloru popielatego. Jego pysk czynił go podobnym do wieprza, ale wąsy po obu stronach szczęk sprawiały, że przypominał kota. Miał uszy krótkie i proste, zęby ostre, nogi krótkie także i grube. Łapy jego, których ślady odcisnięte widzieliśmy na piasku, podobniejsze były do rąk, niż do nóg, a raczej stóp. Zwierzę to miało ogon tak długi jak całe ciało, nagi i pokryty sierścią tak, jak ogon szczura. Najszczególniejszą jednak cechą jego był worek otwarty, który miało na brzuchu, a który stawiał je w rzędzie zwierząt *workowatych*. Małe oposumki podobne były do swojej matki; naliczyliśmy ich trzynaścioro, skaczących i igrających między liśćmi i trawą.

Skoro zwierzę uwolniło się od ciężaru swoich dzieci, natychmiast poczęło biegać w rozmaite strony, zwracając szczególniejszą uwagę na jedno z drzew, rosnące w pobliżu. Ptaki latały z tą samą niespokojnością co i pierwej; w locie swoim spuszczały się one czasem ponad samą ziemię a skrzydła ich zdawały się muskać grzbiet biegającego oposuma. Ten ostatni wcale nie zważał na oznaki niespokojności między ptakami, ani go to przestraszało, że zdawały się go prawie zaczepiać. Patrzył on tylko w stronę, w którejśmy się znajdowali i nabraliśmy przekonania, że uwagę jego

zwracało gniazdo ptaka baltimorskiego, zwieszające się na gałęzi w kształcie wydłużonego worka.

Po kilkunastu minutach oposum zdawał się zabierać do roboty. Stał nieopodal od swoich małych i wydał ostry okrzyk, który je zgromadził około niego. Niektóre z nich powchodziły natychmiast do worka matki, który był otwarty na ich przyjęcie, inne przy pomocy własnej i jej ogona dostały się na jej grzbiet, dwoje zaś lub troje zawiesiło się około jej szyi. Przedstawiało to szczególniejszy i ciekawy widok, któremu przyglądaliśmy się z ogromnem zajęciem.

Sądziliśmy z początku, że oposum wróci skąd przyszedł, ale przeciwnie, począł on się wdrapywać na drzewo. Skoro się znalazł w pobliżu najniższej gałęzi, która zwieszała się horyzontalnie, zatrzymał się. Wziąwszy swoje małe jedno po drugim pozawieszał je na ogonkach, które parę razy okręcił koło gałęzi. Kilko z nich pozostało na ziemi, wrócił więc po nie, wdrapał się z nimi znowu na drzewo i tak, jak poprzednio, pozawieszał je na gałęzi.

Był to widok tak komiczny, że ani ja, ani Franciszek, nie mogliśmy się wstrzymać od śmiechu, widząc te wszystkie zwierzątka pozawieszane na własnych ogonach. Nie mogliśmy się śmiać głośno, to prawda, ponieważ chcieliśmy widzieć wszystko, co się dzieć będzie następnie, a gdyby nas był spostrzegł oposum, całe widowisko poszłoby na nic.

Skoro dzieci były już bezpieczne na swej ga-

łęzi, matka poczęła się wdrapywać wyżej. Tak zręcznie obejmowała drzewo swoimi pazurami, jak człowiek, gdyby to czynił rękoma. Dosięgła wkrótce gałęzi, na której zawieszona było gniazdo, a wówczas zatrzymała się i zdawała się próbować, czy gałąź wytrzyma pod ciężarem jej ciała. I było się nad czem zastanowić, bo gdyby gałąź pękła, oposum, spadając z ogromnej wysokości, niezawodnie zabiłby się na miejscu.

Widząc gniazdo pełne piskląt, oposum postanowił popробować i puścił się z wolna po gałęzi. Nie uszedł kilku kroków, gdy gałąź zaczęła trzeszczeć. Okoliczność ta, poparta okrzykami ptaków, które uwijały się prawie pod nosem zwierzęcia, sprawiła na niem pewne niekorzystne wrażenie. Oposum spojrział na wszystkie strony i ujrzał dąb, którego jedna gałąź zwieszała się tuż nad gniazdem, o które mu chodziło. Zlazłszy z drzewa, wdrapał się na dąb. Przez chwilę straciliśmy go z oczu, ale wkrótce pokazał się znowu z pośród liści tuż nad samem gniazdem.

Zwierzę usiłowało dosięgnąć upatrzonej zdobyczy i w tym celu zawiesiło się na ogonie, bujając się tak, by łapami dotknąć mogło gniazda. Paszcza jego była otwarta, pazury wyścibione, oczy błyszczące, ale cała ta zajadłość do niczego doprowadzić nie zdołała. Gniazdo wisiało za nisko — oposum dosięgnąć go nie mógł.

W chwilę potem zwierzę to, rozjuszony niepowodzeniem, w ruchach gwałtownych zbiegło

z dębu na ziemię i wdrapało się na drzewo, na którym umieściło swe dzieci. Z dziwnym okrzykiem gniewu oposum poznosił swoje małe, zapakowawszy je w swój worek i ulokowawszy na grzbiecie. Ptactwo, widząc haniebny odwrót napastnika, wydało okrzyk radości.

I rzeczywiście, oposum, obciążony ciężarem swoich małych, znikł wkrótce w zaroślach.

XXXVIII.

Wąż moccason i ptaki.

Wzięliśmy się tedy do przerwanego zbierania mchu. Franciszek cieszył się, żeśmy odkryli gniazdo baltimorskiego ptaka, którego jeszcze nie posiadał w swoim zbiorze i powziął zamiar korzystania z odkrycia w przyszłości, gdy pisklęta stosownie podrosną, aby się bez pomocy matki wychować mogły.

Naraz powstało nowe zamieszanie między ptakami, które już od chwili odejścia oposuma zupełnie się uspokoiły.

— Drugi oposum — rzekł Franciszek. — Zapewne to ojciec, który przychodzi odszukać swoją rodzinę.

Przerwaliśmy znowu robotę, aby obaczyć, co się stało. Nie czekaliśmy długo, aby odkryć przyczynę zamieszania. Szkaradny płaz, czołgający się po trawie, ukazał się naszym oczom. Był to ol-

brzymi wąż w gatunku najjadowitszych — straszny *moccason*. Był on w istocie ogromny; jego spleczona głowa, jego wysunięte zęby i oczy błyszczące nadawały mu pozór przerażający. Czołgał się ku drzewu, na którem wisiało gniazdo. Śledzi-
liśmy jego ruchy w milczeniu, z tchem wstrzymanym, z niepokojem w duszy. Przyczółgawszy się do stóp drzewa, płaz się zatrzymał.

— Ojczy, czy sądzisz, że wąż wdrapie się aż do gniazda?... — zapytał Franciszek.

— Nie, — odrzekłem — *moccason* nie wdrapuje się na drzewa, ale mimo to biedne ptaki lękają się go, bo je tępi całemi masami.

Gdy to mówiłem, wąż opasał swem ciałem pień drzewa i wznosił głowę tak, jakby się chciał po niem czołgać ku górze. Wówczas ptaki, rozumiejąc, że *moccason* naprawdę ma zamiar się wdrapywać, pozlatywały na najniższe gałęzie i latały nad głową płaza z okrzykami niespokojności i trwogi.

Wąż, widząc, że jego fruwający przeciwnicy latają około jego paszczy, otworzył ją i zdawał się przygotowywać do ich chwytania. Jego oczy ciskały błyskawice i czarowały wystraszone ptaki, które, zamiast uciekać i kryć się, zbliżały się do węża coraz bardziej, jakby nie chciały stracić widoku swego wroga. Ich okrzyki stawały się coraz słabsze, ruchy coraz powolniejsze. Jeden z nich, jakby zaczarowany, spadł nieopodal paszczy węża. Ciekawi byliśmy widzieć, co teraz czynić będzie

moccason, gdy naraz, nie tykając swej ofiary, rozwinął swoje sploty i począł się czołgać od drzewa, przy którym dotąd pozostawał.

Ptaki w tej chwili wzleciały ku górze, z okrzykami silniejszymi, jakby w położeniu ich względem węża zaszła jakaś niespodziewana zmiana.

— Co się stało?... — zapytał Franciszek.

Nie wiedziałem co odpowiedzieć i spojrzałem po okolicy, ażeby dla siebie samego znaleźć objaśnienie. Od strony doliny tymczasem ukazał się nowy przedmiot: było to zwierzę wielkości wilka, barwy szarej, przechodzącej w czarną. Jego ciało było grube, okrągławe i pokryte sierścią, która, szczególnie na grzbiecie dochodziła do sześciu cali długości. Nadawało jej to podobieństwo grzywy. Zwierzę nie miało ogona, uszy jego były krótkie, nogi zakończone kopytami, nie zaś pazurami, pysk ogromny, uzbrojony w dwa długie kły, wychodzące widocznie ze szczęk. Głowa jego podobniejsza była do głowy wieprza, aniżeli innego jakiego zwierzęcia. Był to *pecari*, czyli dzik meksykański. Skoro zbliżył się bardziej, ujrzelśmy dwa inne zwierzęta, daleko mniejsze, tych samych kształtów. Była to więc samica *pecari* ze swojemi małemi.

Troje nowoprzybyłych zwierząt zatrzymało się nieopodal drzewa, na którym wisiało gniazdo baltimorskiego ptaka. Na ich widok ptaki poczęły się znowu niepokoić. *Pecari* jednak nie zwracał na nie najmniejszej uwagi. Zdawało nam się, że zwie-

rzę to ma zamiar rozkopywać ziemię, aby w niej szukać spadłych żołądzi.

Chodząc naokoło drzewa, pecari natrafił na ślady węża. Zatrzymał się, oparł nos na ziemi i wietrzył. Widocznie zwierzę zwietrzyło płaza, bo ruchy jego ożywiły się, a oczy błysnęły gniewem. Postąpiło naprzód, krocząc uważnie za śladami. Zdarzyło się, że zwierzę zeszło ze śladów, ale natychmiast, spostrzegłszy swoją omyłkę, wróciło na powrót i poszło inną drogą.

Jednocześnie wąż starał się oddalić jak najprędzej, ale ruchy jego były z natury tak powolne, że droga, którą przebył, była bardzo krótka. Widzieliśmy go z drzewa, czołgającego się wśród liści i traw i co chwila odwracającego głowę poza siebie. Postępował w kierunku skały, którą można było nieopodal widzieć.

Nie uszedł jeszcze połowy drogi, gdy pecari, postępując ciągle naprzód, ujrzał go. Na widok gadu zwierzę to stanęło, a zmierzwszy okiem przestrzeń dzielącą je od wroga, zdawało się przygotowywać do walki. Wąż zatrzymał się także... był strwożony. Jego oczy straciły blask, którym niedawno zdawał się czarować ptaki, a ciało jego nie mieniło się już barwami, jak poprzednio.

Naraz pecari rzucił się naprzód i w jednej chwili wpadł na przeciwnika czterema swojemi kopytami. Wąż wyciągnął się jak długi. Pecari uderzył nogami z całą gwałtownością, a skoro uderzenia te powtórzyły się kilkanaście razy, prze-

ciwnik jego legł bez śladów życia. Zwierzę zwycięski wydało wówczas okrzyk, jakby wzywało swoje dzieci, które ukryte dotąd w krzakach, znalazły się natychmiast przy boku matki, aby podzielać z nią ucztę.

XXXIX.

Walka kuguara i pecari.

Franciszek i ja byliśmy niezmiernie zadowoleni, żeśmy widzieli scenę, która tylko przypadkiem widoczną dla nas być mogła. W tej chwili myśleliśmy nad tem, jakimby sposobem złowić zwycięzcę, lub go tak samo pozbawić życia, jak on to uczynił swemu przeciwnikowi. Pragnęliśmy chociaż złowić małe, które posłużyłyby nam do zwiększenia naszych zoologicznych zbiorów, a tem samem i zapasów żywności. Powiadają bowiem, że mięso pecari jest tak smaczne, jak mięso dzika, chociaż inni utrzymują, że przypomina pieczeń z zająca. Mięso to jest bez wątpienia jadalne, trzeba tylko przy opracianiu zwierzęcia usunąć z niego gruczoł, który pecari ma z tyłu, a który nadaje mięsu odór piżma. Skoro się to uczyni, mięso po godzinnem leżeniu jest najwyborniej jadalne.

Dopóki matka była przy małych, nie miały się one czego nas obawiać. Nie odważylibyśmy się zaczepiać tak dzikiego zwierzęcia. Z psami



Spotkałem przedmiot, którego widok ściał mi wszystką krew w żyłach.

TEKA
BIV
NARODNY

nawet nie doprowadziłoby to do pewnego skutku, bo psy unikają zaczepki ze strony pecari, lękając się go bardzo. Co się zaś tyczy małych, tych nie mogliśmy ruszyć, póki ich matka żyła. Jakże jej się jednakże pozbyć?... czy posłać jej kulę?... Franciszek uważał, że byłoby to niebezpiecznym, bo zwierząt tego gatunku było mnóstwo w dolinie, a na okrzyk trwogi ze strony zaczepionej samicy, zbiegłyby się one, aby krwawo pomścić jej śmierć. Zgodziłem się najzupełniej na to zdanie; postanowiliśmy przeto nie zaczepiać jeszcze zwierzęcia, ale swoją drogą przygotowaliśmy karabin na wszelki przypadek.

Tymczasem zwierzę to zajęte było bardzo pożeraniem zabitego węża. Oddzieliło ono głowę jego od reszty ciała, i wzięwszy trupa pod nogi, obdarło go ze skóry. Następnie pecari poczęło pożerać białe mięso moccasona, co chwila rzucając jego kawałki łakomym swoim dzieciom, które przyjmowały tę ucztę krzäkaniem zadowolenia.

Chciałem w tej chwili strzelić i już przyłożyłem broń do oka, gdy nagle ukazał się w dolinie nowy przedmiot. Ujrawszy go, opuściłem karabin z trwogą. Pecari znajdowało się o jakie pięćdziesiąt kroków od nas, a o trzydzieści kroków od niego ukazało się zwierzę, wcale do niego niepodobne. Było ono zato podobne do dużego cielęcia, ale miało krótsze nogi a dłuższe od niego ciało. Skóra jego była barwy ceglastej, ciemnej, z wyjątkiem piersi i brzucha, które były prawie

białe. Proste uszy, krótkie i czarniawe, głowa i pysk dawały mu pozór kota; ale grzbiet, nie tak zaokrąglony, był jakby zapadnięty, tak, że znajdował się niżej, aniżeli wybitnie oznaczone i wzniesione łopatki.

Jakkolwiek nigdy dotąd nie widzieliśmy tego zwierzęcia, słyszeliśmy jednak tyle o niem, o jego drapieżności i dzikości, żeśmy natychmiast poznali w niem straszego *kuguara*.

W pierwszej chwili na widok jego uczuliśmy trwożę, łatwo usprawiedliwioną. Pecari bynajmniej nas nie przestraszał, bośmy wiedzieli, że zwierzę to nie wdrapuje się na drzewa, że przeto szkodzić nam nie może. Co się tyczy kuguara, nietylko że wdziera on się na drzewa, ale uwijać się po nich może jak wiewiórka. Jest zręczny jak kot, a szybki jak błyskawica.

Wbiegłszy na polankę, kuguar stanął i wlepił wzrok w pecari, który nie spodziewał się i nie przeczuwał obecności nieprzyjaciela. Kuguar po chwili posunął się naprzód, a mowę posunął się, bo się rzeczywiście sunął raczej, niż szedł. Jego brzuch dotykał ziemi, ogon jego ciągnął się za nim, jak ogon czającego się kota, a nogi stapały zwolna, w dużych, podstępnych krokach.

Pecari pożerał węża, nie wiedząc o niebezpieczeństwie, które go czeka. Ziemia naokoło niego pokryta była zeschniętymi liśćmi i opadłymi gałązkami, wielkie drzewo rosło o kilka kroków od niego, a jedna z gałęzi tego drzewa zwieszała się hory-

zontalnie nad samą głową uczującego zwierzęcia. Kuguar zatrzymał się, widocznie lękając się, że szelest deptanych liści zdradzi jego obecność, i namyślał się, co począć dalej. Wiedział o tem, że napad otwarty na nieprzyjaciela może się stać dla niego niebezpiecznym; szczątki olbrzymiego węża aż nadto dobrze o tem świadczyły. Był jeszcze za daleko, aby rzucić się jednym skokiem, szukał więc sposobu pewniejszego i skuteczniejszego ataku.

Naraz spostrzegł gałąź, zwieszającą się nad głową pecari. Zwrócił się zwolna bez szmeru i posunął się w kierunku drzewa. W jednej chwili ujrzeliśmy go na drzewie, usłyszawszy szelest, jaki sprawiały jego pazury, drapiące korę. Pecari usłyszał go także, podniósł głowę, krząknął niespokojnie, ale myślał zapewne, że to wiewiórka, bo wziął się dalej do swojej uczy.

W tej chwili kuguar czołgał się po gałęzi, jak czający się kot, a doszedłszy do obranego miejsca, wydał groźny okrzyk i skoczył na grzbiet swej ofiary. Jego pazury wpiły się w gardło pecari, który wyciągnął się pod tym śmiertelnym uściskiem. Wystraszone zwierzę wydało jęk przerażenia, usiłując wydostać się z objęć przeciwnika. Po chwili walczący upadli na ziemię. Pecari ryknął głosem tak silnym, że zbudził echa najdalszych zakątków lasu. Jego małe biegały na wszystkie strony, biorąc udział w walce i krzycząc, jak ich matka. Kuguar tylko milczał; od chwili rozpoczęcia walki

nie wydał on najcichszego głosu, jego pazury jednak i zęby szarpały rozjuszonego przeciwnika z zaciętą wściekłością.

Walka nie trwała długo; pecari nie zdołał opanować przeciwnika i runął na ziemię, nie mogąc uwolnić się z pod jego ciosów. Kuguar, rozdzierając mięso na jego szyi, pił krew zwyciężonego zwierzęcia, która płynęła strumieniem.

Nie sądziliśmy, aby było roztropnie z naszej strony mieszać się do walki. Wiedzieliśmy, że kuguar może z nami stoczyć bój równie krwawy, skoro staniemy mu w drodze, dlatego też siedzieliśmy na drzewie cicho i bez ruchu, lękając się sprawić najmniejszy szelest, któryby zdradził naszą obecność. Chciałem strzelić do kuguara wówczas, gdy będzie zajęty pożeraniem swojego łupu, ale z drugiej strony byłem pewny, że jedna kula nie może pozbawić życia i sił zwierzęcia tak dzikiego i silnego, postanowiłem czekać więc zakończenia jego uczyty, w nadziei, że wówczas sam się oddali.

Uczta ta jeszcze się nie skończyła, gdy dzikie i wściekłe krzyki dały się słyszeć od strony lasu. Kuguar wyteżył uszy i słuchał. Przez krótką chwilę zdawał się namyślać, co czynić dalej; postanowienie jego jednak było szybkie i stanowcze: schwywszy zębami ciało nieżywego pecari, zarzucił je sobie na grzbiet i postąpił kilka kroków naprzód, zapewne w celu oddalenia się.

Postąpił kilka kroków zaledwie i stanął. Sze-

lest deptanych liści i łoskot od strony lasu zbliżał się coraz bardziej. W pół minuty potem ujrzelśmy mnóstwo czarnych zwierząt, wbiegających na łączkę. Za jednym rzutem oka poznaliśmy, że to gromada pecari. Było ich ze trzydzieści, a widocznie zbiegały się ze wszystkich stron, zwabione groźnym okrzykiem zabitego towarzysza. Biegły one szybko, wydając krzakanie pełne wściekłości.

Znalazły się na łączce w chwili, gdy kuguar zabierał się do odwrotu. Naraz otoczyły go ze wszystkich stron. Z otoczenia tego nie było wyjścia.

Kuguar, widząc, że odwrot jego jest niemożliwy, zrzucił z siebie ciężar, który tamował swobodę jego ruchów, i rzucił się na najbliższego z przeciwników, którego też zwałił na ziemię. Nie miał jednak czasu cofnąć się po dokonanej zaczepce, gdyż pecari, ścisnąwszy otaczające go koło, natarły na niego z zapalczywością, która sprawiła, że z boków ściśniętego zwierzęcia pociekła krew. Miał on przed sobą teraz zastęp groźny i nieprzebity, z którym walka do zguby doprowadziłaby musiała.

Usiłował przez jakiś czas utrzymać przeciwników w szachu, ale koło, które go otaczało, stawało się coraz bardziej ściśniętem. Starał się z tego koła wydostać, ale było to prawie niepodobieństwem, bo pecari śledziły bacznie każdy jego ruch i nacierały z zapalczywością, która bez odporu pozostać nie mogła. Kuguar uwijał się, przyjmując i odrzucając ciosy, a wreszcie upatrzył chwilę,

w której w szalonych rzutach wydostał się ze środka walczącej ze sobą gromady.

Jakaż była nasza trwoga, gdyśmy ujrzeli, że straszne to zwierzę zbliża się w stronę, w której była nasza kryjówka. Przygotowałem karabin, aby na każdą chwilę dać odpór napadowi kuguara, a zanim to zdołałem uczynić, krwawa ta bestya w kilku susach znalazła się ponad naszymi głowami. Przestrzeń zaledwie kilkunastu stóp oddzielała go od nas; jego pazury nieledwie dotykały lufy mego karabina — czuliśmy prawie oddech jego na naszych twarzach. Pecari, widząc uciekającego wroga, otoczyły drzewo, które było zarazem jego i naszą kryjówką. Jedne z nich biegały naokoło, rzucając w górę spojrzenia pełne wściekłości, inne znów darły korę drzewa kopytami, wydając okrzyki tak zacięte, że nas mrowie przechodziło.

Trwoga, która nas opanowała, nie trwała długo. Zastanowiliśmy się nad tem, co nam czynić wypada. Kuguar mierzył nas dzikiem i strasznym spojrzeniem; zdawało się, że jeden jego skok ku nam, a krwawy dramat nastąpi.

Sądziliśmy przez chwilę, że się rzuci na nas; patrzyliśmy na jego ruchy z obawą nagłego napadu. Pod stopami mieliśmy nie mniejsze niebezpieczeństwo. Cała gromada dzikich zwierząt rzuciłaby się na nas, gdybyśmy dotknęli stopą ziemi.

Znajdowaliśmy się w strasznym niebezpieczeństwie. Wypadało postanowić coś natychmiast. To,

co nam groziło ze strony kuguaru, wymagało szybszego i stanowczego przeciwdziałania. Dopókiśmy byli na drzewie, nie mieliśmy się powodu obawiać zwierząt, które się około niego uwijały, ale kuguar mógłby się dla nas stać strasznym w każdej chwili. Należało przede wszystkim uwolnić się od tego krwawego sąsiada.

Kuguar tymczasem pozostawał nieruchomy na jednej z gałęzi drzewa, na której się schronił. Nie zaczepiał nas, ponieważ lękał się spaść, bo w takim razie zostałby najniezawodniej rozszarpanym na kawałki zębami i kopytami zaciętych pecari. Obawa takiej ostateczności nakazywała mu nie poruszać się. Rozumiałem przyczynę zwłoki w jego napadzie, ale wiedziałem także, że pecari oddalą się wreszcie, a wówczas...

Franciszek był bezbronny. Przyniósł on ze sobą wprawdzie łuk i strzały, ale pozostawił je pod drzewem, a w tej chwili pecari miażdżyły je na wióry, wściekłymi uderzeniami swych kopyt. Kazałem mu się usadowić za sobą, aby go usunąć z drogi kuguarowi, w razie gdy tylko ranię to zwierzę i gdy się ono na nas rzuci. Czyniliśmy wszystko najostrożniej i w zupełnym milczeniu, aby nie przestraszać potworu, siedzącego nad nami.

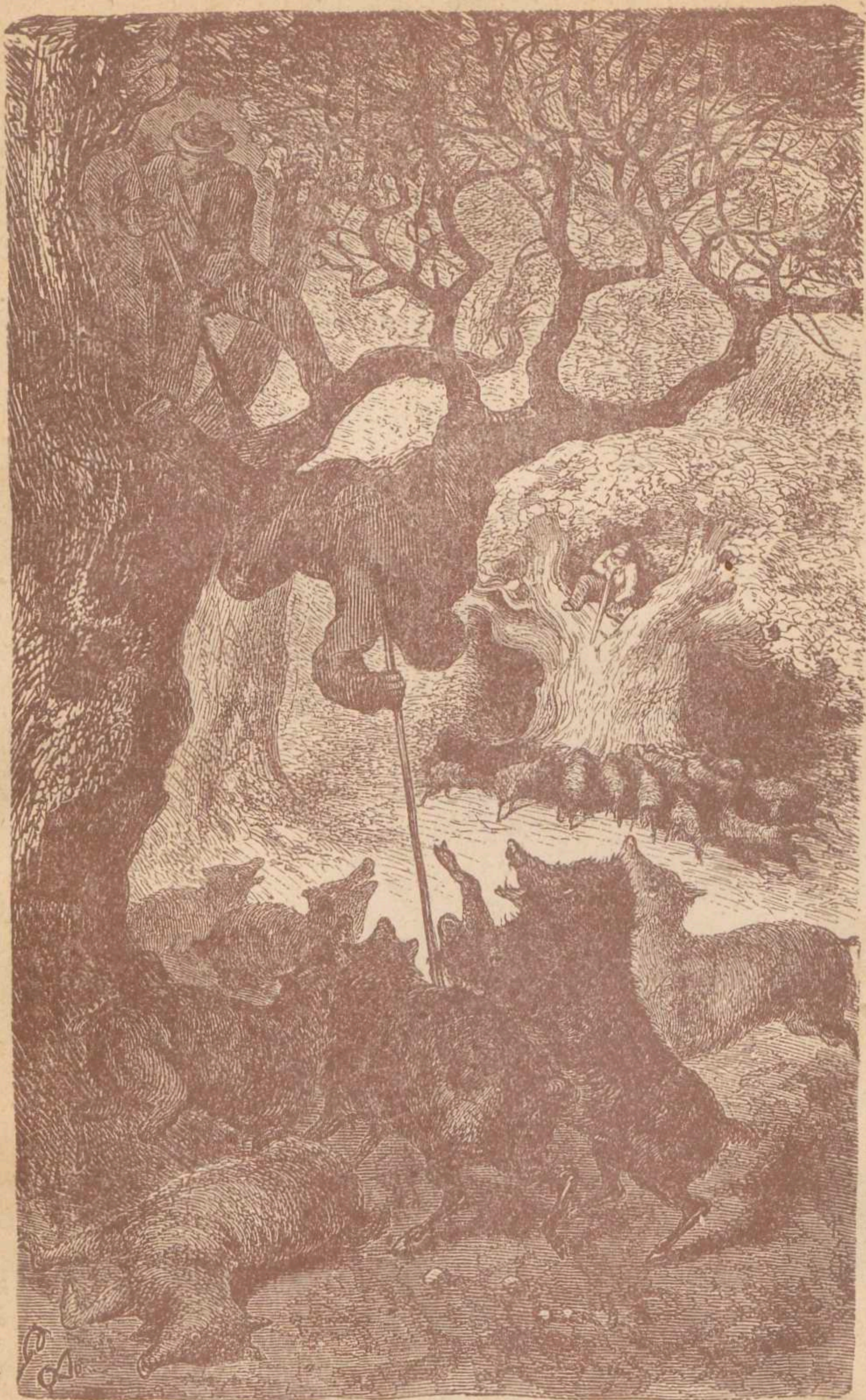
Skoro już przygotowałem wszystko, przyłożyłem karabin do oka. Gałąź przeszkadzała mi widzieć całego kuguaru; mogłem dojrzeć tylko jego głowę. Była to jedyna część jego ciała, jakiej nie zasłaniały przed moimi oczyma liście. Zmierzyłem

i... wypaliłem. Dym zasłonił przez chwilę wszystko, tak iż nie mogłem ocenić skutku wystrzału, ale słyszałem łoskot i trzeszczenie gałęzi, co kazało mi się domyślać, że jego ciało runęło z drzewa i spadło na ziemię. Natychmiast pod naszymi nogami wszczęło się ogromne zamieszanie. Spojrzałem na dół; kuguar skrwawiony z wysiłkiem widocznym opędzał się napastniczej gromadzie zwierząt; walka jednak nie trwała długo. Po kilku minutach legł rozszarpany i zdeptany, pod kopytami tryumfujących pecari.

XL.

Na drzewie.

Sądziliśmy przez chwilę, że jesteśmy ocaleni. Czuliśmy taką radość, jaką czuć może ten tylko, kto wychodzi cało z wielkiego niebezpieczeństwa. Myśleliśmy, że pecari, skoro ich nieprzyjaciel legł, oddalą się wkrótce, nie mając powodu do dłuższego pod drzewem czatowania. Rozczarowanie jednak nasze było bolesne, skoro ujrzeliśmy, że się przeciwnie na coś innego zanosi. Zamiast rozproszyc się lub oddalić po zwycięstwie, pecari otoczyły drzewo znowu, spoglądając na nie z równą wściekłością, jak poprzednio. Zdawały się zdecydowane na to, aby nas pożreć, jeśli im się to uda. Taka to była wdzięczność za pozbawienie ich najcięższego i wspólnego wroga.



J. GAUGHARD.

a jego długa lanca co chwila zanurzała swe ostrze w czarnej masie gromady.

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

Siedzieliśmy na najniższej gałęzi i mogliśmy widzieć doskonale wszystko, co się działo u stóp drzewa. Mogliśmy się wdrapać wyżej, ale to byłoby nieużyteczne, bo i tak pecari dosięgnąć nas nie mogły. Mogliśmy się tylko obawiać śmierci z głodu i pragnienia w razie, gdyby nie chciały nas odstąpić, a według tego, com słyszał o tych zwierzętach, obawa taka nie była bynajmniej bezzasadną.

Nie chciałem strzelać do dzikich pecari, przypuszczając, że przyjdzie wreszcie chwila, w której gniew tych zwierząt osłabnie. Wdrapaliśmy się tylko trochę wyżej, aby tym sposobem ukryć się przed ich oczami i pozwolić o sobie zapomnieć.

Po upływie dwóch godzin spostrzegliśmy, że wszystko to nie przynosi żadnej korzyści. Pecari, jakkolwiek teraz spokojne, otaczały ciągle drzewo i zdawały się zdecydowane siedzieć tu i dłużej. Niektóre z nich położyły się na ziemi, w celu przepędzenia czasu bez fady, inne zaś stały lub chodziły, ale żadne z tych zwierząt nie oddaliło się.

Cierpliwość moja poczyniała się przebierać. Wiedziałem, że rodzina jest niespokojną z powodu zbyt długiej naszej nieobecności; mogłem się nawet spodziewać, że Henryk i Kudzo zechcą nas szukać, i przyszedłszy aż tutaj, nie zdążą wdrapać się na drzewo, aby uniknąć nieznanego sobie niebezpieczeństwa. Dlatego też postanowiłem parę

razy wystrzelić, aby się przekonać, jakie to wywoła wrażenie w bandzie naszych napastników.

Zszedłem na najniższą gałąź drzewa, ażebym mógł lepiej i skuteczniej wycelować. Huk mego karabina za chwilę ozwał się, tysięcznym echem powtórzony we wszystkich okolicach lasu. Strzeliłem pięć razy, a każdy strzał mój położył jednego pecari, inne jednak, zamiast się przerazić spustoszeniem, które wśród nich czyniłem, biegały wściekle naokoło trupów swoich towarzyszy, a potem z największą furją rzucały się na pień drzewa, tłukły go kopytami i zdawały się chcieć wdrapać się aż do nas.

Nabijając karabin do szóstego wystrzału, spostrzegłem, że pozostaje mi jeszcze jedna tylko kula. Możecie sobie wyobrazić, że podobne spostrzeżenie w naszym położeniu musiało mnie wzruszyć, a nawet przerazić. Wbiłem ją w lufę karabina i strzeliwszy raz jeszcze do gromady, położyłem trupem szóstego pecari. Do czego to jednak posłużyć miało?... wściekle te zwierzęta zdawały się przyjmować ciosy śmierci z zimną obojętnością.

W tej chwili nie wiedziałem już najzupełniej co należy czynić dalej. Wdarłem się na drzewo wyżej, aby siedzieć przy Franciszku. Położenie nasze stawało się coraz przykrzejsze. Wypadało nam tylko czekać, czekać z niecierpliwością, której nic zachwiać nie powinno, w nadziei, że może noc zdoła nas uwolnić z oblężenia, w którymśmy się znajdowali. Spoglądaliśmy często, co się dzieje

pod nami... nie zaszła tam najmniejsza zmiana. Zwierzęta z okrzykami wściekłości otłukiwały kopytami korę drzewa; ich zapalczywość nie ostygła wcale. Widząc to, postanowiliśmy siedzieć spokojnie na drzewie i nie zwracać uwagi na bezowocną wściekłość zwierząt, od których wreszcie może Opatrzność nas oswobodzi.

Siedzieliśmy dosyć długo prawie bez ruchu, gdy niespodzianie spostrzegliśmy dym, który dosięgał aż do nas. W pierwszej chwili przypuszczałem, że jest to dym powstały z wystrzałów, który teraz, opadając z góry na dół, dał się nam widzieć. Dym jednakże stawał się coraz gęstszym i przekonaliśmy się po zapachu, że nie wyszedł bynajmniej z lufy karabina. Dym ten dławił nas i gryzł nasze oczy, przymuszając doduszającego kaszlu. Spojrzawszy nisko, nie mogłem odróżnić ani ziemi, ani zwierząt; widziałem tylko obłok dymu, który zasłaniał wszystko. Słyszałem krzyki dzikich pecari, ale krzyki te zdradzały niespokojność. W tej chwili przypomniałem sobie, że przy jednym z wystrzałów pakuły mego karabina, tłąc się, padły na mech, a przypuszczenie, że od nich wszczął się ogień, wkrótce zostało stwierdzone. Jasny płomień duchnął w stronę, w której leżały nasze zapasy mchu. Przekonaliśmy się także, że dym nie dosięgnie miejsca, w którym się schroniliśmy, ale że wszystkie nasze zapasy mchu są zagrożone zniszczeniem.

Wdrapaliśmy się na najwyższe gałęzie drzewa,

aby uciec przed chmurą dymu, która wznosiła się bezustannie i otaczała drzewo. Obawialiśmy się, aby dym nas nie odurzył, bo wówczas który z nas mógłby spaść w sam środek dzikiej gromady za lada potknięciem się. Lękaliśmy się także, aby ogień nie dosięgnął nas za pośrednictwem zwieszających się daleko gałęzi. Na szczęście albośmy je obłamali, albo tak z mchu ogołocili, że zapalić się zdaleka nie mogły.

Skorośmy się wydostali z dymowej chmury, ujrzeliśmy, że pecari formują gromadę więcej zbitą, po której łatwo było poznać, iż ją ogień przestrasza.

— Teraz możemy się stąd wydostać — rzekłem — pecari, przedzielone od nas dymem, są zanadto daleko, aby przez jego gęstą masę spostrzedz mogły naszą ucieczkę.

Staralem się zbadać miejscowość i rozpoznać kierunek wiatru, który pędził obłoki dymu wraz z iskrami. Zwierzęta były w innej stronie, a gdybyśmy tylko zdołali dosięgnąć ziemi, nie będąc widziani, moglibyśmy umknąć z największą łatwością. Jużeśmy schodzili na najniższą gałąź, aby wykonać powzięty zamiar ucieczki, gdy naraz głos, który nas zarazem wzruszył i przeraził, dał się nam słyszeć. Poznaliśmy szczekanie naszych psów. Henryk albo Kudzo, a może obydwaj spieszą ku nam. Psy pędzą, aby zginać pod kopytami wściekłych pecari, a za nimi Henryk biegnie, by być rozszarpanym w sztuki!... Na tę sztraszliwą

myśl serca nasze poczęły bić trwogą... Tak, to były psy! Ich szczekanie zbliżało się coraz bardziej, a za chwilę mogliśmy rozpoznać i głosy ludzkie, które nimi kierowały. Były to głosy Henryka i Kudża, którzy przybywali nam na pomoc.

Nie wiedziałem co czynić. Niepodobna było czekać bezpiecznie katastrofy, która za chwilę mogła tu nastąpić; niepodobna było zostawić nadbiegających bez ostrzeżenia, bo to naraziłoby ich na nieochybną zgubę. Co czynić?...

W jednej chwili powziąłem postanowienie. Od dałem Franciszkowi karabin, sam zaś pochwyciłem własny wielki nóż. Tak uzbrojony, rzuciłem się przez dym i płomienie, które już zapas mchu do połowy pożarły. Biegłem jak szalony... nogi moje nie dotykały prawie ziemi; ubiegłszy jakieś kroki, spostrzegłem psy, a tuż za nimi Henryka i Kudżę. Rzuciwszy okiem poza siebie, spostrzegłem także całą gromadę pecari, która pędziła za mną... Na szczęście w kilku słowach miałem czas przestrzedz nadbiegających i rzuciłem się na jedno z drzew, wdrapując się na jego pień. Henryk i Kudżo uczynili to samo, psy zaś rzuciły się śmiało na nadbiegającą gromadę. Zapał ich jednakże prędko ostygł; po pierwszym natarciu Kastor i Polluks zwróciły się w stronę Henryka i Kudżę. Na szczęście dla biednych stworzeń gałęzie drzewa były bardzo mało wzniesione i Kudżo zdołał je powciągać, w przeciwnym bowiem razie uległyby temu samemu losowi, co kuguar.

Pecari jeszcze bardziej rozwścieczone napadem psów, rzuciły się z większą zapalczywością i otoczyły wkrótce drzewo, na które wdarłyby się z pewnością, gdyby tylko były do tego zdolne.

Trwoga, którą czułem aż do tej chwili — opuszczała mnie. Staralem się rozpoznać położenie rzeczy; z miejsca, na którym siedziałem, niepodobna było widzieć ani Kudza, ani Henryka, widziałem jednak czarną gromadę zwierząt, które ich atakowały. Słyszałem także krzyki Henryka i Kudza, szczekanie psów i dzikie głosy pecari.

Wszystko to składało się na przerażająco dziki koncert. Cokolwiek później usłyszałem huk małego karabinka i ujrzałem jednego pecari, padającego trupem. Kudzo krzyczał ze wszystkich sił, a jego długa lanca co chwila zanurzała swe ostrze w czarnej masie gromady. Gdy ostrze to w niej utkwiło, krew się lała, a liczba nieprzyjaciół zmniejszała się. Henryk strzelał wciąż, a tak dobrze razili napastników, jeden wystrzałami karabina, drugi zaś uderzeniami lancy, że z każdą chwilą liczba pecari malała... To poczynało wreszcie niepokoić całą gromadę, z której już pozostało zaledwie kilkoro zwierząt. W chwilę potem napastnicy nasi, którzy trzymali nas tak długo w bezowocnem oblężeniu, pierzchnęli w nieładzie, zostawiając nam drogę wolną i swobodną.

Czekaliśmy przez jakiś czas, ale widząc, że pecari uciekły bezpowrotnie, zeszliśmy z drzew i puściliśmy się jak najszybciej w drogę ku do-

mowi, gdzie Marya oczekiwała nas wśród niespokojności i trwogi.

Nieraz nam się zdarzyło później spotkać pecari w naszych wycieczkach, nieraz też mogliśmy je brać żywcem, ale nigdy nie odważyły się nas zaczepiać. Porażka, jakiej doznały, odebrała im ochotę do walki, straciły zresztą odwagę, widząc, że w spotkaniu z nami ani wściekłość, ani zawziętość nie wiele wskóra. Zdaje się zresztą, że banda, która nas napastowała, była jedyną w tych okolicach i że przerzedzona bardzo, trzymała się na uboczu, aby się nie narażać na zupełną zgubę.

Następnego dnia wróciliśmy na miejsce naszego obleżenia uzbrojeni odpowiednio, ale, dziwna rzecz, nie zastaliśmy tam ani zabitego wczoraj kugara, ani trupów pecari. Dzikie zwierzęta doliny oczyściły pole bitwy tak, że nawet ślady krwawej walki wczorajszej zaginęły.

XLI.

Spotkanie z czarnymi wilkami.

W ciągu roku uskuteczniliśmy dwa zbiory zboża; w tych stronach zboże potrzebuje tylko dwóch miesięcy czasu do zupełnego wzrostu i dojrzewania. Przy zwózce plonu obróciliśmy dwadzieścia razy wozem tam i napowrót, a to, cośmy zebrali, wystarczyć mogło dla nas i dla naszych zwierząt na zimę.

Drugi rok przeszedł tak jak poprzedzający. Zbieraliśmy na wiosnę klonowy cukier i zasieliliśmy bardzo dużo zboża. Powiększaliśmy swoją kolekcję zwierząt, danieli i antylop, a nawet schwytaliśmy wilczycę z bardzo licznym dochówkiem. Nie potrzebuję wam zapewne mówić, że musieliśmy zabić matkę, aby przyswoić jej dzieci, co się nam zresztą udało. Stały się one tak łagodnymi jak psy, z którymi też żyły w jak największej przyjaźni, jak gdyby należały do jednego i tego samego gatunku.

Podczas lata i zimy przeszliśmy bardzo wiele zdarzeń, szczególnie na polowaniach i łowach, ale o tem wszystkim zamilczę, bo byłby to przedmiot prawie niewyczerpany. Opowiem wam za to zdarzenie, które było i interesujące i groźne, przez to właśnie, że było w swoim czasie bardzo niebezpieczne.

Było to w środku zimy. Śnieg gruby pokrywał ziemię, a sędzę, że zimno było tak wielkie, iż można je było nazwać wyjątkowem, z uwagi na tutejszy klimat.

Jeziro zamarzło, a lód był silny i jednolity na całym jego obszarze. Przepędzaliśmy większą część czasu na ślizganiu się, co nas zarazem rozgrzewało i powiększało apetyt. Kudzo tylko nie mógł się wciągnąć do tej rozrywki i prawie nigdy jej nie próbował. Najlepszym, najwprawniejszym łyżwiarzem był Franciszek.

Pewnego dnia ani Kudzo, ani ja nie poszliśmy



ale widząc błyszczący ostrz mego ogromnego noża, trzymały się w przyzwoitej odległości

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

na jezioro. Franciszek i Henryk pobiegli tam obaj, myśmy zaś zostali w domu, ażeby pozalać niektóre domowe czynności. O uszy nasze obijały się śmiechy wesółych chłopców i szelest ich łyżew.

Naraz krzyk, hasło niebezpieczeństwa, zaniepokoił nas.

— Robercie — zawołała moja żona — niezawodnie lód się pod nimi załamał!

Rzuciliśmy robotę i pobiegliśmy ku drzwiom... Po drodze schwyciłem sznur, Kudzo zaś porwał swą olbrzymią lancę, sądząc, że przydać się może. Była to czynność jednej chwili i w ciągu jednej minuty byliśmy już na dworze. Zdziwiliśmy się niezmiernie, ujrawszy chłopców szybujących ze wszystkich sił na swoich łyżwach po jeziorze w kierunku ku domowi. Po chwili jednak spostrzegliśmy za nimi rzecz straszną... gromadę wilków we wścieklej pogoni. Nie były to leśne wilki, które dziecko kijem straszyć i odpędzać może; były to wilki tak zwane *wielkie*, czarne, mieszkańcy dzicy gór Skalistych. Było ich sześć. Wielkością przechodziły one dwa razy zwyczajnego wilka; ogromne ciała czarne, wychudzone przez głód, nadawały tym zwierzętom widok groźny i straszny. Pędziły z błyszczącymi ślepiami, z otwartą paszczą, z wywieszonym językiem, błyszcząc białymi, wielkimi zębami.

Nie zatrzymawszy się ani na chwilę, biegnęliśmy ku jezioru. Rzuciłem sznur, pochwyciwszy natomiast pierwszy lepszy kawał drzewa; Kudzo tym-

czasem wyprzedził mnie, gotów rzucić się na wilki z laną w rękę. Marya była na tyle przytomna, że pobiegła do domu, aby przynieść mój duży karabin.

Henryk był na przodzie, Franciszek biegł za nim. Dziwiło nas to, ponieważ Franciszek lepiej jeździł na łyżwach niż Henryk, i powinien go być wyprzedzić. Wołaliśmy na nich, aby im dodać odwagi naszą obecnością. Znajdowali się w największym niebezpieczeństwie: wilki deptały im prawie po piętach.

— Wielki Boże!... one ich pożrą!... — wołałem w trwodze, aby który z chłopców nie potknął się i nie upadł.

Franciszek zdawał się tracić siły. Wilki przybliżały się do niego z widoczną szybkością i lada chwila miały go dosięgnąć. Jakież było moje zdziwienie, gdy niespodzianie Franciszek zwrócił się, zmienił kierunek biegu i znalazł się o kilkanaście kroków od ścigającej go gromady zwierząt. Wilki zawahały się... i popędziły śladami Henryka. Zadrzałem znowu o niego, gdy dzielny chłopiec, naśladując wybieg brata, zmienił także kierunek i tym sposobem wyprzedził wilki. Straszne te zwierzęta znowu się zawahały, ale ponieważ Henryk był względem nich bliżej niż Franciszek, pobiegły przeto za nim. Obawa nasza wzrastała... śledziliśmy każdy krok, każdy najlżejszy ruch uciekającego chłopca...ⁿ gdy niespodzianie Franciszek ukazał się w tyle poza wilkami i począwszy krzy-

cząc z całych sił, zwrócił ich wściekłość na siebie. Henryk tymczasem zmienił po raz wtóry kierunek biegu i korzystając z pomieszania wilków, wyprzedził je o kilkanaście kroków.

Franciszek, pędząc w przeciwną stronę krzyknął:

— Henryku, dosięgnij brzegu!... — i jednocześnie ciągnął za sobą gromadę wilków, wściekłych, rozżartych.

Nieopodał od brzegu znajdował się przerembel; właśnie ku niemu Franciszek się zbliżał, pędząc z tak gwałtowną szybkością, że lękaliśmy się, aby nie wpadł pod wodę, nadbiegłszy na przerembel i nie mogąc się w pędzie powstrzymać. Wiedział on jednak, co robił. Gdy się znalazł prawie nad brzegiem przerembla, zwrócił się nagle i począł biec ku nam. Wilki, które w rozpędzie nie zdołały powstrzymać biegu i uniknąć przepaści, której nie spodziewały się zresztą, wpadły w wodę.

Bieglśmy z Kudzem na pomoc Franciszkowi; widząc co się stało, dosięgliśmy brzegów przerembla i rozpoczęliśmy walkę, która się skończyła tem, że pięć wilków zatoneło, szósty zaś zdołał się wydostać na lód. Trząśnięty od zimna, od zmęczenia i od wściekłości. Sądziłem, że się rzuci na nas, gdy usłyszałem wystrzał karabinowy i ujrzałem straszne to zwierzę upadające z wyciem, zwiastującym bliską śmierć.

Odwróciłem się i ujrzałem Henryka z moim karabinem w ręku, który mu Marya podała.

Wilk jednak nie zdechł; był on tylko ciężko raniony i zerwał się po chwili z podwójną wściekłością. Wówczas Kudzo poskoczył ku niemu i zakończył walkę silnym ciosem swej lancy.

Zdarzenie to kosztowało nas dużo wzruszeń... dzień ten będzie dla nas pamiętnym na zawsze. Franciszek, który postąpił jak bohater, zachowywał zupełne o czynie swym milczenie, a jednak, gdyby nie on, gdyby nie poświęcenie jego, biedny Henryk stałby się niezawodnie pastwą wilków.

XLII.

Wielki jeleń.

Przy końcu trzeciego roku nasze bobry tak się już rozmnożyły, że osadziliśmy za rzecz stosowną łowić z nich niektóre, aby rozpocząć zbiory bobrowych futer. Były one tak oswojone, że przychodziły ku nam, aby z rąk naszych brać pożywienie. Mogliśmy tedy łatwo chwycić te, które chcieliśmy zabić, nie straszac innych. Zbudowaliśmy w tym celu rodzaj szluzy, która oddzielała małą część jeziora od całości. Chcąc pochwytać bobry, rzucaliśmy w wodę gałęzie sasafrasu, do których się one zbiegały, a wówczas dosyć było podnieść szluzę, by pochwytać zwierzątko

z łatwością, nie niepokojąc osady bobrów, na jeziorze osiadłej. Robiło się to bez szelestu prawie, spokojnie, a żadne ze zwierząt, któreśmy pochwycili, nie wracało już nigdy do osady, nie mogło jej zatem ostrzedz o niebezpieczeństwie.

Przy pierwszym połowie zebraliśmy skór, czyli futer bobrowych, za dwanaście tysięcy franków, tak zwanego zaś *stroju bobrowego* (*castoreum*) za tysiąc trzysta franków. Drugi rok wzbogacił nas w futrach o dwadzieścia pięć tysięcy franków; w ciągu tego drugiego roku zbudowaliśmy sobie inny dom, stary obracając na skład futer. Trzeci rok był jeszcze szczęśliwszy, a następne przewyższyły nasze oczekiwania. Skład nasz mieścił w sobie futer za sto kilkanaście tysięcy franków. Towar w tej ilości znajduje się do tej chwili na składzie w najlepszym stanie. W bobrach żyjących posiadamy prócz tego przeszło sześćdziesiąt tysięcy franków, a tym sposobem całkowity nasz majątek przechodzi 160.000 fr. Powiedzcież mi tedy, moi przyjaciele, czy przepowiednia Maryi, że możemy się z bogacić na pustyni, nie sprawdziła się w zupełności?...

W chwili, gdyśmy po raz pierwszy zastanowili się bacznie nad tem, co posiadamy, myśl uparta, nie opuszczająca nas odtąd ani na jedną minutę, poczęła nas trapić. Jakim sposobem towar, nagromadzony tak troskliwie i szczęśliwie zarazem, wyprowadzić na targ, jakim sposobem go spieniężyć, a przede wszystkim jakim sposo-

bem wydostać się z doliny, z pustyni, aby się znaleźć między ludźmi?...

Było to pytanie dręczące, trudne do rozwiązania... bez wywiezienia towaru z doliny na targi, towar ten jest dla nas rzeczą bez użytku, bez najmniejszej wartości. Można go w takim stanie porównać z workiem złota, który znajduje człowiek, umierający na pustyni z głodu i pragnienia. Choć posiadaliśmy w dolinie wszystko, co było potrzebnem do życia, czyliż mimo to nie znajdowaliśmy się w pustyni, w więzieniu, przez to właśnie, żeśmy się z niego wydostać nie mogli?... Z pośród wszystkich zwierząt, jakieśmy posiadali, jeden tylko Pompo mógł iść w zaprzęgu. Ale Pompo zestarzał się, jego siły zesłabły... Gdyby nam przyszło porzucić dolinę, nie zdołałby on uciągnąć wozu z kilkoma osobami, a cóż dopiero z całym zapasem skór bobrowych.

Byliśmy szczęśliwi i zadowoleni ze swojego obecnego położenia, ale myśl o przyszłości trapiła nas. Ja i moja żona mogliśmy nazawsze pozostać w dolinie, ale szło nam o dzieci. Należało pamiętać o ich wychowaniu, a przecież nie mieliśmy prawa skazywać ich na życie dzikie i odosobnione, skoro przyszli na świat pośród ludzi i pośród cywilizacyi.

Pewnego razu oświadczyłem żonie, że chcę wziąć Pompa i udać się do Nowego-Meksyku, aby tam zaopatrzyć się w muły, w konie i woły.

Marya odrzuciła stanowczo tę myśl, nie chcąc zezwolić na rozdział, choćby nawet chwilowy tylko.

Skoro się nad zamiarem swym zastanowiłem, przyszedłem sam do przekonania, że nie był on wykonalnym. Gdybym nawet szczęśliwie przeszedł pustynię, skądżebym wziął pieniędzy na kupno potrzebnych zwierząt?... Nie miałem obecnie więcej nad to, za co można było kupić zaledwie jednego wołu lub osła. Mieszkańcy Nowego-Meksyku przyjęliby mnie śmiechem i szyderstwem.

— Cierpliwości — mówiła Marya — wszak jesteśmy tutaj szczęśliwi. Skoro nadejdzie czas, gdy będziemy przygotowani do odjazdu, ręka, która nas tu przyprowadziła, potrafi nas stąd i wyprowadzić.

Słowa te pociechy, któremi żona moja starała się mnie umocnić, przyjąłem, jak przepowiednię proroczą. Tyle bo już razy sprawdziło się to, co ona z góry przepowiedziała.

Pewnego dnia, a było to w ciągu czwartego roku naszego tu pobytu, łamałem sobie głowę nad sposobami wydostania się z doliny; Marya, jak zawsze, pocieszała mnie i umacniała, gdy niespodzianie wpada do domu Henryk i woła:

— Ojczy!... mamó!... dwa jelenie... dwa jelenie młode w sidłach!... Kudźo zaprzęże je do wozu... są wielkie jak woły!

Nie było nic nadzwyczajnego w tem wszystkim; chwytałyśmy już nieraz jelenie i mieliśmy ich kilka w swoim ogrodzie. Prawda, że jelenki,

o których Henryk mówił obecnie, były młode, a do-
tąd nie posiadaliśmy młodych jeleni, i ta właśnie
okoliczność tak poczciwego chłopca uradowała.

W pierwszej chwili ta sprawa nie wywołała
na mnie najmniejszego wrażenia, dopiero gdym
sobie przypomniał, że wielkie jelenie amerykań-
skie bywają używane do pociągu, rzecz cała na-
brała w oczach moich zupełnie innego znaczenia
i interesu.

Nie potrzebuję wam zepewne mówić, że stała
się ona powodem nowych kombinacyi, które wy-
smażała moja mózgowica. Czy będziemy mogli
zaprzęgać jelenie do wozu?... czy zdołają one nas
wyciągnąć przez pustynię?...

Była to rzecz możliwa. Postanowiliśmy tedy
przygotować do podobnego celu jelenie i wycho-
wanie ich szło jak najstaranniej.

Kudzo, skoro jelenie podrosły i zmeźniały, po-
czął ich używać do pługa i włożył je tak do tej
pracy, że chodziły w zaprzęgu jak woły.

XLIII.

Polowanie na dzikie konie.

Wszystko to dawało nam nadzieję pomyslnego
rezultatu. Próba zachęciła — a ponieważ do osią-
gnięcia celu jedna para zaprzęgowych jeleni nie
wystarczała, chwytaliśmy zatem małe jelonki, kieru-
jąc ich wychowaniem tak, jak i najpierwszej pary.

W tych właśnie czasach następujące zdarzenie, które bardzo wpłynęło na zmianę naszych czynności, przekonało nas zarazem, że słowa prorocze żony mojej mogą się z łatwością zamienić w rzeczywistość.

Pewnego rana, cokolwiek po wschodzie słońca, a w chwili gdyśmy powstali z naszego spoczynku, usłyszeliśmy ogromny zgiełk, który nas zadziwił i przeraził. Zgiełk ten przypominał tętent koni, a rzenie które mu towarzyszyło, nie pozwalało nam wątpić, że tam są rzeczywiście konie. Pompo zarżał w swej stajence, a z pół tuzina głosów końskich mu odpowiedziało.

— To są Indyanie!...

Myśl podobna przejęła nas dreszczem... uważaliśmy się za zgubionych.

Pochwyciliśmy za broń. Henryk, Franciszek i ja porwaliśmy swoje karabiny, Kudzo zaś lancę. Otworzyłem okno i spojrzałem, co się dzieje zewnątrz domu. Ujrzałem rzeczywiście konie, ale nie ujrzałem żadnego jeźdźca! Było ze dwanaście tych zwierząt, białych, czarnych, kasztanowatych, gnia-
dych i laciastych... Biegały po łące, rżąc, skacząc, wywijając ogonami i grzywami. Żaden z nich nie miał siodła, uzdeczki... ani śladu, by należały do kogoś, co je dosiada. I tak też było w istocie: były to konie pustyni, *mustangi*, dzikie, swobodne, nieujarzmione.

Zastanowiliśmy się nad tem, co nam czynić wypada. Widocznem było, że przyszły po raz pier-

wszy na dolinę, bo inaczej przez lat cztery chociaż raz musielibyśmy je widzieć. Zieloność okolicy i jej bujna roślinność zwabiła je. Przyszły najniezawodniej od wschodnich płaszczyzn, bo tylko w tym kierunku znajduje się jedno, jedyne wejście do doliny. Należało to wejście zamknąć i tym sposobem przeciąć im odwrót.

Jakim jednak sposobem to uczynić?... Niepodobna było otworzyć drzwi domu, aby nie być spostrzeżonym przez konie, które uwijały się tuż przede drzwiami. Na nasz widok dzikie te stworzenia rzuciłyby się w szalonym pędzie w stronę, z której przyszły... Należało być ostrożnym i przewidującym.

Kazałem Kudźowi wziąć siekierę i pójść za sobą. Wyskoczyłem na dwór tylnym oknem domu i obchodząc zabudowania tak, że nas zasłaniały przed końmi, prześliznęliśmy się niespostrzeżeni około składu i skierowaliśmy się do lasu. Od lasu w najwyższym pośpiechu szliśmy aż do miejsca, w którym jest jedyne do doliny wejście. Kudźo, znalazłszy się tam, zabrał się do dzieła, a w pół godziny potem wpoprzek drogi leżało już drzewo olbrzymie, które stanowiło na niej rodzaj zapory, trudnej do przebycia. Para mniejszych drzew dokonała reszty. Droga została zagrodzona najzupełniej. Dokonawszy tej czynności, wróciliśmy do domu, nie ukrywając się już tak, jak poprzednio, bo wiedzieliśmy doskonale, że konie, jakkolwiek spłoszone, uciec nie mogą.

Tego samego jeszcze dnia rozpoczął się połów dzikich koni. Przy pomocy linki, tak zwanego *lassa*, to jest sznura z dwiema małemi kulkami na końcach i Pompa, który się jeszcze tego uwijał, cała *caballada* koni, to jest cała ich gromadka, złożona z dwunastu, po kilku dniach była już w naszej mocy.

* * *

Teraz, moi przyjaciele, powiedzcie mi, czym was zajął opowiadaniem tych wszystkich wydarzeń?... Mógłbym wam opowiedzieć wiele innych, ale to odkładam na inny raz. Opowiem wam, jakim sposobem chwytałyśmy barany dzikie i antylopy, jak oswajaliśmy bawoły, jakośmy robili ser i masło z mleka ich samic, jak oswajaliśmy małe wilki, pantery, jakośmy polowali na kaczki, cyranki i pelikany. Opowiem wam także w przyszłości podróż moją i Kudza do miejsca, w którem lat temu pięć Indyanie rozbili naszą karawanę; nasz powrót do domu, sprowadzenie dwóch wozów, któreśmy kiedyś pozostawili w pustyni, prochu i bomb, i wielu innych przedmiotów. Do tych opowiadań dodam wam mnóstwo zajmujących szczegółów o zdarzeniach z wilkami, wolwerenami, dzikimi pecari, z panterami, jeżozwierzami i oposumami; ale, ponieważ jesteście zmęczeni zanadto podróżą i słuchaniem tego, com opowiadał dotąd, przeto wszystko to odkładając na później, teraz kończę...

Oto już blisko ośm lat upływa od chwili, w której przybyliśmy do tej doliny. Przez cały ten czas czuliśmy się zadowoleni z losu, który nam przeznaczyła Opatrzność, Bóg błogosławił nasze usiłowania i uwieńczył je pomyślnym skutkiem. A nasze dzieci wyrosły, jak widzicie, ale wyrosły prawie w stanie natury, bez wykształcenia, którego na pustyni dać im nie było podobna. Obecnie chcemy wrócić do życia ucywilizowanego, towarzyskiego. Mamy zamiar udać się ku Saint-Louis, skoro tylko wiosna przyszła zawita. Wszystko jest już przygotowane do chwili odjazdu; nasze wozy, konie, nasz towar, wszystko, oprócz ostatnich zapasów bobrowych futer, które zgromadzimy wśród nadchodzącej zimy. Nie wiem, czy opuściwszy te spokojne miejsca, wrócimy do nich kiedykolwiek w przyszłości, ale pamięć ich nie przeminie w nas. Wszystkie zwierzęta, które znajdują się w naszej mocy obecnie, odzyskają wolność w dniu, w którym się stąd oddalimy.

A teraz, moi przyjaciele, posłuchajcie prośby, którą do was zanoszę. Pora zimowa się zbliża. Straciliście drogę, a wiecie, że zbłądzić w pustyni jest rzeczą niebezpieczną w lecie, cóż zaś dopiero podczas zimy. Zostańcie więc z nami aż do wiosny; skoro ona nadejdzie, puścimy się w podróż razem. Zima nie jest długa w tych stronach. Postaram się o to, abyście ją przepędzili wesóło i przyjemnie. Urządzą wam polowania, które was

zajmą, a skoro nadejdzie stosowna pora, wyprawimy wielki połów bobrów. Czy zgadzacie się na moją propozycję?

XLIV.

Zakończenie.

Przyjeliśmy ją chętnie i bez długiego namysłu. Wszyscy chcieliśmy uniknąć niebezpieczeństw podróży wśród zimy, a życie, któreśmy mogli pędzić przez pewien czas, życie dzikie, które nam tak malowniczo opisał Rolf, pociągało nas. Zostaliśmy i nie pożałowaliśmy tego.

Skoro nadeszła wiosna, zabraliśmy się do podróży. Trzy wozy więcej prowadziliśmy w drogę; dwa z nich wiozły skóry bobrów, trzeci zaś rodzinę Rolfa, a raczej jego żonę, córkę i Luizę. Kudźo prowadził pociąg, Rolf zaś z synami towarzyszył konwojowi na koniach. Wszystkie zwierzęta jego odzyskały wolność.

Puściliśmy się ku północy, w kierunku drogi wiodącej do Saint-Louis, którąśmy zatracili. Przybyliśmy do celu podróży w końcu maja, a Rolf, spieniężywszy natychmiast ogromny zbiór bobrowych futer, zebrał sumę pieniędzy, która była w rękach jego dużym kapitałem. Przyszedł on do majątku.

.....

Wiele lat upłynęło od opisanych tu przygód. Autor niniejszej książki, mieszkając w dalekim kraju, nie słyszał przez długi czas nic a nic o Rolfie i jego rodzinie. Niedawno jednak temu otrzymał list od Rolfa, w którym znalazł wiadomość, że wszyscy o których była mowa w opowiadaniu jego, mają się dobrze i są szczęśliwi. Franciszek i Henryk skończyli studia w kolegium; byli to już ludzie dojrzały. Marya i Ludwika chodziły także na pensję; wreszcie list Rolfa zawierał i inną nowinę. Henryk zaślubił swoją dawną *małą siostrę*, Ludwikę. Franciszek ożenił się także z córką plantatora z Missuri. Co się tyczy Maryi, ta ładna blondyna poszła za kupca, który przepędził z nami zimę w dolinie. Nawet Kudzo nie chciał pozostać samotnym... ożenił się także.

List Rolfa oznajmił mi też, że dzielny ten człowiek ma zamiar powrócić niezadługo w dolinę wraz z wszystkimi i założyć tam osadę, którą chce zaopatrzyć we wszystkie potrzebne przedmioty. Ma to być osada patryarchalna... Myśl piękna, a jeśli przyjdzie do skutku, opowiem wam o niej kiedyś wszystko. Może was to zajmie i zaciekawia, jak mnie historia *Pobytu w pustyni*, którą wam tu wiernie spisałem.

KONIEC.

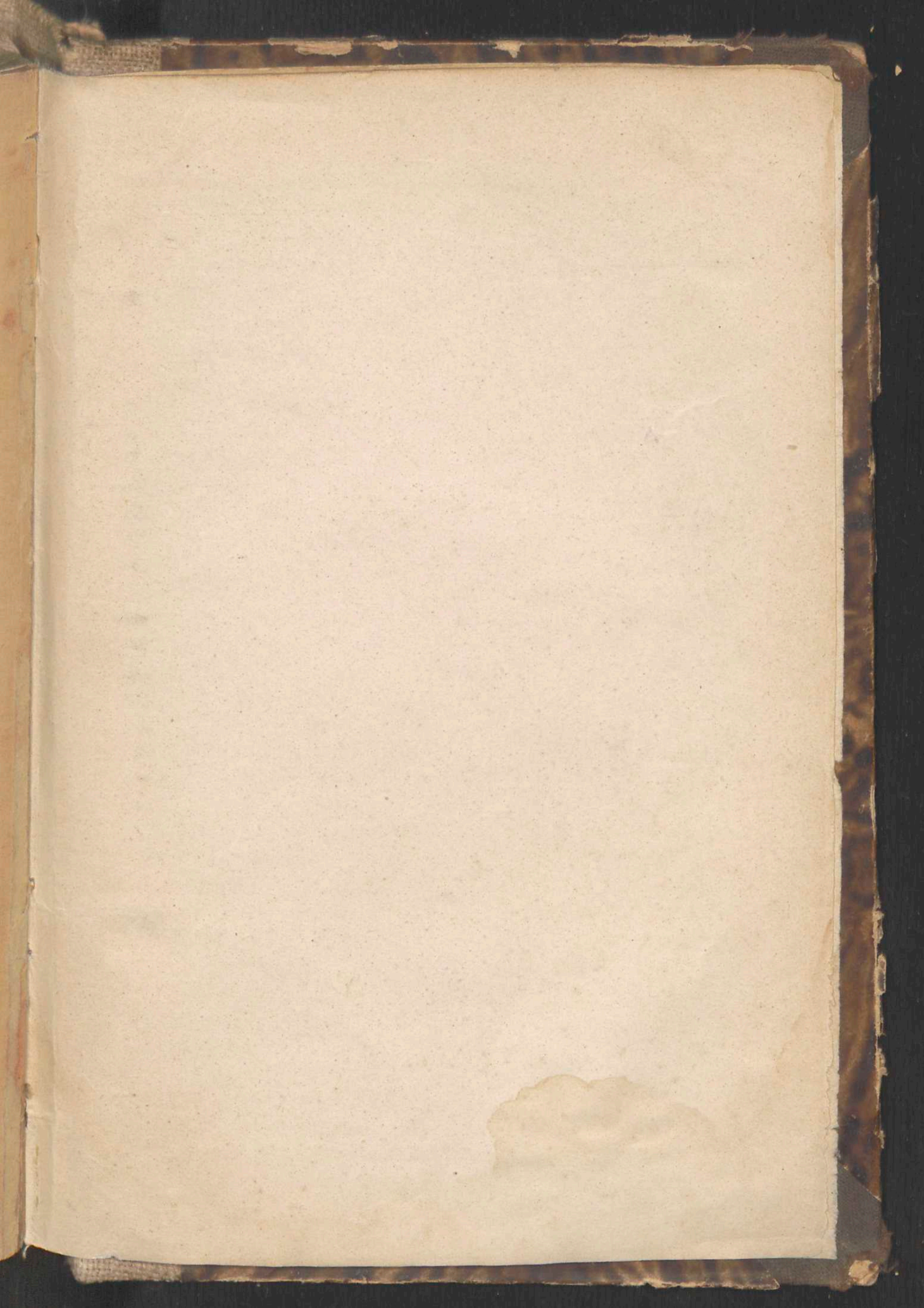
SPIS ROZDZIAŁÓW.

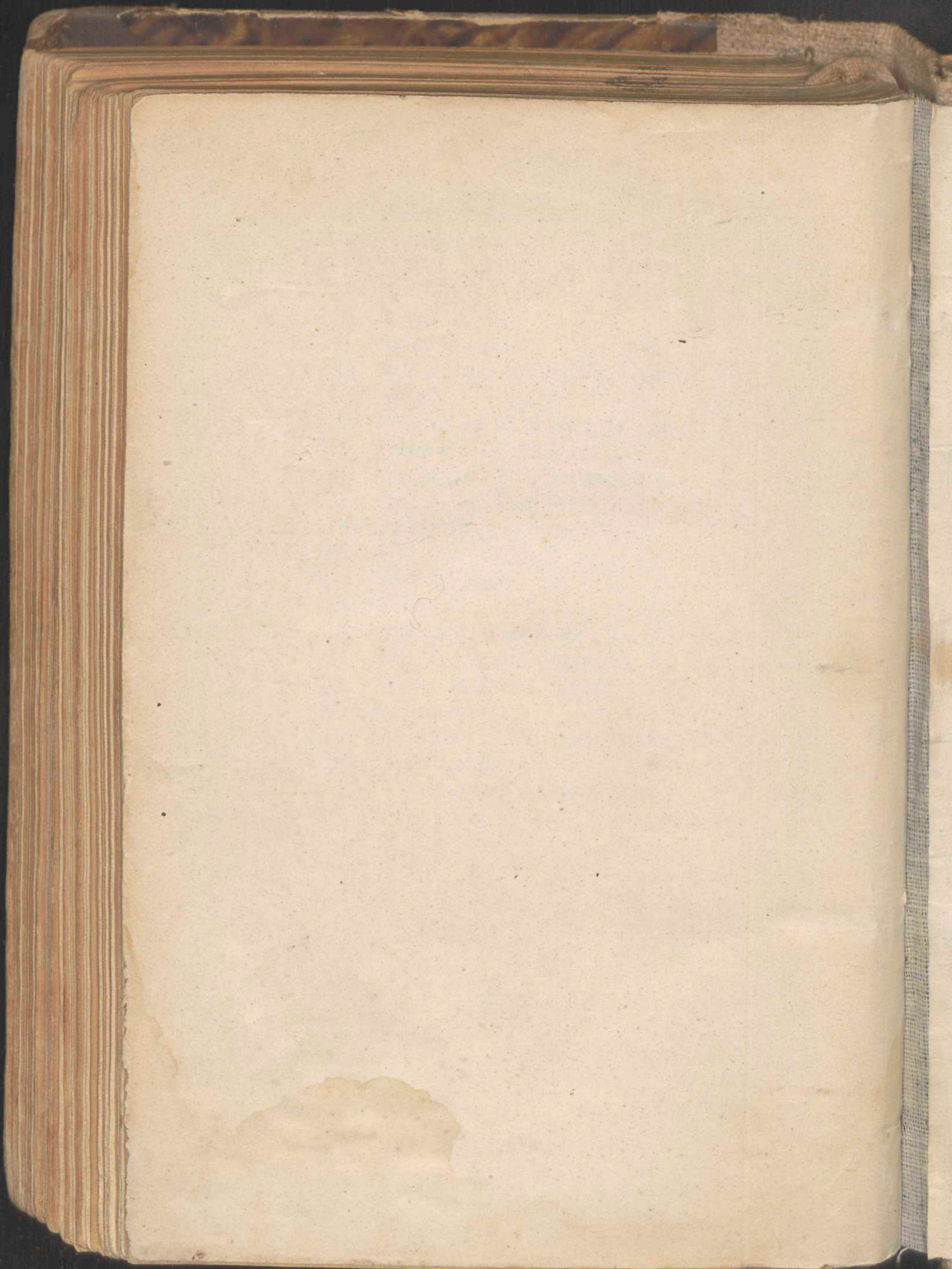
POBYT W PUSTYNI.

	Str.
I. Wielka pustynia amerykańska	1
II. Biały cypel	9
III. Oaza w dolinie	14
IV. Szczególna osada	23
V. Rolf rozpoczyna opowiadanie	33
VI. Plantacya w Wirginii	37
VII. Karawana	43
VIII. Opowiadanie górnika	52
IX. Zbłąkanie w pustyni	63
X. Armadillo	73
XI. Zchudzony wół	80
XII. Barany	91
XIII. Wielki jeleń	103
XIV. Karkażu	113
XV. Prózne poszukiwania	119
XVI. Tajemnicze nawodnienie	125
XVII. Bobry i wolweryn	132
XVIII. Dom z bali drzewnych	141
XIX. Roztropne wiewiórki	148
XX. Dom zbudowany bez gwoździ	153
XXI. Polowanie na czarne-ogony	159

	Str.
XXII. Szczególne zwierzę	165
XXIII. Źródło słone	171
XXIV. Walka wężów	179
XXV. Drzewo cukrowe	188
XXVI. Kawa i chleb	196
XXVII. Linia śniegów	205
XXVIII. Menażerya, ptaszarnia i ogród bota- niczny	211
XXIX. Polowanie na zwierzęta i ptaki . . .	215
XXX. Jeżozwierz	221
XXXI. Walka kuny z jeżozwierzem	225
XXXII. Połów ryb i pszczoły	231
XXXIII. Polowanie na pszczoły	237
XXXIV. Wykradacz miodu	242
XXXV. Walka danieli	250
XXXVI. Sidła	255
XXXVII. Oposum i jego małe	263
XXXVIII. Wąż moccason i ptaki	268
XXXIX. Walka kuguara i pekari	272
XL. Na drzewie	280
XLI. Spotkanie z czarnymi wilkami	287
XLII. Wielki jeleni	292
XLIII. Polowanie na dzikie konie	296
XLIV. Zakończenie	301







360 -
35/12/131083

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001020807267

Antykw. Nauki
W-wa, 16.01.84
- 360 -



1462569

BIBLIOTEKA
NARODOWA